

I zrobię więcej. Od dziś będziecie mogli wychodzić do miasta. Po pięciu, pod eskortą. Co będziecie robili, to wasza sprawa. W mieście jest burdel i parę kafejek. Eskorta pójdzie z wami tam, gdzie będziecie chcieli. Ale nich nikt nie próbuje ucieczki, bo nie ucieknie daleko, a wyjścia się skończą!

Witek, Jarema i Chlebek uratowali się. Niedługo po wywrotce tratwy, przejęła ich jedna z łodzi ratunkowych z "Laconii". Ta ryba to nie był rekin, ale coś mniejszego co zadowoliło się połówką łydki Chlebka. Kiedy na zbiórce padło słowo burdel, Witek zastrzygł uszami. Na wystawienie kaplicy miał czas do zakończenia wojny. Ale w tej części przysięgi złożonej na tratwie, w której mówił o kurwach, miał się sprawdzić już teraz. Niestety, nie sprawdził się! Poszedł z pierwszą piątką. Borys, który znał francuski, wkrecił się jako tłumacz. Poszli i nie było ich parę godzin. Wrócili w dziwnym orszaku. Na szpicy szedł Borys i podpierał Francuza. Obaj szli krokiem bardzo niepewnym. Za nimi gęsiego w kilkunastometrowych odstępach chwiała się reszta. Pochód zamykał Witek, który niósł karabin Francuza. Poszli wszyscy w butach, dwóch wróciło boso. Co się za tym kryło, wyjaśnił nam Borys.

- Chłopcy - powiedział - takiej Bonanzy jak tutaj, nie ma na świecie. Buty od ręki kupują za pięćset franków, a niech który zgadnie, ile kosztuje dziewczynka? Mówię dziewczynka, bo moja nie miała więcej, jak piętnaście lat! No ile?

- Sto - wyrwało się komuś.

- Ile?

- Sto...

Borys zarechotał jak stary grzechotnik.

- Dziesięć, frajerzy, dziesięć!

Za takie pieniądze żaden Anioł Stróż nie upilnowałby nawet świętego. Rozpoczęły się więc wędrówki do arabskiego burdelu. Długo nie trwało i komendant obozu zrezygnował z wysyłania nas do miasta z obstawą swoich żołnierzy. Nie było sensu. Wartownicy wracali z tej służby pijani i wcale nas nie pilnowali. Obroty w burdelu rosły, nam ubywało butów. Aż nadszedł dzień, kiedy jeden z naszych kolegów oburzył się na te praktyki. Z przed wojny burmistrz, pater familiae z żoną i gromadką dzieci, pozostawionych gdzieś w Kazachstanie, zagrzmiął gniewem.

- Smarkacze, łazicie do tego burdelu i nie zdajecie sobie sprawy z tego, czym wam to grozi. Przecież wy macie być przyszłymi mężami i ojcami! A co z was wyrośnie. Jeżeli z was w ogóle coś wyrośnie i nie zeżre was wcześniej syfilis. Zastanówcie się nad sobą... Pomyślcie o swoich matkach, siostrach, o Polsce, która na was czeka.

Romek Hampel, siedemnastoletnie niebieskookie płowe pacholę znad Wisły, na gniew burmistrza odpowiedział gniewnie:

- Panie burmistrzu, jeżeli ja jestem wystarczająco dorosły do tego, żeby być na wojnie i stracić życie, to ja jestem również wystarczająco dorosły do tego, żeby chodzić do burdelu. A pan niech pilnuje swoich dzieci i się nie wpięprza w moje sprawy!

Poparliśmy Romka, bo burmistrz nie miał racji. Naszemu dowódcy porucznikowi Groszkowi, który nie stronił od burdelu, niezręcznie było się wtrącać i wszystko zostało jak było.

Nadszedł październik a z nim wieczorne nabożeństwa w miejscowym francuskim katolickim kościele. Kto chciał, brał w nich udział. Burmistrz bywał na nich regularnie, ale raz, kiedy ucichły organy, zagrała w nim chuć. Miał wyraźnego pecha, bo przechodziliśmy właśnie z Romkiem i Jurkiem Zagrajskim koło znanej bramy, kiedy z tej to bramy wychyliła się postać burmistrza. Parsknęliśmy śmiechem jak na komendę. Burmistrz nastroszył się, chciał coś powiedzieć ale zmienił zamiar i bez słowa szybko oddalił się w kierunku obozu. Później twierdził, że poszedł do burdelu tylko po to, żeby wygonić stamtąd takich jak my młodocianych rozpustników, ale nikt mu w to nie uwierzył.

Z innych rozrywek pozostawało nam jeszcze arabskie kino. Szły w nim cenzurowane przez niemiecką misję wojskową z Casablanki francuskie filmy. Były jakie romansidła, nie mające żadnego powiązania z historią Francji spod Verdun. Chodziliśmy tam, żeby z wyświetlanych kronik niemieckich dowiedzieć się, co się dzieje na świecie. Na początku października pokazali walki uliczne w Stalingradzie z komentarzem, że miasto jest już w rękach niemieckich i że ostateczne zwycięstwo Trzeciej Rzeszy jest sprawą tygodni. W tym czasie dostaliśmy z francuskiego Czerwonego Krzyża stare mundury Legii Cudzoziemskiej i trepy. Ubrałem się w bryczesy, trepy i

sukienna kurtkę mundurową z naszywkami sierżanta, mocno znoszoną i pozbawioną guzików. Był to już mój trzeci mundur w życiu. W trzydzi~~ę~~stym dziewiątym nosiłem polski, potem angielski, a teraz trafił mi się francuski. O to odzienie wystarała nam się żona pułkownika Legii Cudzoziemskiej, z pochodzenia polska arystokratka, bardzo dystyngowana dama, nie mająca w sobie nic z fałszu i pruderii burmistrza. Wiedziała o tym, że uczęszczamy do domu publicznego, ale odniosła się do tego zupełnie inaczej niż burmistrz. Zamiast wygłaszać nauki moralne przysłała nam z Casablanki sporą apteczkę z lekami, których nie lubią mikroby towarzyszące płatnej miłości. Wiedziała też, że nie karmią nas najlepiej i na własny koszt postarała się dla nas o całą dużą świnię, za którą byliśmy jej bardzo wdzięczni przez kilka dni.

x x x

Był początek listopada, kiedy przeleciały nad nami samoloty z białymi gwiazdami i doszedł do nas odgłos dalekich detonacji. Rozpoczęło się lądowanie wojsk alianckich we francuskiej Afryce Północnej. Co było dla nas zaskoczeniem, Francuzi bronili się. Nie była to uporczywa obrona do ostatniego naboju, ale pociągnęła za sobą straty w rannych i zabitych z obu stron. Po trzech czy czterech dniach admirał Darlan, dowódca francuskich sił zbrojnych rządu Vichy, skapitulował i przeszedł na stronę aliantów. Nie wyszło mu to na dobre, bo zaraz potem został zamordowany.

Do nas los uśmiechnął się. Nie było nam sądzone doczekanie końca wojny na pryzkach w barakach po Legii Cudzoziemskiej w Maroku francuskim. Czas był zresztą najwyższy, żeby się stąd wynieść. Po paromiesięcznej przerwie wróciły do nas wszy. Ktoś je przyniósł z burdelu czy arabskiego kina. Buty nam się kończyły. Tydzień po tym, co jedni nazwali inwazją, inni lądowaniem aliantów w Afryce, przybyli do nas goście. Duża grupa żołnierzy z Sahary. Oni z piasków, my ze śniegów, mówiliśmy tym samym polskim językiem. Im nie udało się podróż do Anglii po upadku Francji, my mieliśmy przerwę w drodze trochę dłuższej, też na tę wyspę.

Dowództwo nad całością objął jakiś podpułkownik, który wydawał dzienne rozkazy i podpisywał je szumnie jako Dowódca Polskich Sił Zbrojnych w Afryce Północnej. Wśród

nas panowała zgodna opinia, że gdyby się o tym dowiedział generał Zajac, to temu wodzowi kazałby przeczołgać się przed naszym szeregiem. Wódz zdążył wydać parę rozkazów. W jednym z nich była mowa o braku dyscypliny wśród podchorążych pierwszej kompanii ósmej dywizji piechoty. Sprawa nie była błaża, poszło o drugą świnię, którą nasza patronka z Casablanki przysłała przez swojego arabskiego sługę dla nas, a którą zjadły szarże z najbliższego otoczenia wodza i on sam. Nasze głośnie oburzenie poparł solidarnie porucznik Groszek. Powiedział wodzowi, co o tym myśli, uspokoił nas, że trzecia świnia będzie, i pojechał do Casablanki. Wrócił z upolowanym przez męża naszej opiekunki ładnym dzikiem. Dopilnowaliśmy, żeby trafił do właściwego kotła. Afere mięsną zakończył rozkaz wyjazdu. Wróciliśmy pociągiem tam, skąd przyjechaliśmy. Ulice Casablanki były pełne Amerykanów. Szliśmy kolumną ze śpiewem.

"... Na tułaczce, na dalekiej przyszedł wreszcie czas,
Do ojczyzny swej dalekiej, wrócimy chłopcy..."

Amerykanie przyglądali się nam i przysłuchiwali ze zdziwieniem. Nie mogli się połapać, co to za wojsko. Aż jeden żołnierz podbiegł do nas.

- Hej, chłopcy, coś ta za jedne? Polaki?

- Tak...

- A skąd wy tu, my tu przyjechali z Ameryki na boucie... a wy jak?

- My też z Palestyny.

- A gdzie idieta?

Powiedzieli, że gdzieś niedaleko.

- No to przychodziła do nas, my som tu blisko, za kornerem. Powieta, żeśta przyszli do Stanley Kamiński.

Przeszliśmy jeszcze kilkaset metrów i weszliśmy przez bramę do jakiejś rotundy, którą w pierwszej chwili wzięliśmy za stadion sportowy. Poniekąd tak było. Od zwykłego różnił się tym, że boisko miało kształt areny i nie było pomyślane dla piłkarzy, ale dla byków i torreadorów. Od jakiegoś czasu nic się tu nie odbywało. Chyba nie od dawna, bo słoma po bykach nadawała się jeszcze na posłanie dla nas. Wojna przynosiła nam coraz to nowe niespodzianki. Ta była sympatyczna. Mogli nas przecież zakwaterować w jakimś przycementarnym kościele, gdzie straszą duchy, a tutaj upiorów nie musieliśmy się obawiać. Zamordowany byk to tylko martwy byk, duszy nie ma i raz zamordowany nie udziela się więcej. Podzieliliśmy się zagrodami po rogatych nieboszczykach i ruszyliśmy w miasto. Ja z Józkiem i Borysem do Stanley'a. Jego samego nie odszukaliśmy, ale znalazło się paru innych amerykańskich Polaków, którzy nas przygarnęli. Powyciągali konserwy i butelki, byli bardzo bezpośredni, serdeczni i ... naiwni.

- Dawno ty chłopie z Polski wyjechałeś?

- W czterdziestym pierwszym.

- O, to dawno, ale nic się nie martw. Teraz, jak my Amerykany zaczęły wojnę, to za dwa tygodnie będziesz w domu.

Zdarli z nas, mimo protestów, odzienie, które mieliśmy

na sobie.

- Nie będzieta chodzili jak przebierańcy! U nas każdy ma dwa kity pełne uniformów i ciężkie jak cholera! Bier>ta chłopcy, nam będzie lżej a wam lepiej.

Parę dni po tym przemundurowaniu, w nocy, zaokrętowaliśmy się na statek, niewielki angielski transportowiec, przeznaczony do przewozu czołgów i ciężkiego sprzętu wojennego. Popłynęliśmy nim na północ. Samotnie. W tym czasie ten rejon Atlantyku był bardzo niebezpieczny. Alarmów próbnych nie było, wystarczało tych na serio. Płynęliśmy w stałym zagrożeniu. Drugiej nocy byliśmy atakowani, torpeda przeszła za rufą statku. Po trzech dobach przebijania się przez deszcz, wiatr i mgłę, wpłynęliśmy nocą do Gibraltaru i stanęliśmy na kotwicy w awanporcie. Stałem na pokładzie z Józkiem. Noc była wilgotna i ciemna. Najeżona lufami dział skała gibraltarska, pozornie ciemna i uśpiona, czuwała. Wybuchy min głębinowych, powtarzające się regularnie co minutę, zagradzały łodziom wejście do portu. Lotnisko żyło ukradkowymi błyskami świateł i warkotem samolotów.

- Jest fajnie, - powiedział Józio - ale mam nadzieję, że nas tutaj przesadzą na inny statek.

- Nasz ci się nie podoba?

- Nie. Nie podoba mi się. Tą łajbą do Anglii nie dopłyniemy!

- Nie zapeszasz sprawy. W pojedynkę nas stąd nie wypuszczą, a z eskortą dopłyniemy.

Józio uparł się przy tym, że nie dopłyniemy, ja przy

tym, że dopłyniemy. Założyliśmy się. O butelkę ginu, której nikt nie wygrał. Następnego dnia po południu zostaliśmy przeokrętowani na duży transportowiec m/s "Stradhaird" i w nocy wyszliśmy w morze. Kiedy rano zobaczyliśmy towarzystwo, w jakim płyniemy, przestaliśmy mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że cel podróży osiągniemy. Przed nami torował drogę krążownik, po lewej i po prawej burcie eskortowały nas kontrtorpedowce. Konwój pruł wody Atlantyku z prędkością przekraczającą dwadzieścia węzłów. Okręty migały do siebie aldisami. Krążownik wyznaczał kurs, kontrtorpedowce uwijały się koło nas w fontannach białej piany zwinnie, z gracją baletnic w Jeziorze Łabędzim.

Jak ci się to podoba?

Józio pozbył się cmentarnego nastroju, pokręcił głową z uznaniem.

- Tego się nie spodziewałem. Z fasonem płyniemy. Jeszcze trochę i stracę wstret do słonej wody.

Na statku spotkaliśmy paru marynarzy z ORP "Błyskawica". Osłaniali niedawno desant aliancki w rejonie Bizerty. W walkach z Luftwaffe zestrzelili dwa samoloty, nie bez strat. "Błyskawica" została poważnie uszkodzona, było paru zabitych i kilkudziesięciu rannych. Oni, wypisani ze szpitala w Oranie, płynęli teraz do Anglii po przydziały na inne okręty. Morowi z nich byli chłopcy. Ostrzelani w tej wojnie, jak wszyscy diabli, nie robili z siebie czegoś lepszego od nas - rozbitków z "Laconii". Wieczorami graliśmy z nimi w karty i gawędziliśmy o

sprawach, które obchodzą żołnierzy na wojnie. Kiedy statek cumował w szkockim porcie Greenock, wiedzieliśmy za co ile tutaj się płaci i gdzie czego szukać. Witek bardzo pilnie przysłuchiwał się temu, co mówili marynarze z "Błyskawicy", a ponieważ pamięć ludzka bywa zawodna, zanotował sobie kilka imion i adresów.

Szkocja przywitała nas deszczem. Była połowa grudnia i o tej porze w Szkocji zwykle leje. Jechaliśmy z portu wojskowymi ciężarówkami powożonymi przez sympatycznych i energicznych żołnierzy w spódnicach. Po drodze zmoknięte i roześmiane szkockie dzieciaki dopominały się o czekoladę. Było nam dobrze. Z Uralu do Szkocji... Przez parę miesięcy wydoroślałem o parę lat. Było to wszystko trochę jak sen. Dobry sen. Facet wyglądający na belfra, podłysiały, w okularach i mundurze porucznika, poszukiwał chętnych do nauki.

- Ile pan ma lat?

- Osiemnaście.

- Gdzie pan chodził do szkoły, i kiedy pan przerwał naukę?

- Przerwałem w tysiąc dziewięćset czterdziestym. PRzed wojną chodziłem do Liceum Krzemienieckiego, później do sowieckiej dziesięciolatki.

- Do Liceum?

- Tak...

- To była świetna szkoła! Musi się pan dalej uczyć. Ma pan przed sobą otwartą drogę. Najpierw matura, potem Oxford, Cambridge, są na to fundusze i możliwości. Mogę

pana wyreklamować z wojska.

- Dziękuję, ale ja właśnie chciałem do wojska. Bardzo dziękuję. Wkrótce usłyszałem przez głośniki swoje nazwisko, oraz że mam się zgłosić do baraku numer taki i taki. Stanałem przed stołem za którym siedziało trzech. Jeden w mundurze kapitana i dwóch cywilów.

- Co pan robił w Rosji?

- Siedziałem w więzieniu na Uralu.

- Za co?

- Byłem w organizacji, a właściwie w dwóch organizacjach.

Roześmieli się.

- Nieźle - powiedział ten w mundurze. - I co później? Zwolnili pana?

- Tak, pod warunkiem, że mnie przeszkolą i przerzucą do Polski.

Spowaźnieli. - Kto panu to proponował? -

- Jakiś pułkownik NKWD.

- Jak się nazywał?

- Nie wiem.

- Jak wyglądał?

- Starszy, siwawy...

- Gdzie to było?

- W więzieniu w Zlatouście.

- Kiedy?

- W lutym.

- Dokładniej!

- W drugiej połowie.

- Czy ten pułkownik wyróżniał się czymś?

- Chyba nie...

- Nie utykał na nogę?

- Nie zauważyłem, cały czas siedział za biurkiem.

Poczułem się, jak podejrzany na przesłuchaniu i nie podobało mi się to. Włączył się jeden z cywilów.

- I co? Zgodził się Pan na współpracę z NKWD?

- Tak, zgodziłem się - odpowiedziałem niechętnie ze wzrokiem utknionym w podłogę.

- I co dalej? - dopytywał się cywil.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

- Jak to co dalej? - powiedziałem gniewnie. - Przecież tu jestem, zwiąłem!

Roześmiali się. Z czego oni się śmieją - pomyślałem ze złością. - Siedzą w tej Szkocji i się śmieją. Z czego tu się śmiać?

- No dobrze, a jak my proponujemy panu to samo, to co pan powie - odezwał się drugi cywil.

Zgłupiałem. Z tiumpod, sowieckich lochów więziennych, do kazamatów gestapo... Takie dwa grzyby w barszczu. Cholernie niestrawne... Już drugi raz częstowali mnie takim barszczem. Na Uralu i teraz.

- Zgadzam się - powiedziałem, bo nic innego nie mogłem powiedzieć.

- To wszystko. Życzę panu powodzenia. - Pożegnali się ze mną przez podanie ręki.

Wdepnąłem do tego baraku jak ktoś z ulicy, wychodziłem jako żołnierz Oddziału Szóstego Sztabu Naczelnego Wodza.

Oszałamiający był ten awans. Ale ja go nie chciałem.

Chciałem być w mundurze lotnika, nie więcej.

Rozpływały się resztki pierwszej kompanii szkoły podchorążych ósmej dywizji piechoty sformowanej w Teheranie. Każdy w swoją stronę. Z Józkiem Balickim widziałem się po wojnie. Był ranny pod Arnheim, skończył w Anglii studia inżynierskie, ożenił się z Angielką i został na emigracji. Borysa Jakowlewa spotkałem w mundurze angielskiego porucznika. Usiedliśmy przy kieliszku i Borys chwalił sobie dyskretnie to, co robi obecnie, i wylewne wspomnienia z arabskiego burdelu, jako że oficerowi Intelligence Service wolno być gadułą, ale nie na każdy temat. Spotkanie to było naszym ostatnim.

Witek był ze mną w szóstce. Jako przyszły cichociemny zapowiadał się obiecująco. Rozpoczynaliśmy szkolenie codziennie, kiedy się rozwidniało. Kilometry marszobiegu. W przerwach ćwiczenia w walce wręcz, nożem, pięścią. Po śniadaniu łączność radiowa, nauka bytowania w Polsce, język niemiecki, kowbojskie strzelanie z biodra... I dalej, chłopcy! Szwaby są w Polsce nieproszone i wy macie tam być, żeby ich wykurzyć! Szkoła miejscowość Largo to wasz następny sprawdzian! Po linie na drzewo, po konarach i z powrotem po innej zwisającej linie na ziemię! Macie na to trzydzieści sekund. Małpa by nie zdążyła wy musicie. I uwaga: spadochron składa się... niemiecka amunicja pasuje do... starajcie się żywi nie wpaść w ręce szwabom!

W nawale zajęć zapomniałem o lotnictwie, kiedy wezwał mnie pułkownik, dowódca naszego plutonu.

- Mam dla pana wezwanie do lotnictwa. Oni nie wiedzą, gdzie pan jest. Dla formalności niech pan podpisze rezygnację.

Tak jak na Uralu, poprosiłem o czas do namysłu.

- Przecież pan jest w elitarnym oddziale, nad czym pan chce się namyślać?

Wzruszył ramionami. Nie spodziewał się, że poproszę o czas do namysłu. Widocznie miał o mnie lepsze zdanie. Na szkoleniu radziłem sobie nie gorzej od innych i cieszyłem się dobrą opinią.

- Dobrze, daję panu czas do jutra - powiedział zawiedziony moją postawą.

W baraku zwierzyłem się Witkowi ze swoich rozterek.

- Ja na twoim miejscu wiedziałbym co robić - powiedział bez namysłu.

- Zostałbyś gdzie jesteś?

- Nie! Spieprzyłbym stąd.

- Powiedziałiby, że stchórzyłeś.

- Co ty? Pokaż mi tchórza, który pcha się do lotnictwa? Możesz stąd odejść z honorem, to wal na całego. Pomyśl tylko, tu jaja ci uwiedną. Widzisz, co z nami wyrabiają. W dzień ćwiczenia, w nocy ćwiczenia...

Nazajutrz zameldowałem pułkownikowi, że proszę o przeniesienie do lotnictwa. Nie zdziwił się i wręczył mi gotowy rozkaz wyjazdu. Podał mi zaklejoną kopertę, życząc powodzenia. Wyszedłem z mieszanymi uczuciami żalu i złości. Zrozumiałem, że prosząc o czas do namysłu skompromitowałem się w oczach pułkownika, i że jego

zyczenia powodzenia były warte tyle, co kopniak na drogę.

x x x

Ciupasew, parę godzin później byłam już w drodze do Blackpool, bazy polskiego lotnictwa, i nie wiedziałam, czy zrobię coś mądrego czy głupiego. Przeniesienie zawdzięczam porucznikowi Groszkowi, który miał znajomość w Dowództwie Lotnictwa w Londynie i wstał się tam za mną jak obiecał.

Jechałem pociągami. W ciemnym przedziale było dużo mundurów i dwie dziewczyny, nie brzydkie Angielki czy Szkotki. Znalazłem się w śmiecie, którego jeszcze nie znałem. Usiadłem raczej sztywno i udawałem, że drzemię. I być może wytrzymałbym tak aż do Blackpool, gdyby moja sasiadka, niby to rozspana, nie oparła mi swojej głowy o ramię. Nie mogłem siedzieć jak kotek, więc pogłaskałem jej rękę, potem kolano i uciałem z nią cichy ale dość ostry romanse, na jaki pozwalały warunki jazdy. Ze skapej rozmowy dowiedziałem się, że ma na imię Peggy i że jedzie do Liverpoolu na spotkanie z narzeczonym, z którym pojutrze bierze ślub. Mojego imienia nie mogła wymówić, ale powiedziała, że o Polakach słyszała sporo dobrego od koleżanek i że teraz, po zawarciu ze mną znajomości, jest jej przyjemnie, że nie kłamają. Było mi bardzo miło to usłyszeć. Ale kiedy wczesnym rankiem wysiadłem na peron w Blackpool, podziwianie ustąpiło miejsca przygnębieniu. W Szkocji podziękowałem za służbę w oddziale, który

tylko śnił się innym. I co dalej... I szambo. Tam byłem kimś, tu nikim. Rekrutem, kandydatem do latania, jednym z wielu chętnych.

Blackpool, miasto letniskowe położone na zachodnim wybrzeżu Anglii, nie było perłą wśród miast Wyspy. Było duże i szpetne. Stałych mieszkańców miało mało, tyle ile było trzeba, żeby w letnim sezonie zadbać o wygodę i kieszenie tysięcy urlopowiczów, wywodzących się ze sfer od średniej w dół. Dobrze urodzeni i zamożni obywatele wyspy omijali Blackpool. Teraz w lutym miasto było puste, pełne wiatrów, które wiały tutaj o tej porze ze szczególną siłą. Puby czyli Public Houses, nie mające nic wspólnego z domami publicznymi w rozumieniu polskim, te otwarte przez cały rok, czerpały zyski trochę ze stałych mieszkańców, ale o to, żeby nie zbankrutowały, dbali przede wszystkim lotnicy. A było ich tutaj dużo i niewiele mieli do roboty. Przebywali na odpoczynku, albo czekali na przydziały szkoleniowe. Spory odsetek stanowili Polacy. W Blackpool mieściła się Zapasowa Baza polskiego lotnictwa. Baza administracyjna, bez koszar, samolotów i lotniska. Stąd się szło na wojnę i tutaj się wracało, albo nie. Wojsko mieszkało w pensjonatach, odnajętych od prywatnych właścicieli na stałe, przez brytyjskie Ministerstwo Wojny. Zgłosiłem się z kopertą, którą dał mi pułkownik, do biura zakwaterowań.

- Pan skąd? - zapytał kapral,

- Ze Szkocji.

- Z jakiego oddziału?

W Szkocji powiedzieli mi, że nie mam mówić, z jakiego oddziału zostałem odkomenderowany.

- Dałem przecież papierek.

Przeczytał.

- Z łączności? Dobrze, niech pan przejdzie do pokoju obok, tam dostanie pan skierowanie.

W pokoju obok dostałem skierowanie. Szkocki papierek zatrzymali i dali mi inny z adresem, pod który mam się udać. Mój dobytek wiele nie ważył, mieścił się w chlebaku, do pensjonatu nie miałem daleko. Przywitała mnie dość korpulentna jak na Angielkę właścicielka wzięła ode mnie pisemko, które przyniosłem, powiedziała, że jestem Welcome, i że będę mieszkał w drugim pokoju po schodach w prawo z sierżantem Polesynki. Objęła, kiedy jest śniadanie, obiad i kolacja. Ostrzegła mnie, że dziewczynek do jej pensjonatu przyprowadzać nie wolno. Poszedłem na górę. Mój współlokator - Polesynki, czyli Edek Polesiński, nie był w lotnictwie nowicjuszem. Wrócił niedawno z Niemiec, gdzie został zestrzelony podczas pierwszego nocnego nalotu tysiąca bombowców na Kolonię. Kiedy jego Wellington, w którym siedział w wieżyczce strzelca ogonowego, zamienił się nad celem w pochodnię, skoczył ze spadochronem, szczęśliwie rozminął się z gotycką wieżą jakiegoś kościoła i wylądował na ulicy pełnej ognia, dymu i wybuchających bomb. Zrzucił z siebie kombinezon i mundur, zostaw w swetrze, oberwał dopinane cholewki futrzanych butów lotniczych i zamieniony w cywila wpadł do najbliższego schronu między przerażonych bombardowaniem

Niemców. I nikt nie zwrócił na niego uwagi. Kiedy się nalot skończył, ruszył pieszo na zachód w kierunku Holandii.

Niewielka paczuszka "escape kit", w której miał kompas, mapę, pieniądze, różne tabletki odżywcze, dopingujące i służące od odkażania wody, dopomogła mu w dotarciu do jakiejś plebanii holenderskiego księdza. Drogi ucieczek lotników bardzo często prowadziły przez plebanie, które miały kontakty z ruchem oporu w okupowanych krajach. Edek trafił dobrze, z pomocą Holendrów i Francuzów, z Holandii przez obie Francje, okupowaną i Vichy, przedostał się do Hiszpanii. Szczęście go nie opuszczało, bo nie wdepnął do niesławnego obozu Miranda Del Ebro, i z Lizbony wrócił do Anglii. Podróż zajęła mu parę tygodni. Teraz miał przerwę w lataniu i czekał na powołanie na kurs pilotażu. Do chwili zestrzelenia odwalił jako strzelec ogonowy dwadzieścia parę lotów operacyjnych, miał *Virtuti* i *Walecznych*.

Takich, jak Edek, którzy mieli za sobą lądowanie na spadochronie po drugiej stronie kanału, było tu więcej. Rekord szybkiego powrotu z kontynentu należał do myśliwca, chorążego. Mieszkał w tym samym co ja pensjonacie, jego nazwiska niestety nie pamiętam. Zestrzelony w okolicach Paryża, wrócił do Anglii po dziesięciu dniach. Nie bez przeszkód. Kiedy opadał na spadochronie czekali już na niego Niemcy. Skuli go, dali wartownika, wsadzili do pociągu i gdzieś wieźli. Powiedział, że musi iść do ubikacji. Wartownik go rozkuł z tym skutkiem, że zaraz

potem dostał potężny cios w głowę i wyleciał przez otwarte drzwi jadącego pociągu. Chorąży wyskoczył w biegu, w krzakach zamienił się w cywila i... wrócił na wyspę. Musiał się spieszyć bo wartownik poleciał prosto pod koła wagonu.

Zresztą kogo tu nie było. Stasio Kordys przeszłości lotniczej nie miał jeszcze, ale w ogóle życiorys już miał... Był w Blackpool od paru dni, dokąd przybył spod Londynu, zwolniony w Patriotic School po trzech tygodniach badań, czy nie jest przypadkiem szpiegiem niemieckim nasłanym do Anglii. Nie był, ale mógł być o to łatwo posądzony. Jego prywatny sposób przedostania się do Anglii z rodzinnego Radomia, który opuścił w 1941 roku, był bardzo oryginalny i za prosty, żeby nie wydał się podejrzany. O swoich prawdziwych zamiarach Stasio powiadomił tylko najbliższą rodzinę i, ku zdumieniu kolegów i znajomych, jako ochotnik zapisał się na wyjazd na roboty do Rzeszy. Tam pracował w pocie czoła, chwalił Szwabów za to, że robią porządek z Żydami i komunistami, a o Adolfie wyrażał się z najwyższym szacunkiem. Z upływem czasu wzbudził zainteresowanie Szwabów swoją osobą, potem sympatię, która przerodziła się w zaufanie. Na to czekał. Wyraził gotowość do przyjęcia Folkslisty i poprosił o przeniesienie go z pracy na roli do przemysłu, gdzie na pewno lepiej przysłużyły się zwycięstwu Trzeciej Rzeszy. Nadmienił, że chciałby pracować w zakładzie niemieckim z Niemcami a nie z mało mu przychylnymi za jego prawe poglądy robotnikami cudzoziemskimi.

- Dobrze, Herr Kordys - usłyszał w odpowiedzi. -
Rozpatrzmy pana kandydaturę na Volkslistę, z czym nie
powinno być trudności, i bryzie pan przeniesiony do
przemysłu.

Upłynęły dwa tygodnie i Stasio zamieszkał w Essen przy
rodzinie majstra fabryki metalurgicznej, do której został
skierowany. Nie przestawał chwalić wszystkiego co
niemieckie i czaił się do skoku przez granicę holenderską.
Miał marki, dobre dokumenty, a nad sobą mocno uśpiony
nadzór. Córka majstra zaczęła z nim wiązać swoje nadzieje
na przyszłe życie, kiedy któregoś dnia Stasio wyszedł do
pracy i nie wrócił. Na pewno szukali go najpierw z
życzliwą obawą, czy mu się coś złego przytrafiło, a potem
z wściekłością, że ich tak szpetnie oszukał.

Byliśmy tutaj zebrani z całego świata. Od Buenos Aires
po Charbin. Ferajna, jak się patrzy. Zahartowane doborowe
towarzystwo, któremu lepiej nie wchodzić w drogę. Marian
mówił o sobie:

- Ja to urodziłem się w Rosji i wchowałem w Chinach,
mnie w dupę nikt nie uderzy!

Nie kłamał. Cwaniak był z niego nieprzeciętny. Był
niezłym sportowcem, grał na różnych instrumentach,
śpiewał, tańczył solo i umiał sobie poradzić z każdym
zamkiem.

Z dyscypliną w Blackpool nie było najlepiej. Dobry
lotnik w powietrzu jest karny, na ziemi zazwyczaj wyróżnia
się wesołym usposobieniem, brakiem poczucia
odpowiedzialności i lekceważącym stosunkiem do życia.

Następnego dnia po przybyciu do Blackpool'u udałem się wraz z innymi mieszkańcami pensjonatu na zbiórki. zbiórki odbywały się codziennie, z wyjątkiem niedziel o dziewiątej rano, na placu na tyłach kina, w pobliżu budynków administracyjnych polskiego dowództwa. Ustawiliśmy się według szarż. Na prawym skrzydle stanęły najwyższe, na lewym najniższe. Liczyły się stopnie angielskie, za które w lotnictwie płacono żołąd. Na placu machały ogonami zaprzyjaźnione psy, które przychodziły tu na śniadanie. Pozywiały się tym, co przynieśli koledzy. Przed szeregiem przechadzał się starszy wiekiem cywil w zbakierowanym wypłowiałym kapeluszu i płaszczu, który świadczył o tym, że jego właściciel dba bardziej o wesołe towarzystwo w pubach, niż o elegancję. Uśmiechał się, łobuzersko mrużył oko i powtarzał:

- Gazeta, kondom... gazeta, kondom...

Niósł plik polskich gazet. Za nim szedł mały kilkuletni chłopiec, jego wnuk. Też sprzedawał gazety: "Dziennik Polski" i "Dziennik Żołnierza". Prezerwatywy sprzedawał tylko dziadek.

- Cześć, Dick! - Witali go koledzy.

- Cześć! odpowiadał po polsku. -

Przybył starszy sierżant Barański. Założył okulary i zaczął odczytywać rozkaz dzienny. Przeszkadzał mu dziadek tym swoim gazeta, kondom?

- Cicho tam!... - krzyknął Barański bez złości i czytał dalej.

Nikt go nie słuchał. Jedni rozmawiali, drudzy

przeglądali gazety. Ktoś z szeregu przywołał wnuka i coś mu szepnął do ucha. Malec rezolutnie pokiwał głową na znak, że rozumie, Zaszedł od tyłu Barańskiego, który zajęty czytaniem rozkazu nie zwrócił na to uwagi, wziął rozpęd i kopnął go jak mógł najwyżej. Miał polecenie, żeby Barańskiego kopnąć w tyłek, ale był za mały i nie dosięgnął. Uciekł ze śmiechem.

- Ach ty łobuzie! - krzyknął Barański - ja ciebie nauczę! Złapię i uszy poobrywam!

Poprawił okulary i czytał dalej. Skończył i rozeszliśmy się.

Tego dnia zostałem przemundurowany i dostałem numer służbowy 704810. Pozostałem w swoim stopniu szeregowca z tym, że pytany o szarżę, miałem teraz odpowiadać po angielsku: AC 2, czyli w pełnym brzmieniu Aircraftman two.

Było zimno i mokro, Nasz pensjonat nie był ogrzewany z wyjątkiem saloniku na parterze, gdzie wieczorami palił się kominek. Czekałem na komisję lekarską i egzamin psychotechniczny, po którym miałem, albo nie miałem, być przyjęty do personelu latającego. Po paru dniach noszenia munduru lotnika zostałem wyznaczony do służby, o której wcześniej mi się nie śniło.

Co trzeci dzień od piątej wieczorem do siódmej rano zacząłem pełnić straż przeciwpożarową przy budynku, w którym były przechowywane rzeczy osobiste pozostałe po tych, którzy nie wrócili z lotów bojowych. Były one ułożone jedne na drugich, w małych zaplombowanych workach z nazwiskami właścicieli wypisanymi na wywieszkach. Dużo ich było i przybywało z każdym dniem. Po wojnie miały być przekazane rodzinom na pamiątkę. I tak służbę w lotnictwie rozpocząłem jako strażak, zamiast knypla dali mi w garść toporek, skrzynię piasku i gaśnicę. Instrukcja głosiła, że przez całą noc mam obchodzić budynek od ulicy, a w razie nalotu niemieckiego przenieść się na dach i tam czuwać. Ta instrukcja, jak wiele innych, z którymi zetknąłem się, była nieżyciowa. Około ósmej wieczorem przychodził pod budynek oficer inspekcyjny, który pytał się czy wszystko jest w porządku, po czym odchodził i więcej nie wracał. Można było wtedy spokojnie przejść się do pobliskiej frytkarni na fish and chips, gdzie przychodziło dużo dziewczyn, zjeść rybę i wrócić w towarzystwie, w którym czas nie dłużył się tak bardzo...

Droga z frytkarni na posterunek była przetarta. Ci, którzy ją przetarli, odeszli. Przyszli następni, dziewczyny zostały te same. Znały nas, wiedziały, że pilnujemy tego ponurego budynku, Były wesołe i dawały się łatwo do niego zapraszać. W ten sposób służba, którą uważaliśmy za wymysł jakiegoś idioty, nabierała sensu.

Sprawę mojego "być albo nie być" przesądził początek marca. Mieszana polsko-angielską komisję lekarską

przeszedłem gładko, z najwyższą kategorią 1A zostałem uznany za zdolnego do każdej służby w powietrzu.

Odetchnąłem, to był duży krok naprzód. Dwa dni potem następna próba. Chcą się upewnić, czy aby nie należę do tych, o których się mówi, że silny a głupi. Do tej próby przystępuje nas kilkunastu. Kapitan, który prowadził egzamin, mówi:

- Bezbledne odpowiedzi na wszystkie zadania testowe daja osiemdziesiat punktów, ale ta sztuka nie udala sie jeszcze nikomu i watpie, czy uda sie ktoremu z was. Piecdziesiat punktów wystarcza na pierwsza grupe: pilot, nawigator, bombardier, trzydzieści na druga: radiotelegrafista, strzelec pokladowy. Ponizej tego dyskwalifikacja. Zaczynamy!

Zadania byly proste, ale trzeba bylo sie spieszyc. Kapitan stal nad nami ze stoperem w reku.

- Na ten test macie minute, prosze odwrócic kartki, mierze czas. Koniec! Odwrócic kartki! Na ten macie dziewiecdziesiat sekund.

Uprócz kapitana, na sali było jeszcze dwóch oficerów. Usiedli na parapecie okna i półgłosem rozmawiali ze sobą. Palili papierosy i nie zwracali na nas uwagi. Nie musieli pilnować, czy ktoś nie ściąga od sąsiada, bo nie było na to czasu. W zawrotnym tempie egzamin zaczął się i skończył, jak stumetrówka na bieżni. Kapitan zebrał ostatnie kartki, uśmiechnął się i powiedział:

- Jutro będą wyniki.

I z tej próby wyszedłem obronna ręką. Uzyskałem 53

punkty, co dawało pierwszą grupę. Wieczorem poszedłem na piwo. Miałem pieniądze tylko na jeden kufel, ale podratowali mnie koledzy. Przy piątym Edek Polesiński poklepał mnie po ramieniu.

- Fajnie, będziemy się razem szkolili.

- Przestałem się ostatecznie martwić tym, że urwałem się od cichociemnych.

W Blackpoolu'u, po udanym występie przed komisją lekarską i uporaniu się z egzaminem ze sprawności umysłowej, nie zagrzałem długo miejsca. Był koniec marca i padał deszcz, kiedy małą grupką wsiedliśmy do pociągu, który miał nas zawieźć do Nottingham. Do Blackpoolu'u przyjechałem z chlebakiem, przygnębiony, niepewny przyszłości, wyjeżdżałem zadowolony ze służbowym lotniczym workiem. Już na dobre rozpocząłem swoją drogę w powietrze. W Nottingham czekał na nas pick-up powożony przez kaprala w spódnicy, którym szparko dojechaliśmy do Hucknall. Nasz szofer z piskiem opon zatrzymał się przed budynkiem administracyjnym lotniska i powiedział:

- This is it! Here you get out, lads.

Podziękowaliśmy umundurowanemu kapralowi za wspólną przejażdżkę, zabraliśmy worki i poszliśmy zameldować swoje przybycie. Ośrodek szkoleniowy RAF Station Hucknall tylko z nazwy był angielski. Lotnisko od 1941 roku należało do Polaków, którzy utratę na rzecz Niemców Dęblina odbili sobie na Anglikach, zabierając im Hucknall. Wszyscy piloci polscy, którzy po styczniu 1941 roku znaleźli się w powietrzu nad Anglią, przeszli przez Hucknall. Niedużo

lotnisko, pokryte zieloną murawą, było w typie bardzo polskie. Swojski krajobraz psuł tylko ogrodzony teren fabryki silników lotniczych Rolls-Royce'a i hangary, z których co jakiś czas wyfruwały prototypy samolotów bojowych pilotowane przez oblatywaczy. Na codzień kręciły się nad lotniskiem szkolne Tiger Moth'y, za sterami których siedzieli mniej lub bardziej spłoszeni uczniowie. W Hucknall mieściła się polska szkoła wstępnego pilotażu - No 25 EFTS, Elementary Flying Training School. Po krótkiej odprawie w punkcie przyjęć zostaliśmy całą grupą - było nas czterech - skierowani do baraku w którym przebywali tacy jak my. Przyszli piloci którzy na razie oczekiwali na kurs IT, Initial Training, obejmujący naukę teorii lotu, nawigację, budowę silnika, płatowca itp. Na ten kurs mieliśmy być przeniesieni do Brighton, po jego ukończeniu wrócić do Hucknall i rozpocząć właściwe szkolenie w powietrzu.

Wyjazd do Brighton miał nastąpić za kilkanaście dni. Narazie angielscy wykładowcy wzięli się ostro za nauczanie nas miejscowego języka. Angielski, który znaliśmy, wystarczał nam w barach i na randkach. To było już coś, ale za mało, żeby zdań egzamin chociażby z Kings Regulation, angielskiej wojskowej biblii, dzieła skleconego ze słów i zwrotów innych niż te, które mieliśmy w użyciu. No więc trzeba było się uczyć. To trzeba nie oznaczało przymusu. Na lekcje chodziliśmy chętnie. Nasz wykładowca, z urodzenia i zawodu belfer, na okres wojny zatrudniony przez Ministerstwo Wojny, był człowiekiem

dowcipnym, który nie nudził. Lekcje prowadził z humorem. Na pierwszej przedstawił się nam zwięźle kim jest i zaczął czytać listę obecnych. Zatrzymał się przy nazwisku Scott.

- Czy pan jest Anglikiem? - zapytał nieco zdziwiony.

Wyczytany wstał i odpowiedział po angielsku z fatalnym lwowskim akcentem:

- Yes. I am english, but I can't speak english.

Nasz nauczyciel zaniemówił z wrażenia. Coś takiego! Żeby Anglik i to nie jakiś na prędce naturalizowany w interesie Imperium kacyk murzyński, ale młody biały gentleman o wyglądzie arystokraty, nie znał własnego języka. To nie mieściło mu się w głowie. Pomyślał, że się przesłyszał, i ponowił pytanie.

- So... you are english and you can't speak the language? Am I right to say so?

- I can a little... not much...

Scott rozejrzał się po klasie, jakby chciał powiedzieć: ta pomóżcie mi batiary, żeby ten pitagoras przestał mnie męczyć.

Widząc to nauczyciel powiedział z uśmiechem:

- I am sorry for having you ambarassed Mr. Scott, please takie your sit and my advise, change your name or learn english.

Elgin Scott pochodził ze starej szkockiej rodziny, od lat osiadłej w Galicji i we Lwowie. Jak mówią Rosjanie, "opolaczyła" go mama Polka i czuł się bardziej Polakiem niż Szkotem, ale Warszawy i Edynburga wyrzekłby się za Lwów bez zmruczenia oka i dopłaciliby do tego interesu gdyby

zaszła potrzeba.

Kiedy po trzydziestu paru latach spotkałem go po wojnie w Kanadzie, Elgin miał trudności z ustaleniem, ile to właściwie lat ma jego żona i dzieci, ale ze znakomitą swobodą opowiadał, spod którego numeru na jego ulicy we Lwowie, która służąca wyprowadzała na spacer czyjego psa.

Codziennie przybywali nowi kandydaci na szkolenie w Brighton. Wielu z nich latało w Polsce przed wojną, było paru mechaników, którym znudziła się służba w lotnictwie na ziemi, było też kilku strzelców pokładowych i radiotelegrafistów ostrzelanych w powietrzu, którzy po ukończeniu pierwszej tury trzydziestu lotów operacyjnych chcieli zmienić specjalność. Takich jak ja, którzy nigdy dotąd nie siedzieli w samolocie, była mniejszość. Konkurencja zapowiadała się ostra, start nierówny.

W połowie kwietnia Brighton przywitał nas syrenami alarmu lotniczego. Odezwały się pelotki, ustawione wzdłuż nadmorskiej promenady, mała formacja Junkersów przeszła przez zapórę na północ, w głąb wyspy. Mieszkańcy Brighton, letniskowej miejscowości położonej o godzinę jazdy pociągiem na południe od Londynu, mieli takie strakcje bardzo często. Czasami po parę razy dziennie. Samo miasto bywało celem nalotów tylko niekiedy, ale nad nim prowadził szlak wielu wypraw Luftwaffe, które bomb pozbywały się gdzieindziej. Częste przeloty Niemców nad Brighton były dla nas czymś w rodzaju pomocy szkolnej w lepszym opanowaniu ważnego przedmiotu, jakim był na kursie "aircraft recognition", czyli rozpoznawanie sylwetek

samolotów.

Zostaliśmy zakwaterowani w niedużym hotelu przy Regency Square. Kuchnię mieliśmy parę kroków w stronę morza, w wielkim przed wojną luksusowym, hotelu Metropol, stojącym przy promenadzie frontem do morza, w którym swoje apartamenty miał George, nie jakiś tam zwykły George, ale koronowany z numerem szóstym. Nie przesadzę więc jak powiem, że jadałem w pewnym okresie życia z tej samej kuchni, co król angielski. Może tylko nie to samo...

W naszym hotelu pokoje były dwu i trzyosobowe. Bez przepychu, luster i dywanów, skromnie, ale kameralne nie koszarowe. W szkolnej eskadrze było dwóch Żydów. Nazywali się Gelibter i Falinower i przy podziale kwater powstała kłopotliwa kwestia, kto z nimi zamieszka. Żyd w baraku: mówi się trudno, dopust boży, trzeba to trzeba, ale zamieszkanie z takim w małym pokoju hotelowym wtedy, kiedy można sobie wybierać towarzystwo, to inna sprawa...

Gelibter miał kolegów, którym to, że był Żydem, nie przeszkadzało i poszedł z nimi. Pozostał Zygmunt Falinower, kędzierzawy brunet w moim wieku, z wyglądu sympatyczny i trochę jakby nieśmiały. Do Hucknall dołączył w przeddzień wyjazdu i nikogo nie znał.

- Dwóch następnych - powiedział szef eskadry.

- Chcesz mieszkać ze mną? - zapytałem go.

Przydzielanie kwater było na ukończeniu, została nas mała garstka.

- Chcę - ucieszył się - a ty chcesz?

- Przecież bym się nie pytał. Bierz swój majdan i

idziemy.

- Pokój 35, trzecie piętro - usłyszeliśmy za sobą.

Kotłowaliśmy się dosyć długo po korytarzach i korytarzykach trzeciego piętra, zanim znaleźliśmy swój pokój. Hotel był stary, wielokrotnie przebudowany, pełen schodków i zakamarków.

- Niech to cholera weźmie, poty na mnie bija - powiedział Zygmunt rzucając na łóżko worek. - Strach będzie stąd wyjść.

- Dlaczego strach?

- Co znaczy dlaczego? Ty będziesz umiał tu trafić z powrotem? Ja nie, może za tydzień się nauczę.

Zygmunt, po angielsku Jerry, był świetnym nabytkiem. Uczynny, koleżeński, miał i tę zaletę, że posługiwał się językiem angielskim jak wykształcony tubylec. Zacząłem z jego pomocą robić błyskawiczne postępy, a koledzy, którzy nie kwapili się do zamieszkania z nim, zaczęli mi go zazdrościć. Przychodzili po prośbie.

- Ty, Wiesiek, oddaj Jerry'ego, albo wypożycz...

- A co, Jerry to kurwa! - odpowiadałem niezmiennie - trzeba było brać, kiedy był do wzięcia. Spóźniona ta wasza oferta, panowie szlachta.

Przed wojną mówiło się, że każdy polski szlachcic ma swojego Żyda, i było w tym sporo prawdy. W socjalistycznej powojennej Polsce, za sprawą Wodza Narodów, którego portret onegdaj zbeszcześciłem z dużym politycznym wyczuciem, przyszło nowe i każdy Żyd miał co najmniej pięciu polskich szlachciców. Historia, jak kobieta,

zmienną jest... W polsko-żydowskich stosunkach, jak na boisku, było jeden do jednego, później jeden do pięciu. Pierwszy wynik nękał Żydów, drugi był nie do przyjęcia dla Polaków. Oba mecze trzeba będzie powtórzyć i znaleźć sędziego, który odgwiżdże bezbrankowy remis. Ale wróćmy do Jerry'ego.

Przyjechał do Anglii dwa lata przed wybuchem wojny. Wysłał go ojciec, średnio zamożny warszawski kupiec, do swojego brata, bogatego obywatela wyspy, który zaczął od worka z pustymi butelkami noszonego nagrzebiecie "na handel" i dorobił się dużego majątku, też na butelkach, tyle że pełnych, w branży win i innych napojów wyskokowych. W Warszawie ojciec przy pożegnaniu obiecał Jerry'emu złote góry i jedwabne życie.

- Zobaczysz synu jakiego masz dobrego wuja. On nie ma wcale dzieci, ty rozumiesz, co to znaczy? On ciebie pokocha jak matka. No, a przy jego pieniądzach sam będziesz miał wszystko i nam jeszcze pomożesz.

Jerry pojechał do Londynu z radośnie bijącym sercem i oczami wyobraźni widział się w niedalekiej przyszłości w różnych sytuacjach, z których jedne były korzystniejsze od drugich. Wuj zaraz na wstępie wylał mu na głowę wiadro zimnej wody.

- Ty myślisz, że ty przyjechałeś tutaj, żeby zrujnować mój interes. Chcesz się uczyć, to bardzo dobrze, ale zarób sobie na to! Twój ojciec to mądry człowiek, bardzo mądry, ale ty mi powiedz, z czego ja będę żył, jak on mi zacznie przysyłać takie darmozjady jak ty.

Jerry rozpoczął trudny okres życia. Wuj zaprowadził go do wynajętego przez siebie najtańszego pokoiku w najtańszym pensjonacie i powiedział:

- Masz dwa funty, to bardzo dużo pieniędzy. Będziesz miał na tydzień - poskrobał się po głowie - zaraz, co ja mówię na dwa tygodnie... Te dwa funty to ja tobie potrączę jak coś u mnie zarobisz. Jutro o szóstej rano przyjdź do składu, mnie tam jeszcze nie będzie, ale będzie taki co ci powie, co masz robić. Nie spóźnij się!

Jerry przetaczał beczki i ładował skrzynie na platformy, przeklinał wuja i gorzko wspominał obietnice ojca. Przez parę miesięcy był popychadłem i z nędznych tygodniówek spłacał pożyczone dwa funty. Kiedy konto u wuja miał czyste, zaciągnął nową pożyczkę, za którą zafundował sobie kurs na zawodowe prawo jazdy. zdał egzamin i wuj powierzył mu jedną ze swoich ciężarówek, którą Jerry zaczął rozwozić towar z hurtowni po Londynie i południowej Anglii. Praca była ciężka, ale lepiej płatna i Jerry na własny koszt mógł się teraz zapisać na wieczorowy kurs, którego ukończenie dawało świadectwo "London Matriculation". W dniu, w którym otrzymał świadectwo wymówił wujowi opiekę na sobą.

- Gdzie ty chcesz iść? Jak tobie dam podwyżkę - powiedział stary sknera, który dawał Jerry'emu połowę stawki płaconej innym. - Ja z ciebie zrobiłem człowieka, wydałem na ciebie pieniądze, a ty tak mi dziękujesz, łajdak!

- Jerry podziękował. Przez pewien okres pracował w

banku, potem zgłosił się do lotnictwa i został przyjęty. Z wujem był w bardzo oziębłych stosunkach, co się stało z rodziną w Warszawie, nie wiedział.

Nasze szkolenie w Brighton miało trwać dwanaście tygodni, pod koniec lipca mieliśmy wrócić do Hucknall. Nosiliśmy teraz białe wkładki w furazerkach, do jakich były uprawnione szkoły personelu latającego. Nasza eskadra została podzielona na sekcje, albo jak kto woli na klasy. W czasie alarmów lotniczych, nawet tych ogłaszanych urywanymi krótkimi sygnałami, które oznaczały bezpośrednie zagrożenie, nie przerywaliśmy nauki schodzeniem do schronów, bo program był obszerny i musieliśmy się zmieścić w wyznaczonym czasie. Po nas mieli przyjść następni.

Bardzo mi się tutaj podobało wszystko. Wykładowcy w większości Polacy, to czego nas uczyli, koledzy i dyscyplina, której tu od nas wymagano, a która nie miała w sobie nic z drylu wojskowego spotykanego w innych oddziałach. Dowódcą eskadry był kapitan Kryszczuk, nawigator po pierwszej kolejce lotów operacyjnych, który zginął później nad powstańczą Warszawą. Kapitan na pierwszej zbiórce wyjaśnił nam, po co tu jesteśmy.

- To nie jest zakład poprawczy, ani klasztorna szkoła dla panienek. W wolnym czasie możecie robić, co chcecie. Łazić po knajpach, prowadzać dziwki i grać na psich wyścigach. To wasza sprawa, mnie to nie obchodzi. Ale żeby mi żaden za dnia, po wyjściu z knajpy, nie padał płasko na pysk, albo odsypiał noce na wykładach. Macie się uczyć i

zdać na zakończenie kursu egzamin. Nie zapominajcie, że wasza nauka kosztuje i że nie Anglicy, ale my sami za nią płacimy.

Potem przedstawił się.

- Jak się nazywam, wiecie. Dlaczego jestem łysy, nie wiecie, więc wam powiem. - Kapitan przy swoich trzydziestu paru latach był łysy jak kolano, czym wzbudzał dużą ciekawość. - Otóż łysieje się z trzech powodów: z rozpusty, pijaństwa i zmartwień, a ja wyłysiałem z tych wszystkich trzech powodów naraz. Zajmijcie się nauką, to nie wyłysiecie tak jak ja.

Kapitan Kryszczuk swoim wesołym, wymagającym ale niedokuczliwym i koleżeńskim stosunkiem zjednał sobie sympatię wszystkich. Wierzył w skuteczność kar "wstydzających". Któregoś dnia otrzymał list od mieszkanki Brighton, że kadet o nazwisku Brycki, jego podopieczny, zniewolił nizej podpisaną pod obietnicą małżeństwa, ona jest w stanie poważnym, a on niepoważnie nie przyznaje się do winy i mówi, że sama chciała i nie tylko z nim chciała. Wystawił ją rufą do wiatru, więc dopomina się o interwencję nie tyle we własnym interesie, ile potomka, który przyjdzie na świat w wyniku tego oszustwa!

Brycki, szpakowaty pilot sprzed wojny, wiekiem należał do najstarszych uczniów na kursie. Sam nie wiedział, czy bryka dlatego, że nazywa się Brycki, czy dlatego nazywa się Brycki, że bryka. Nie wiedział, ale starał się nie przepuszczać okazji do wykazania, że spodnie mu się należą bardziej niż innym. Staczał, dla siebie szczęśliwe,

pojedyńki z przeciwnikami ubranymi w spódnice, aż do tego feralnego dnia.

Na porannej zbiórce kapitan Kryszczuk przerwał mu dobrą passę. Rozkazał:

- Brycki wstąp!

W przekonaniu, że spotka go jakieś przyjemne wyróżnienie, razno wystąpił przed szereg. Kapitan wyciągnął z kieszeni munduru pomiętą trochę kopertę, z której wyluskał list.

- Ten list - zaczął - jest adresowany do mnie, więc czuję się uprawniony do odczytania go w obecności wszystkich.

Czytał, a Brycki na przemian bladł, czerwieniał i przebierał nogami, żeby kapitan wcześniej skończył. Kiedy kapitan skończył, ryknęliśmy śmiechem. Brycki z półobrotów do tyłu odgrażał się nam. Afera skończyła się polubownie. Ta, która napisała list, niczego nie urodziła, bo kłamała, że jest w ciąży, a Brycki od tego czasu zmadrzał i przezornie obiecywał swoim kolejnym narzeczonym, że się ożeni, raz pod nazwiskiem Kowalski, raz jako Malinowski, bez stałego miejsca postoju. Kapitan Kryszczuk więcej reklamacji nie miał.

Nauki mieliśmy dużo. Po osiem godzin dziennie. W soboty sześć, niedziele wolne. Do pierwszego sobotniego planu zajęć jakiś zgrywus dopisał: 5 pm pieski, i tak zostało. Na wyścigach nikt obecności nie sprawdzał, ale chodzili na nie prawie wszyscy. Stały bywalec toru nasz kapitan Kryszczuk, który znał rodowody i możliwości

zawodników do trzeciego pokolenia wstecz, dawał innym dobre typy, ale sam najczęściej przegrywał.

Po pieskach wygrani szli na tak zwane obsługi do pubów i na dancingi, przegrani siadali na kwaterach do kart i srebrne szylingi, które zostawili pieskom, starali się miedzianymi pensami odbić sobie w pokera i oczko. Po drugiej przegranej sobocie i namysle, że psy, te bardzo miłe zwierzęta, wpędzą mnie w nędzę, zerwałem z torem. Nadmorskie plaże były zaminowane i zamknięte zwałami kolczastego drutu, ale w mieście były baseny, sztuczne lodowisko i korty. Zająłem się sportem. Zwąchałem się z Januszem Radke, przedwojennym mieszkańcem Bydgoszczy, który też wysiadł z psiego stadionu i który nieźle grał w tenisa. Sprzęt, zresztą świetny, był do wypożyczenia za podpis na pokwitowaniu, korty na telefon, wszystko bezpłatne. Tenis miał jeszcze i tę zaletę, że po kortach biegały dwunożne dziewczyny, a nie jak po torze czworonożne wyścigówki. Podobieństwo między pierwszymi i drugimi, na wyraźną korzyść dziewczyn, kończyło się na tym, że jedne i drugie lubiły być głaskane i poklepywane.

Razu pewnego przyszliśmy z Januszem na zarezerwowany przez siebie kort, żeby się przekonać, że jest on zajęty przez dwie panie. Przerwały grę i zaczęły nas przeproszać. Jedna młoda wysoka i szczupła, druga nieco przekwitła. Chciały zejść z kortu na co nam nie wypadało się zgodzić. Wersal trwał parę minut i młodsza zaproponowała:

- To może zagramy miksta?

Janusz skrzywił się.

- Bardzo chętnie - powiedział z rezerwą i dodał z pobłażliwą wyższością - ale my gramy ostro.

Młodsza uśmiechnęła się zdawkowo. Rozpoczęliśmy grę. Starsza umiała na korcie tyle co my, młodsza dużo, dużo więcej. Po paru piłkach stało się jasne, że Janusz się wyglupił. Po paru następnych, że przy młodszej obaj jesteśmy jak ślepe kociaki przy tygrysie. Janusz z nerwów zaczął machać rakieta jak cepem, walił piłki w siatkę i za ogrodzenie kortu. Po każdym nieudanym odbiciu oglądał struny naciągu i przebierał po nich palcami. Wyglądało to załośnie, jak pojedynek Kmicica z Wołodyjowskim. Gdyby znał lepiej angielski pewno słowami Kmicica poprosiłby młodszą. "Kończ waćpanna, wstydu oszczędź..."

Szczęśliwie popsuła się pogoda i zaczął padać deszcz. Przerwaliśmy nierówne zapasy. Starsza z partnerek podziękowała nam za grę, którą nazwała bardzo interesującą i pożegnała się. Młoda zaprosiła nas do siebie na cup of tea. Mieszkała nieopodal kortów w stylowej willi, otoczonej krzewami i dywanem krótko przyciętej trawy. Kluczem wyjętym z torby otworzyła drzwi.

- Proszę wchodzić.

Posadziła nas w salonie i poszła do kuchni. Urządzenie pokoju dobrze świadczyło o naszej gospodyni, ale nie meble, stare obrazy i porcelana przyciągnęły naszą uwagę, lecz kolekcja pucharów, od której mogło się zakreślić w głowie. Stały byle jak, pozornie niedbale poutykane po kątach, jakby nie były wiele warte, a nie trzeba było być znawcą tenisa, żeby z wyrytych na nich napisów domyślić

się, że srebrne są na wagę złota. Stały zebrane tutaj z całego niemal świata, z głośnych międzynarodowych turniejów, o których czytaliśmy przed wojną w sportowej prasie.

- Nie ma co, nacięliśmy się paskudnie - powiedział Janusz, kiedy weszła z herbatą ta, na którą nacięliśmy się.

- Czy te wszystkie srebrne naczynia to pani osobista własność? - zapytałem z głupia frant.

Roześmiała się.

- Tak, są moje. A co, podobają się wam?

- Nieźle...

- Jeden z nich - wskazała wzrokiem znad filiżanki - ten, który stoi na kominku, dostałam po wygranym finale Wimbledonu z waszą Jędrzejowską... - To nazwisko wypowiedziała wystarczająco dla nas zrozumiale.

Kłeska była zupełna, a ona widząc nasze miny zaczęła się pokładać ze śmiechu. Zaraziła nas swoim śmiechem. Śmieliśmy się całą trójką każde z czego innego. Ona z nas, ja z Janusza i jego zapowiedzi ostrej gry z mistrzynią Wimbledonu, Janusz ze swojej wpadki, chyba nie zupełnie szczerze.

Skonczyliśmy herbatę, podziękowaliśmy i wstaliśmy.

- Gdzie się spieszycie, usiądźcie, zrobię wam drinka.

- Musimy już iść - powiedział Janusz. - Mamy dziś wieczorem służbę.

- Obaj? - zapytała jakby zawiedziona.

- Ja nie mam - wtrąciłem pośpiesznie zły na Janusza,

ze Ize w moim imieniu.

- To ty zostań!

Zostałem i zasiedziałem się... Roznosiciele mleka przyglądali mi się z zaciekawieniem, kiedy krótko po wschodzie słońca pustymi ulicami podążałem z rakieta w reku w kierunku Regency Square. Przespałem się na lekcji w Kings Regulation, na której mowa była o znaczeniu, jakie ma dla wygrania wojny przestrzeganie przepisów dotyczących oddawania przełożonym honorów wojskowych.

Od tego czasu byłem z Januszem na korcie kilkanaście razy ale już więcej los nie obdarzył nas okazją gry z pierwszą rakieta Wimbledonu. Obie panie zniknęły z horyzontu. Janusz utrzymywał, że to z mojej winy, bo miałem wtedy wypić herbatę i wyjść z nim, a nie rozgościć się i zanudzać dziewczynę do rana. Nie chciał nawet słuchać moich zapewnień, że gdyby finał Wimbledonu odbył się nie wtedy kiedy się odbył, ale w następnym dniu po poznaniu dam, starszej i młodszej, to mistrzynią zostałaby na pewno nasza Jadzia.

x x x

Czerwiec był pogodny i ciepły. Brighton żył innym życiem, niż w czasie pokoju. Nie było letników. Miasto ożywiało się trochę tylko podczas weekendów, kiedy przyjeżdżali nieliczni mieszkańcy Londynu, parami, przeważnie bez dzieci i często sami nie od pary. Alarmy lotnicze były tu czymś zwykłym i mało kto zwracał na nie

uwagę. Ruch w powietrzu nie ustawał dniem i nocą. O świcie patrolowanie wybrzeża rozpoczynały dwójki Typhoonów, silnie uzbrojonych, szybkich myśliwców pościgowych, szczególnie niebezpiecznych dla przeciwnika w walkach na małych wysokościach. Pełniły straż z grzmiotem silników, który w krótkich odstępach czasu przybliżał się i oddalał. W dzień przecinały niebo białe smugi kondensacyjne wysoko lecących formacji amerykańskich Latających Fortec, w których oddalony pomruk wdzierały się zaczepnym hałasem dywizjony myśliwskie zdążające nad Francję na "wymiatanie" szwabów, tych w powietrzu i na ziemi. Myśliwcy przekraczali brzeg morski w pełnych składach po dwanaście maszyn, wracali różnie... Przeważnie razem i bez amunicji, ale często nie wszyscy. Wieczorami o zmierzchu z przeciągłym falującym odgłosem tysięcy silników szły zanurzone w ciemność nocne wyprawy ciężkich bombowców RAF-u. Ci, którzy mieli z tych wypraw wrócić, wracali przed świtem. Po wschodzie słońca startowały Tyhoony.

Ciężar wojny w powietrzu przeniósł się dawno z Anglii na kontynent. Luftwaffe, dziecku opasłego marszałka wypadły mleczne zęby i nie wyrosły stałe. Ale ten prawie już bezzębny nad wyspą Bekart, pod koniec czerwca o mało nas nie pokąsał. Niebo tego dnia było czyste. Staliśmy na skwerze przed hotelem po dwóch. Odbywały się ćwiczenia z sygnalizacji świetlnej alfabetem Morse'a. Instruktor od strony morza nadawał tekst lampą Aldisa. Jerry stał tyłem do niego i zapisywał grupy liter, które mu dyktowałem. Lampa błyskała z szybkością czterdziestu znaków na minutę.

Z trudnością nadażalem z odbiorem i nie zwróciłem uwagi na warkot samolotów nadlatujących od morza. Odległa od nas ze sto metrów bateria dział pelot nie strzelała, syreny alarmowe milczały. Warkot narastał. Ktoś głośno powiedział:

- Patrzcie, Focke-Wulfy 190!

Kilkanaście maszyn leciało szeroką ławą parę metrów nad wodą, na tak zwanej wysokości zero. Przestałem się gapić w lampę, którą instruktor, nieświadomy tego co ma za plecami, nieprzerwanie do nas mrugał, i przeniosłem wzrok na morze. Jedno spojrzenie wystarczyło. To były FW 190. Najlepsze myśliwce, jakie Niemcy mieli w tym czasie. Zbliżały się błyskawicznie. Jerry zdziwiony tym, że nagle zaniemówiłem, odezwał się:

- Wiesiek, ty nic nie mówisz, ja nic nie piszę... Co jest?

- Padnij!!! - wrzasnałem, bo na skwerze zakurzyło się od serii broni pokładowej. Nad promenadą Niemcy wyrwali w górę, przeskoczyli pierwsze domy i zniknęli. Po kilkunastu sekundach rozległy się detonacje wybuchających bomb. Focke Wulfy udały się swoim konstruktorom. Były groźne jako klasyczne myśliwce, a jak było trzeba, brały bomby do atakowania celów naziemnych. W tym dniu, w roli bombowców, zaatakowały Brighton. Celem ataku była miejska gazownia, ale ucierpiała sąsiadująca z gazownią szkoła. Wśród dzieci były ofiary. Zrzucono bomby aby prędzej...

Między nami ofiar nie było. Dziwiąc się sobie wzajemnie, wszyscy podnieśliśmy się nawet nie draśnięci.

Kiedy wrzasnąłem padnij, równocześnie padłem, a Jerry na mnie. Podniósł się pierwszy.

- Wiesiek - zapytał - żyjesz?

- Co mam nie żyć, ty byłeś na górze!

- Mnie się nic nie stało.

Wieczorem poszliśmy do pubu skorzystać z tego, że jesteśmy cali i zdrowi. Uszczupliliśmy swoje skromne fundusze, zamawiając parę kolejek, a Jerry swoim Oxfordzkim angielskim wdał się w rozmowę z dwiema dziewczynami. Szło mu to gładko, ja wtrącałem się chropowato. Jedna z dziewczyn była ciekawa.

- Jerry, dlaczego twój przyjaciel Vicky nie mówi po angielsku tak jak ty?

Jerry pomyślał.

Vicky ma inne zalety-powiedział i dorzucił pytanie: - Mieszkasz sama?

- Nie, z rodzicami.

- A twoja koleżanka? - dopytywał się.

- Dużo chcesz wiedzieć, lalusiu. Może i sama. I co z tego?

- Nie chciałybyście zabawić się z nami?

Jerry radził sobie świetnie, nie znałem go od tej strony.

- Może i chciałybyśmy.

- Miła z ciebie dziewczyna... Daleko mieszka twoja koleżanka

- Niedaleko, dwie ulice stąd. Będzie was to kosztowało po funcie.

- Jerry wyhamował.

- I nic taniej? Po funkcie to dla nas za dużo.

- Przykro mi lalusiu, ale na darmowe macanki i obłapki nie mamy czasu, my uczciwie pracujemy.

Szcześnie było od nas o funta za daleko. W kieszeniach pozostało nam z biesiady po kilkanaście pensów.

Chodziłem na korty, z pływania zrezygnowałem po drugim pobycie na basenie, kiedy przekonałem się, że przychodzą tam głównie dzieci, które w sympatyczny sposób chcą wykorzystać mnie jako nauczyciela crawla. Miałem co innego w głowie. Byłem już instruktorem crawla w Iraku, tam sprawa była poważna, a teraz na głupstwa nie miałem ochoty. Na basenie nic się nie działo i zainteresowałem się ślizgawką.

Było w Brighton kryte, otwarte przez dwanaście miesięcy w roku sztuczne lodowisko, na które przychodziły mamy ze swoimi pociechami, ale nie tylko. Na łyżwach nie jeździłem źle. W Krzemieńcu grałem w szkolenj drużynie hokeja, na obronie razem z Bronkiem Helwigiem, późniejszym kierowcą opla z zamachu na Kuczerę, i umiałem się trzymać na lodzie w hokejówkach i figurówkach. Jerry miał figurówki, na których nie jeździł. Przywiózł mi je z Londynu.

- Bierz Wiesiek i używaj jak swoich.

Mój debiut na iceringu wypadł dobrze. Z interesującą blondynką. Nie tylko z urody. Odprowadziłem ją, usiedliśmy na schodach jej domu. Była wczesna noc i niebo było pełne bombowców. Fala za falą leciały nad Niemcy. Jak zwykle,

jak codzień. Siedzieliśmy blisko siebie. Położyła swoją rękę na mojej.

- Ty też niedługo będziesz rzucał bomby?

- Będę.

- I nie będziesz miał wyrzutów sumienia, że zginę kobiety i dzieci.

- Żadnych!

Cofnęła rękę.

- Ja jestem Niemką...

Poczułem się niezręcznie.

- A skąd tu się wzięłaś?

- Jestem z rodziną. Przyjechaliśmy przed wojną. Od czasu, kiedy się zaczęło, jesteśmy wolni ale pod nadzorem policji. Od was znam Scotta.

- Elgina?

- Tak, Elgina, to bardzo miły chłopiec, tak jak ty zresztą.

Położyła swoją rękę z powrotem na mojej.

- Uważaj, pomyślałem - żebyś się w coś nie włądował.

- Dlaczego mówisz, że jestem miły?

- Bo jesteś, a ja mam dosyć wojny i myśli o tym, że chłopcy, jak wy tutaj i tamci i z za kanału, strzelacie do siebie.

- Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej... Nie my zaczęliśmy.

- Nie wy i nie ja...

- Nie ty - zgodziłem się i przeniosłem rękę na jej kolano. - Więc co zrobimy?

- Nie. Idę spać. Na ring przychodzę co drugi dzień.
Dobranoc.

W ten oto sposób ^zstarłem się o unieszkodliwioną przez kontrwywiad angielski przedstawicielkę piątej kolumny, czy czegoś tam. Elgin, kiedy mu powiedziałem o znajomości z lodowiska, machnął lekceważąco ręką.

- To ja wim. Mnie już przykazali, żebym ja się z nią nie prowadzał.

- Kto taki?

- A taki jeden patafian z Inteligence. Gadał jak ksiądz. Że to ja niby jako Anglik i jako Polak powinien jej unikać.

- A ty co?

- A co ja głupi? Pacałychę miałem robić? To fajna dziewczucha.

x x x

Elgin ukończył pilotaż i latał w polskich dywizjonach myśliwskich, a znajomość z niemiecką blond Venus nie wpłynęła źle na jego polsko-brytyjskie morale i ducha bojowego.

Przyszła lipiec i z nim narodowa tragedia. W wypadku lotniczym w Gibraltarze zginął ten, którego jedni uwielbiali, inni nienawidzili: generał Władysław Sikorski. Nikt do końca nie wie, jak to się stało, bo ci co wiedzą milczą. Ale od lat draży mnie myśl, że to był zamierzony wypadek. Nie sabotaż i nie błąd pilotażu. Odwrotnie, że to

był kunszt pilotazu. Kunszt zamierzonego ostrego wodowania zaraz po starcie z chęcią mordu. Obojętne, za pieniądze czy z rozkazu. Pilot przeżył, generał zginął. Byli tacy, którzy się wtedy cieszyli. Ale przecież nigdy tak nie jest, żeby czyjaś śmierć martwiła wszystkich. PRzed tym ludzie przestaną być ludźmi.

Przeczytaliśmy w gazetach o katastrofie i niedługo potem rozpoczął się egzamin.

Życie jest ciągłym sprawdzianem. Tamtego w Brighton nie obawiałem się. Umiałem, ile było trzeba, i wiedziałem, że lepiej czy gorzej ale zdam. Przeszedłem z trzecią lokatą. Wysoką, której koledzy mi zazdrościli, bo nie uchodziłem za kujona. Najlepiej zdał Michalski. Przedwojenny zawodowy podoficer, uparty i zdolny samouk. Taki, któremu żyto wyrośnie pomimo suszy, i taki, któremu żona nie urodzi córki kiedy on jej powie, że ma być syn. Po egzaminie należał się nam tygodniowy urlop. Urlopy są kławe, jak się ma pieniądze. Z Jerry'm doliczyliśmy się niecałych dwóch funtów.

- Twój wuj... - przypomniałem mu.

- Ten skurwysyn - powiedział Jerry, - ja nie chcę o nim słyszeć.

- Idź do niego, on nam pożyczy! Przecież oddamy.

Wuj Jerry'ego był w tym czasie w Brighton na naradzie handlowej z takimi jak on przedsiębiorcami z branży win i wódek. Narada odbywała się w jednym z dobrych hoteli na promenadzie. Staliśmy przed tym hotelem.

- Idź do niego, Jerry. Zobaczysz, że da.

- Ty koniecznie chcesz, żebym wyszedł na durnia?

- Dlaczego? Boisz się go? - powiedziałem w przeczcuciu, że to poskutkuje.

- Ja go się boję? - Jerry niemal się obraził i chwacko ruszył do hotelu. Przy drzwiach obejrzał się. - Tego skurwysyna! Ja się boję?..

Wrócił po paru minutach czerwony na twarzy i bardzo gniewny.

- Dlaczego ja ciebie słucham, Wiesiek?

- Dał forse? - zapytałem.

- Dał. Ty wiesz, co on powiedział?

- A co?

- A to, żebym ja wziął worek na plecy z pustymi butelkami, sprzedał te butelki i zarobił, to potem pojedzie na urlop. Bo on tak zaczął i do mnie po pieniądze nie przychodzi.

- A to drań, niech go cholera!

- Ty mnie to mówisz?

Pieniądze miał Michalski i pojechaliśmy we trójkę do Kornwalii. Jerry uparł się, że tam najładniej. Kornwalia to piękny zakątek wyspy. Mieszkaliśmy na skarpie tuż nad morzem, w zieleni i kwiatach, przy których właścicielka naszego niewielkiego pensjonatu miała zazwyczaj krzątania się po porannej rosie, w towarzystwie dwóch wesołych psiaków, z których jeden wabił się Dick a drugi John, w dowód pamięci po jej zmarłych mężach. Świeciło słońce, woda była ciepła i codziennie zaraz po śniadaniu wypływałem daleko w morze. Opaliłem się na brąz, wśród

dziewczyn na plaży robiłem postępy i bezmała zapomniałem o tym, że jest wojna.

Niewiele tu się działo. W powietrzu brzęczały pszczoły, rzadziej samoloty. Czasami w pogodne noce od strony morza, rozlegały się stłumione odgłosy dalekich detoacji, niekiedy przeciągłych jak pomruk nadchodzącej burzy. Niosły się głuchym echem i zanikały. Pozostawał szum morza. Wojna przybliżyła się któregoś dnia, już pod koniec naszego pobytu. Zaroiło się w okolicy od patroli na morzu i w powietrzu. Brytyjskie torpedowce i ścigacze wyławiały z wody załogi amerykańskich latających fortec, które wracając z rozbitej przez Niemców wyprawy, z rannymi i zabitymi na pokładach, nie osiągnęły brzegu i wodowały na kanale. Tutaj nie było Niemców, ale dalej na wschód, bliżej brzegu francuskiego, toczyła się na kanale walka o to, kto pierwszy dotrze do rozbitków i wyciągnie ich z wody. Ci, co mieli szczęście, trafiali w ręce aliantów, mniej szczęśliwi w ręce Niemców, pechowcy, których alianci i Niemcy sobie wzajemnie wyciwali, w tej walce ginęli.

Do Brighton wracaliśmy przez Londyn. Tam mieliśmy przerwę w podróży i poczuliśmy się głodni. Mogliśmy pójść do pierwszej lepszej kantyny żołnierskiej i zjeść przyzwoity obiad za niewielkie pieniądze. Mogliśmy i Michalski tak doradzał.

Mnie przypominał się "Rubens", w okresie wojny hotel zajęty na użytek polskich władz wojskowych i cywilnych. Wiedziałem, że jest tam restauracja z dobrą rodzimą kuchnią.

- Chodźmy do "Rubensa" - zaproponowałem - zjemy coś dobrego.

Zandar[▲], który pilnował wejścia, zatrzymał nas.

- A wy dokąd?

- Do restauracji na obiad. - Facet mi się nie spodobał. Na jego nalanej czerwonej gębie pojawił się niezycześliwy uśmiezek.

- Tu nie ma restauracji. Jest tylko kasyno oficerskie i tam was nie wpuszczę!

- Miałem na końcu języka pytanie: to gdzie ty żresz? ale zapytałem oględnie:

- To w takim razie gdzie tu można coś zjeść?

- Zapytam się - powiedział. - Może dadzą wam coś zjeść w kuchni.

Ach, ty skurwysynu, pomyślałem.

- Niech się pan nie fatyguje i jałmuznę w kuchni daje dziadom. My nie przyszliśmy po prośbie i pieprzymy pana poczęstunek.

Coś wrzasnął, a my poszliśmy do restauracji o swojskiej nazwie "Polonia". W sąsiedztwie stolika, który zajęliśmy, siedziały dwie dystyngowane starsze panie. Jedna z nich widząc zapał, z jakim wymiatamy talerze, odezwała się życzliwie:

- Widzę, że wam smakuje jedzenie. Prawda, że dobre, chłopcy?

Rozdrażniony przez zandarma, warknąłem z nad talerza opryskliwie na tę samarytanke.

- Nie wąskie zardie!

x x x

Z Brighton do Hucknall wracaliśmy przez Londyn kolumną złożoną z paru pick-up'ów. prowadzący transport porucznik miał coś do załatwienia w "Rubensie". Zatrzymał kolumnę przed hotelem, zeskoczył z samochodu, wszedł do środka i nie wracał. Po kwadransie zaczęliśmy gwizdać na palcach. Dla zabicia czasu, nie z protestu. Nie zrozumiał tego żandarm wartujący przy wejściu i zaczął się nam odgrażać. A my jemu. Ze śmiechem i docinkami. Było już naprawdę wesoło, kiedy zabawę popsuł porucznik, który wrócił i nakazał kolumnie jechać dalej. Ruszyliśmy z głośnym gwizdem, który londyńczycy wzięli za dowód polskiego bojowego ducha, Uśmiechnięci podnosili w górę dwa palce prawej ręki na znak "V" - for Victory.

Był sierpień i moje marzenia zmieniały się w rzeczywistość. Dali mi kombinezon, haubę lotniczą i resztę ubioru przewidzianego dla uczniów szkółki w Hucknall. Było tego dużo. Osobno wręczyli mi spadochron z pouczeniem, jak się go zapina, rozpiną i do czego służy. Wszystko wiedziałem, wszystko miałem, więc na start!

Długo czekałem na ten dzień, od lat. Tak, od lat, bo już był 1943 rok, a ja swoją drogę do latania rozpocząłem prawie trzy lata wcześniej, kiedy to mój pies oszczekał NKWD za nocną wizytę złożoną mi w listopadzie 1940 roku w Krzemieńcu. Zresztą może wcześniej rozpocząłem, może później, w każdym razie w odległej już przeszłości i nie

typowo - bez karty wezwania, świstu lokomotywy i powiewającej na peronie chusteczkami rodziny.

- Pierwsza lekcja to oswojenie się z powietrzem - powiedział mój instruktor. - Mam to niewdzięczne zadanie, żeby zrobić z pana pilota. Nie wiem, czy mi się uda, ale spróbuję. Niech pan siada, zapnie się, nogi na orczyk i prawa ręka na drążek. Na razie polatamy razem, a jak się to panu spodoba na tyle, że się pan czegoś nauczy, to polata pan sam.

Spodobało mi się. Robiłem postępy. Po czterech godzinach nauki radziłem sobie zupełnie znośnie ze startem, zmianami wysokości i kursów, natomiast lądowania raz mi wychodziły, raz nie.

- Kiedy pan ląduje, niech pan nie myśli - pouczał mnie instruktor. - Dupa nie głowa jest przy lądowaniu ważniejsza. Ucieka panu nad ziemią maszyna spod tyłka, to drążek, z wyczuciem, na siebie i po krzyku.

Na pewno miał rację, ale zgłębienie tej sztuki, nie było wcale takie proste i wymagało trochę czasu. A ten upływał. W Hucknall obowiązywały bardzo ostre normy - trzeba było zakwalifikować się na pierwsze solo po sześciu godzinach nauki latania. Kto tego nie potrafił, odpadał z pilotażu. Zdarzały się wyjątki z doliczaniem jednej czy dwóch godzin takim, którzy na krawędzi sześciu się nie zmieścili, ale na nic więcej nikt nie mógł liczyć. Przychodząc tutaj najlepiej było już umieć latać. Dla większości tych, którzy do 1942 roku przeszli przez Hucknall, te sześć godzin było aż o pięć za dużo. Przez

pierwsze dwa lata szkółka była właściwie miejscem, gdzie się spotykali dawni pułkowi koledzy, z których jedni byli tutaj instruktorami, a drugim przypadła rola ich uczniów. Instruktorzy mieli wtedy łatwe życie, nie musieli oswajać z lataniem swoich podopiecznych. Oblewali z nimi spotkania i następnego dnia rano wysyłali ich w powietrze.

- Weź tego Tigera i leć gdzie chcesz.

- Franek, ale ja już zapomniałem, jak się lata na takiej gazecie.

- Łatwiej niż na Karasiu i odpieprz się, bo mam kaca.

W powodzi faworytów trafiał się wtedy fuks, który do samolotu wsiadał pierwszy raz w życiu, ale takich był znikomy procent. Limit do wylaszowania ustalony dla tamtych pozostał nam w spadku, chociaż powinien ulec zmianie, bo teraz nas fuksów było coraz więcej. Mój instruktor przy podziale "kto komu" zadbał o to, żeby mu nie wsadzili piskląt do wypierzenia na pierwszy krok w chmury. Miał nas trzech. Mnie i dwóch swoich kolegów ze Skniłowa, z którymi latał w szóstym pułku i w wolnym czasie zakąszał po lwowskich knajpach. Kumpli wypuścił na solo w drugim dniu. Zostałem się jemu, jak samotny biały żagiel, w który mógł, ale na dobrą sprawę nie musiał, podmuchać. Po pięciu dniach szkolenia, kiedy przekroczyłem dozwolone sześć godzin i dobijałem do siódmej, wysiadł na starcie z Tigera i powiedział:

- Niech pan leci sam.

Kiwnąłem głową, że rozumiem i dziękuję.

Uczeń - pilot pamięta swój pierwszy samodzielny lot

nie gorzej, niż dziewczyna utratę cnoty. Temu i tamtemu towarzyszą podobne uczucia, podniecenia, radosnego strachu i... wyzwolenia. To, co robiłem z instruktorem, teraz zacząłem szeptać sam do siebie, jak jakiś dziwny pacierz.

Manetka pomału do przodu, do oporu... pełny gaz! Drażek od siebie, ogon do góry, trzymać i patrzeć na szybkościomierz. Teraz drażek do pozycji środkowej, lekko na siebie, i lecimy... Wspaniale. Tiger z nosem zadartym nad horyzontem nabiera wysokości, w słuchawkach cisza. Nie przerywana uwagami instruktora.

- Wisi w prawo... Kurs, trzymać kurs.

Szybkość, do cholery!

Na przednim siedzeniu nie ma nikogo, więc co się przejmować. Wisi? To niech sobie trochę powisi. Nic się nie stanie. Kurs. Rzeczywiście, miałem wyjść na kominy cementowni, a mam je daleko po lewej stronie, ale przecież wiem, gdzie lecą, nie zgubię się.

- Szybkość - tej mam za dużo, nie spadnę.

Sam nie wiem, jak wylądowałem.

- Trochę się o pana bałem - powiedział instruktor - ale widzę, że niepotrzebnie. Start to pan spieprzył, ale do lądowania nie mam zastrzeżeń. Jak się pan czuje?

- Świetnie - skłamałem, bo na ten dzień miałem dosyć wrażeń.

- No to powtórzmy. Niech pan trzyma kurs przy starcie.

Druga próba wypadła w odwrotnym porządku. Wystartowałem na piątkę i wylądowałem na trzy z minusem.

Po paru dniach opanowałem sztukę synchronizacji podczas lądowania głowy z dupą i mój instruktor orzekł, że nadszedł czas na naukę akrobacji. Zaczęliśmy od korkociągów. W lewo, potem w prawo, potem z wyprowadzaniem Tigera na kierunek. Następne były petle, wywroty, zawroty i beczki. Pierwszą samodzielną beczkę zakończyłem nie zamierzonym korkociągiem, czym wprowadziłem obserwującego mnie z ziemi instruktora w wesoły nastrój.

- Barową wiązanke pan wykreślił, korkociąg i beczka. Ładnie, należy się panu za to kufel piwa.

- Gdzie mi się należy?

- Niech pan wpadnie dziś wieczorem pod "Siedem Dzwonków" ...

Kurs w Hucknall ukończyłem tak sobie. Nie najlepiej, nie najgorzej. Rozwaliłem jednego Tigera przy lądowaniu ze ślizgiem, który chciałem zakończyć jeszcze w powietrzu, na wysokości paru metrów, a zakończyłem na trawie lotniska. Kiedy zaraz po kraksie zacząłem żałować rozbitej maszyny, dowódca szkolnej eskadry pocieszył mnie.

- Jest pan w wojsku, w którym żołnierz jest ważniejszy niż karabin. Nic się panu nie stało, to i dobrze, ale ślizgi niech pan kończy wyżej. W lataniu obowiązuje zasada: ziemia jest niebezpieczna i trzeba się jej bać.

Trochę się jej bałem, ale chyba za mało. W Newton, dokąd zostałem przeniesiony na dalsze przeszkolenie na myśliwca, przez zwykłą głupotę wykończyłem "Miles Mastra". Zaczęło się w Nottingham przy piwie. Mietek miał Virtuti, ileś operacji za sobą, i na koncie jednego zestrzelonego

Szwaba. W barze czekał na jakąś dziewczynę, która się spóźniała, i z nudów zaczął ze mną rozmowę, dla mnie fatalną w skutkach. Gdyby nie ta jego spóźnialska znajoma, pewno ukończyłbym "Mastry" i doczekał się dekoracji gapa pilota. Zwierzyłem się Mietkowi, że staram się jak mogę, ale daleko mi do wielu kolegów, którzy przez kurs idą spacerkiem. Mietek zainteresował się, kiedy wymieniłem nazwiska tych kolegów, i powiedział, że niektórych zna z Bydgoszczy, gdzie dzie wcale tak bardzo nie błyszczeli.

Pomyślał nad czymś i po trzecim kuflu powiedział:

- A chcesz tym baranom pokazać, jak się startuje?

- No, chcę.

- To dobrze. Zrób tak - pociągnął z kufla i zapalił papierosa. Pełny gaz i trzymaj "Mastra" na mordzie. Nie czekaj z podwoziem, "Master" na mordzie, a ty przyciskaj i uchwyt podwozia na "up". Jeszcze na ziemi, rozumiesz?

- Tak.

- Poderwiesz, podwozie natychmiast się schowa, a ty w górę zyletą!

Na środku lotniska była górka, za słabo na niej przycisnąłem, podwozie złożyło się za wcześnie i zaryłem w trawę. tłumaczyłem się, że nie dotknąłem w ogóle dźwigni podwozia i nie wiem dlaczego siadło, na co szef wyszkolenia machnął ręką.

- O lataniu nie ma pan pojęcia, a wyczynia pan cyrkowe sztuki. Bardzo mi przykro...

- Może by mi się ta awantura upiekła, ale pech chciał, że do szkoły w Newton przyszło w tym czasie polecenie

odkomenderowania kilku uczniów na kursy nawigatorów i bombardierów. Lista była krótka, ale niestety nie zabrakło na niej mojego nazwiska. Wróciłem do Blackpool'u. Miałem teraz przed sobą wyjazd na szkolenie do Kanady, ale nic mnie nie bawiło. Ani Kanada, ani to, że miałem z niej wrócić jako nawigator-bombardier z perspektywą latania na wojnę na najlepszych w swojej klasie dwumiejscowych lekkich bombowcach typu Mosquito.

Przez pierwsze dni struty wałęsałem się po ulicach jak ktoś, komu w przeddzień ślubu z ukochaną dziewczyną wylazł syfilis. Był ze mną Edek Polesiński, któremu też nie poszło na pilotażu, Józio Zdanio, Polak z Peru czy Urugwaju, już nie pamiętam, i Bohdan Petrusiewicz, sprzed wojny mechanik lotniczy, który przebywał na wyspie od 1940 roku. Ojciec Józia, legionista, kiedyś posprzeczał się o coś z Marszałkiem i po przewrocie majowym uznał swoją obecność w kraju za zbyt dużą, kazał się rodzinie spakować i pojechał za ocean pod Krzyż Południa. W Ameryce Józio chował się dobrze, wyrósł na wysokość ponad sześciu stóp angielskich. Na ogół łagodnego usposobienia wobec własnej płci, cięty był na dziewczuchy. Wychowany poza krajem, mówił po polsku bez obcych naleciałości. Bohdan, koniecznie przez samo "h", był żonaty w Anglii z ładną blondynką - jedynaczką, której rodzice czerpali dochody z udziałów w przemyśle browarowym i tekstylnym. Jak na mechanika lotniczego z warszawskiej robotniczej rodziny, miał dziwny zwyczaj wydawania pieniędzy na manicure i przykładania przesadnej wagi do właściwego zapachu i gładkości swojej

skóry. Nosił przy tym krótko ostrzyżony angielski wasik, któremu codziennie rano, kiedy inni jeszcze spali poświęcał pół godziny z nożyczkami przed lustrem. Nie wiem, kto i w jakim celu ochrzcił go imieniem tracącym Zaporozem, bo Bohdan z wyglądu i manier przypominał raczej subiekta z za lady sklepu z wykwintną galateria dla gentlemanów, niż barbarzyńcę z dzikich stepów. Co prawda, czasami to samo "h" w nadanym mu imieniu dawało znać o sobie. Zły posługiwał się nieco plugawym językiem. Był wyczulony na piękno i kiedyś oburzył się na Józia za siorbnięcie zupy podczas obiadu.

- Jak on zre, ten przybłęda z Argentyny! Estetycznie konsumuj, w mordę szarpany! - powiedział, a widząc, że Józio chce mu dać po pysku za przybłędę, szybko dodał: - Tylko subtelnie do Bodzia, kowboju z pampasów.

Bodziem dla mnie pozostał. Obrączkę zakładał kiedy Vivian, jego ślubna małżonka przyjeżdżała do Blackpool'u i zdejmował zaraz po jej odjeździe.

Małżeństwo zaprosiło mnie na weekend, które to zaproszenie z zadowoleniem przyjąłem. Teściowie Bodzia mieszkali z córką niedaleko Blackpool'u, w fabrycznym mieście Macclesfield. Takim mniejszym Manchesterze, angielskich Fabianicach. Po drodze ze stacji kolejowej Bodzio wypatrzył w żydowskim sklepie rolmopsy. Nabyliśmy dwa słoiki.

- W domu wszystko mają, oprócz normalnej zagrychy - powiedział - uczę ich, uczę i niczego nie mogę nauczyć. Moja teściowa połowę życia przesiedziała w knajpach i nie

wie, co to ogórek i śledz.

W domu zastaliśmy Vivian, rodzice byli w mieście, spodziewała się ich wkrótce. Przywitała się z nami, wzięła rolmopsy i poszła do kuchni. Bodzio wyciągnął z kredensu butelkę whisky i dwie szklanki.

- Napijmy się po jednym, zanim Vivian przyniesie rolmopsy. Wypiliśmy po dwie kolejki, a Vivian nie wracała. Tknięty jakimś niedobrym przeczuciem, Bodzio wstał i powiedział:

- Pójdę i zobaczę, co ona tam robi w kuchni.

Chwilę po tym rozległ się jego wrzask i śmiech.

- Wiesiek, choć tu prędko, coś zobaczysz!

Z uciechy trzymał się za brzuch.

- Ty podejdź i zajrzyj do tego rondelka.

Vivian stała obok i milczała przerażona nagłym i zupełnie niezrozumiałym dla siebie wybuchem wesołości Bodzia. Uniosłem pokrywkę. W rondelku gotowała się ostro pozostałość po rolmopsach, na wierzchu smętnie pływały patyczki... Jako gość nie powinienem był tak postąpić, ale nie wytrzymałem i też parsknąłem śmiechem. Vivian teraz rozumiała, że się z niej śmiejemy, a ponieważ nikt tego nie lubi, przerwała nam gniewnie zabawę.

- What is so funny? Don't laugh two fools and let me share the jock!

Bodzio otarł oczy z łez.

- Darling - powiedział. - Rolmopsów się nie gotuje. Nie wiedziałaś o tym?

- A skąd miałam wiedzieć? - zachnęła się. - Urodziłam

się w cywilizowanym kraju, gdzie ludzie surowej ryby nie jedzą!

- Darling, rolmops to nie ryba, to śledz. - Bodzio próbował wytłumaczyć swojej angielskiej żonie to, co w Polsce rozumie każde dziecko - różnicę między rybą a śledziem.

- Dobrze już, dobrze, gorsze świństwa ludzie jedzą. Pójdę i odkupię wam te wasze rolmopsy.

Teściowie Bodzia nie byli wychowani na smoczku. Do tego, co mieli, doszli wieloletnią pracą własnych rąk. Harry, ojciec Vivian, pogodny i cichy człowiek był udziałowcem w fabryce, w której nadal pracował jako majster. Nie dla pieniędzy, których miał dosyć, z prostego przyzwyczajenia. Joyce, jego żona, pogodna jaką męż, ale nie taka cicha, miała za sobą lata pociągania za wajchę w pubach, w których napełniała kufle piwem, żeby z czasem przystępować do spółek z właścicielami i sprzedawać jedne spółki, a kupować inne. Vivian szanowała swoich rodziców. Otrzymała od nich kosztowne wykształcenie w prywatnej żeńskiej szkole z internatem, z której wyszła na tyle nie przygotowana do życia, że padła ofiarą miłości do Bodzia od pierwszego wejrzenia.

Harry zjadł obiad, przeprosił obecnych i poszedł do fabryki. Za dnia tylko tam nie nudził się. Teściowa Bodzia, która wystarczająco długo przebywała za bufetami pubów, żeby jej tam nie ciągnęło teraz jako mile widzianego i szanowanego gościa, po wyjściu męża odezwała się wesoło:

- Listen boys, let's go for a round to meet some friends!

Poszliśmy. W drodze powrotnej Joyce zaprowadziła nas do fabryki, z którą Bodzio wiązał swoje życiowe plany. Fabryka szła w tym czasie na pełnych obrotach. Robotnice, przeważnie młode i roześmiane, terkotały na maszynach i słuchały jednym uchem audycji BBC "Music while you work". Wieczorami chodziły do kina i na dancingi, w dzień szyły białe maskujące kombinezony, które na front wschodni docierały konwojami przez Murmańsk. Zarabiałały wtedy nieźle i cieszyły się, że jednocześnie pomagają rosyjskim aliantom.

Związek Radziecki, dla Anglików Rosja, był wtedy na wyspie bardzo popularny. Dla zwykłych ludzi - jako sojusznik i bohaterski naród, dla innych - jako partner polityczny, któremu za to, co robi, trzeba się rewanzować. Głównym zajęciem Rządu Polskiego w Londynie było w tym czasie czuwanie nad tym, żeby Anglicy nie płacili Rosji kosztem Polski. Czuwali w tym Londynie ze zmiennym szczęściem.

Teściowa Bodzia miała swoje kłopoty. Bardziej martwiła się o córkę, niż o powojenne granice kraju, z którego pochodził jej zięć. Lubiła Bodzia, ale w głębi ducha wolałaby spotykać się z nim przez parkan ogródka, jako mężem nie własnej córki, ale sasiadki. Wieczorem Harry, zmęczony moim przydługim wykładem o dobrych Rosjanach i niedobrej Rosji, zasnął w fotelu.

Vivian zagrała nam na pianinie "Warsaw Concerto".

Harry chrapał. Teściowa dopijała dzin. Poszliśmy spać.

x x x

Wróciliśmy do Blackpool'u i w kilka dni później meldowaliśmy swój przyjazd w obozie tranzytowym Heaton Park, skąd nasza droga miała prowadzić do Kanady. Było nas Polaków kilkusobowa grupa. Z Polskich Sił Powietrznych zostaliśmy przeniesieni do RAF-u, w Kanadzie w okresie szkolenia mieliśmy podlegać dowództwu RCAF - Kanadyjskiego Królewskiego Lotnictwa - i potem przez RAF wrócić z powrotem do PSP, Polskich Sił Powietrznych.

O tym, że służę teraz w RAF'ie, w lotnictwie Zjednoczonego Królestwa, przekonałem się już w pierwszym dniu pobytu w Heaton Park. Właścicielka pensjonatu, gdzie miałem oczekiwać na transport, przyjęła skierowanie, które jej wręczyłem, oznajmiła mi to, co wszystkie właścicielki pensjonatów wynajętych przez Ministry of War zapowiadały swoim gościom w mundurach, że do jej domu dziewczynek przyprowadzać nie należy, i wskazała mi drzwi na parterze.

- To jest pokój dwuosobowy, będzie w nim pan mieszkał z jeszcze jednym gentlemanem.

Nacisnąłem klamkę. W pokoju było prawie ciemno. Nieszczelnie zasłonięte okna przepuszczały trochę światła. Na dworze był mglisty październikowy wieczór. Myślałem, że jestem sam. Przejechałem ręką po ścianie w poszukiwaniu kontaktu.

- Kontakt jest w lewo od drzwi. - Z głębi pokoju odezwał się czyjś głos. Człowieka nie było. Czary - pomyślałem zapalając światło - duchy jak^śś...

Właściciel głosu nie był duchem, bo te są zawsze białe, a on był czarny jak heban. Błysnął na mnie zębami i białkami oczu i powiedział:

- Cześć.

- Cześć - odpowiedziałem.

- Będziemy mieszkali razem.

- Fajnie.

- Skąd jesteś?

- Z Polski. Wiesz gdzie to?

- Zawahał się.

- Tak, to zdaje się gdzieś w Rosji.

- Niezupełnie, a ty skąd?

- Ze Złotego Wybrzeża. Wiesz gdzie to?

- Naturalnie, że wiem.

- Naprawdę? - zdziwił się.

- Naprawdę. Z lekcji geografii.

- Na co się teraz szkolisz?

- Na nawigatora, a ty?

- Też na nawigatora.

- To źle.

- Dlaczego? - zamrugnął zaniepokojony. Dlaczego mówisz, że źle?

- Bo z geografią u ciebie słabo, jak na nawigatora, a świetnie być się nadał na nocnego myśliwca.

- Ja?

- Ty... Żaden Niemiec nie zobaczyłby ciebie w nocy. Wykosiłbyś dziesięciu, zanim by się połapali, że latasz w powietrzu.

Zamrugął przyjaźnie i roześmiał się zębami. Zacząłem się rozpakowywać.

- Czym jesteś z cywila? - zapytał.

- Ja niczym. Uczniem bez zawodu. A ty? - odwzajemniłem pytanie.

- Przyszłym królem!

- Czym! - nie uwierzyłem własnym uszom.

- Mówię, że królem, po śmierci ojca.

- Czym królem? Zaskoczył mnie zupełnie. Nie pomyślałem, że w Afryce nie ma prezydentów i premierów, że są tylko biali namiestnicy i czarni królowie, których władza kończy się najczęściej na szczepach, jak naszych sołtysów na gminach. Król to jednak brzmi dumniej.

- Swojego ludu, Ga.

- Ga? - udałem, że się nad czymś zastanawiam, chociaż nie miałem zielonego pojęcia, co to takiego.

- Ga? - powtórzył czarny następca tronu. - Nie słyszałeś?

Pierwsze przyszły mi do głowy słonie i banany.

- Tak, zdaje się, że coś słyszałem... Wy macie dużo słoni i bananów - powiedziałem, mając jeszcze w zapasie małpy i węże, które tam też musiały być. Nie wspomniałem o złocie, bo podejrzewałem, że ze złota Anglicy już lud Ga obrali.

Król uśmiechnął się i wyliczeniem darów ziemi swojego

kraju przywiódł mojej pamięci przedwojenny sklep kolonialny imię pana Krajewskiego z Krzemieńca. O słoniach król mówił z szacunkiem nie mniejszym, niż kołchoźnik radziecki o traktorach. Na koniec pochwalił się fotografią swojej żony, jak Amerykanin pralką elektryczną, którą zostawił za oceanem, i zaprosił mnie do siebie po wojnie. Fotografia żony była mocna przynętą. Przedstawiała pod palmą młodą, bardzo zgrabną, czarną i zupełnie nagą przyszłą królową.

x x x

Na początku listopada, oblepieni gęstą poranna mgłą, opuściliśmy Liverpool na pokładzie m/s "Empress of Scotland". Statek był wypełniony po burty - płynęło nas około ośmiu tysięcy żołnierzy wszystkich możliwych broni, szarż i narodowości. Białych, o pośrednim kolorze skóry i czarnych. Trzon stanowili Anglicy, było sporo Kanadyjczyków i Amerykanów, transport uzupełniali przedstawiciele nacji europejskich, a także ludów Afryki i Azji. Ze Słowian - dwie małe grupki Czechów i Polaków, które unikały się wzajemnie. "Empress" płynęła bez eskorty, dość leniwie, jak na moją znajomość wojny na morzu niebezpiecznie. Bodzio i Edek Polesiński, nie doświadczeni przez zimne i słone słoństwo, jakim jest woda w Atlantyku podczas przydługiej kąpieli daleko od brzegu, jedli i spali spokojnie. Józio Zdano był bez apetytu, w nocy spał źle, wiercił się drapał. Robił wrażenie, że ma jakieś zmartwienie, które trzyma w tajemnicy. Trwał w nim samotnie po mesku parę dni, ale w końcu załamał się. Kiedy nikt nas nie widział podszedł do mnie z cmentarną miną i głosem jak zza grobu wypowiedział jedno słowo:

- Złapałem.

Swoim wyglądem przestraszył mnie.

- Co złapałeś?

- To najgorsze.

Ta wiadomość była dla mnie nieprzyjemna i niepokojąca.

Józio przyszedł do mnie, bo razem, na krótko przed zaokrętowaniem byliśmy na dziewczynkach. Razem!

- A niech to diabli - wyrwało mi się. Józio z ponurą miną podwinał rękaw battledressu i powiedział:

- Zobacz. Czy ty też podłapałeś?

- Nie, ja nic.

- Cholera...

Józio zaczął się strasznie odgrażać dziewczynie z Liverpool'u, której imienia nie mógł sobie przypomnieć. Przerwałem mu rezolutnie.

- Ty lepiej idź do lekarza, to poważna sprawa.

Po udzieleniu mu tej porady spiesznie oddaliłem się i kiedy znalazłem się sam na pokładzie, parsknąłem śmiechem. Nie miałem wątpliwości, że Józio zaraził się zwykłym świerzbem zwanym również parchami. Chorobą może nie taką elegancką jak ta, o którą się podejrzewał, ale za to na pewno mniej groźną. Józio wyszedł z domu na wojnę nie przygotowany. Nie wiedział, ile jest gatunków wszy, co to takiego świerzb, a co szankier. Moim przywilejem było śmiać się z niego, bo swoje braki domowego wychowania, zanim dotarłem do wojska, uzupełniłem po drodze. Drapał się szpetnie, a Bodzio esteta patrzył na niego z nieukrywaną odrazą.

- Czego ten przybłęda tak się drapie? - zastanawiał się głośno. - Jak nic złapał menty albo coś gorszego. Ja wam dobrze radzę, koledzy, trzymajcie się od niego z daleka...

Na pokładzie "Empress" był lekarz i ambulatorium, ale

Józio tam nie poszedł. Jak rasowy przestępca, który nie chce powierzyć swojej głowy toporowi byle jakiego kata, powiedział do mnie w zaufaniu:

- Taki okrętowy konował, to nie dla mnie. Poczekam i pójdę z tym, co mam, do specjalisty na lądzie.

Poszedł, a stało się to dopiero dwa tygodnie później w miejscowości Jarvis, gdzie mieliśmy rozpocząć szkolenie. Lekarz - kobieta, uśmiechnęła się zdawkowo, kiedy podwinął rękaw battledressu.

- Czy innych objawów choroby, o którą się pan podejrzewa, nie zauważył pan?

- Nie.

- Przykro mi - powiedziała - ale stan jest mocno zaawansowany i muszę pana umieścić na oddziale zakaźnym w izolatce.

Życie, z którym Józio po tym oświadczeniu się pożegnał, przywrócił mu sanitariusz, który przyniósł ze sobą wiaderko szarej maści i, po założeniu gumowych rękawic, po uszy go tą maścią wysmarował. Józio poczuł się oszukany i ośmieszony. Podejrzewał, że od początku wiedziałem, co mu dolega, i długo nie mógł mi tego zapomnieć. Kwiaty, które mu wspólnie posłaliśmy z życzeniem prędkiego powrotu do zdrowia, oddał pielęgniarce. Smarowanego szarą maścią i zawijanego w prześcieradła, trzymali go chyba tydzień. Prześcieradła po Józio palili. Po tej przygodzie nauczył się odmiany słowa "świerzb" we wszystkich przypadkach. Nie przestały go jednak świerzbić spódniczki. Jeszcze jako rekonwalescent

szybko odzyskał równowagę ducha i opuścił oddział zakaźny z przekonaniem, że miał zupełnie wyjątkowego pecha, i że na wojnie nie każdy żołnierz umiera.

x x x

Nasza podróż z Halifax'u, gdzie dopłyneliśmy na pokładzie "Empress", do Jarvis zajęła nam prawie trzy dni. Jechaliśmy pociągiem z północy na południe przez kanadyjską równinę, zalesioną i o tej porze pokrytą śniegiem. Jechaliśmy kilometrami, jak przez Syberię. Tyle że ciepło, wygodnie i na luksusowym wikcie, jak na czwarty rok wojny. Na kanadyjskie mięso i ziemniaki w mundurkach najbardziej łapczywi byli Anglicy. Po skromnej lekcji wojennych ograniczeń żywnościowych we własnym kraju, zajadali się teraz wszystkim, czym Kanada była bogata. A była bogata, jak sen głodnego o szczęściu. Patrzyłem na nich trochę pobłaźliwie, jak ktoś kto przeszedł w życiu szkołę głodu. Przeszedłem taką szkołę, ale nie było się przed kim i po co chwalić. Chwalić należy się tym, co się zjadło, a nie tym, czego się nie zjadło. Spostrzegłem, że Anglicy kochają swój kraj inaczej niż my Polacy. Chyba mądrzej. Bez sentymentu do dziadów i sztandarów. Dla nich mundur to sprawa przejściowa, trzeba, to założę, a potem zdejmę i cześć pieśni. Zajadali się ze śmiechem i uwagami.

- Get to it suckers and get stuffed. No one's going to charge you a penny if you are in uniform.

W Jarvis poinformowano nas, że po szczęśliwym

przepłynięciu Atlantyku należy nam się urlop.

Disembarkation leave. Całe trzy tygodnie. Tylko co jest wart urlop, jak nie ma grosiwa. Nic, jeżeli czegoś się nie wymyśli. Wymyśliłem, a właściwie to sobie przypomniałem, że mam w Ameryce wuja, który się nazywa Pomernacki i mieszka w Chicago. Jak miał na imię, nie pamiętałem, ale postanowiłem, że dobrze będzie jak go odwiedzę. Z posiadanego kapitału nabyłem elegancką walizkę i piżamę, żeby w podróży i na noclegach nie uchodzić za człowieka bez pieniędzy, wykupiłem bilet kolejowy w jedną stronę z Toronto do Chicago i wsiadłem do pociągu. Konduktor spojrzał na mój bilet zdziwiony i powiedział:

- Jedzie pan złym pociągiem. Ma pan bilet na Canadian Pacific, a wsiadł pan do Canadian National!

- A jaka to różnica? - Nie przyszło mi do głowy, że koleje mogą być prywatne.

- Taka, że dla mnie jedzie pan bez biletu.

- To co, mam wysiąść?

Pomyślał chwilę.

- Nie, niech pan jedzie.

Granicę między Kanadą a USA przekroczyłem łatwo bez paszportu i wizy na przepustkę wojskową, podpisaną w Jarvis przez kaprała administracji, i rano około dziewiątej przybyłem do Chicago. Pozostało mi odszukanie wuja. Chicago to duże miasto, ale od czego jest książka telefoniczna.

Pomerano.

Pomerszwanc.

Pomernacki... jest!

Wykręciłem numer, w słuchawce odezwała się kobieta i wyrecytowała numer, który właśnie wykręciłem.

- Good morning - zacząłem po angielsku zawiedziony tym, że rozmawiam z numerem, nie z wujem.

- Good morning - usłyszałem w odpowiedzi. - Who is it?

- Czy mogę mówić po polsku?

Chwila ciszy w słuchawce i ten sam głos.

- Tak... jak rozumiem po polski, ale kim pan jest i z kim chciał pan rozmawiać?

- Ze swoim wujem - odpowiedziałem rażno - Pomernackim.

- Walerym? - podpowiedziała mi. Mój wuj miał na imię Walery. Teraz to sobie przypomniałem.

- Tak, z Walerym Pomernackim - podchwyciłem skwapliwie.

- On tu nie mieszka i u siebie w domu nie ma telefonu. Ja jestem żoną jego syna, Karola.

- To co ja mam zrobić, bo chciałem się zobaczyć z wujem. Przyjechałem z Kanady.

- Skąd?

- Z Kanady.

Cisza w słuchawce. Z Kanady?

- Tak, przyjechałem na urlop.

- To pan mieszka w Kanadzie?

- Nie. Jestem tam czasowo. Właściwie to jestem z Anglii.

- To pan na stałe mieszka i pracuje w Anglii?

- I tak i nie, jestem tam w wojsku, w polskim

lotnictwie.

- To co pan robi w Chicago?

- Przyjechałem na urlop z Kanady. Przeci^ż powiedziałem.

Cisza w słuchawce. Moja rozmówczyni przez chwilę nad czymś się zastanawiała.

- A czy wuj Walery pana zna? - zapytała podchwytliwie. Później przyznała mi się, że podejrzewała, że rozmawia z jakimś sprytnym złodziejem, który sprawdza, czy jest ktoś w domu, albo degeneratem, który chce na nią napaść i skrzywdzić. Tym bardziej, że jej mąż dentysta, kapitan armii US, udzielał się w tym czasie chorym na zęby umundurowanym pacjentom w Afryce i przez to nie był groźny dla intruzów we własnym domu w Chicago.

- Chyba zna.

- Nie rozumiem, Zna czy nie zna?

- Zna. Mam nadzieję, że mnie pozna, ale kiedy mnie w Polsce widział, miałem parę lat.

Rozmowa się urwała. Moja powinowata po drugiej stronie drutu zastanawiała się, czy naprawdę jestem tym, za kogo się podaje. Ale nie odłożyła słuchawki i usłyszałem jej głos.

- Dobrze, podam panu adres wuja. Gdzie pan jest w tej chwili?

- Na dworcu.

- To niech pan słucha, wsiądzie pan...

Zapisałem sobie adres i w nic nie wsiadłem. Wyszedłem na ulicę. Ruch to życie. Chicago żyło. Otumaniony i trochę

zagubiony, ze swoją elegancką walizką ruszyłem przed siebie. Było wcześniej, chłodno i słonecznie. Miałem w kieszeni parę dolarów, adres wuja, wojskowe papierki-dokumenty i nie musiałem się nikogo bać, łącznie z policją. Byłem w lepszej sytuacji, niż po opuszczeniu dworca kolei transsyberyjskiej w Czelabińsku. Rozglądałem się niezdecydowanie, w jakim kierunku pójść, kiedy podeszła do mnie starsza pani o bystrym spojrzeniu. Bystrym i zarazem bardzo dobrotliwym, takim o jakie trudno u dzikich, i powiedziała przyglądając mi się z ciekawością:

- Young man, do you know, where you are going?

Powiedziałem jej, że wiem, bo wybieram się do wuja. Z wieku i z zainteresowania mundurami, chyba należała do jakiegoś towarzystwa dobroczynnego, albo była w pomocniczej służbie wojskowej w I wojnie światowej.

- Well - powiedziała ze zrozumieniem. - you should go to see your uncle, but why don't drop in first to USO club for your breakfast? It is on next street young man...

Ubejrzała mnie z poza okularów, spuszczonej na czubek nosa, spojrzała na "Poland" naszyte na rękawach mojego płaszcza i zauważyła:

- I see you are from Poland.

- Yes mam, I am Polish.

- Splendid, so why don't you go to USO club, I bet they have never had any service man from Poland.

- Thank you for the invitation, I will drop in...

- Good - powiedziała z uśmiechem zadowolona, że nie sprawiłem jej zawodu. - Straight on and left, you can not

miss it.

Nie zawsze w życiu dotrzymywałem obietnic, tym razem dotrzymałem. Nie "missnałem" klubu.

Tak jak mi doradziła starsza miła pani, przekroczyłem próg instytucji dla żołnierzy, która nazywała się USO Club. Po prawej stronie była recepcja z blondynką, w głębi hall'u stało parę foteli i jakaś palma w wielkiej donicy. Postawiłem walizkę i zacząłem się rozglądać. Spod palmy wstał przystojny brunet średniego wzrostu w mundurze kadeta lotnictwa US, podszedł do mnie i klepnął mnie po ramieniu, tak jak by mnie znał od urodzenia.

- Skąd jesteś?

- Z Kanady, a w ogóle to z Polski.

- Szkolisz się w Kanadzie na szwabów?

- Na to wygląda.

- Ja na Japońców. Chcesz, to załatwię ci spanie w moim pokoju. Będzie nas dwóch. Typ, który ze mną mieszkał dzisiaj się wyprowadził. No jak?

- Fajnie... - zgodziłem się i nie pomyślałem o tym, że przyjechałem do wuja i że tutaj przyszedłem tylko po to, żeby za radą starszej miłej pani zjeść śniadanie.

George, bo tak miał na imię, klepnął mnie po ramieniu drugi raz.

- Kławo, tego się od ciebie spodziewałem. Chodźmy, zarejestrujesz się.

Blondynka w recepcji nie kryła się z tym, że George bardzo się jej podoba. Żuła obojętnie gumę, ale kiedy George wstał spod palmy i szedł w moim kierunku, ożywiła

się. Przestała się przyglądać swoim paznokciom i przeprowadziła go łapczywym wzrokiem marcowej kotki.

George pochodził z Newady. Miał długie rzęsy, zielone oczy, którymi patrzył na świat z nonszalancją, i tygrysi miękki chód, który intryguje kobiety.

- Mary, poznaj się z moim przyjacielem z Polski, będzie mieszkać ze mną.

Mary wyszczebiotała jednym tchem:

- Oczywiście George, tak George, jak powiedziałeś George.

George mrugnął do mnie.

- Nie zginiemy tutaj.

Blondynka w recepcji naprawdę podkochiwała się w George'u. W klubie USO spanie i śniadanie mieliśmy za darmo. Na inne wydatki dorabialiśmy sobie wieczorami. I niech ktoś nie pomyśli, że w jakiś nieczny niezgodny z prawem sposób. Nie. Żadnym tam wytrychem, ani znaczonymi kartami. Mundurami. Była wojna i nieumundurowana część obywateli USA poczuwała się do obowiązku okazywania przychylności żołnierzom. Swoim i alianckim. Kluby USO ułatwiały cywilom więź z wojskiem. Na czym rzecz polega, George wytłumaczył mi przy śniadaniu.

- Nadstawiamy za nich dupy, czy nie? Nadstawiamy! To niech się nam opłacają. Masz wątpliwości.

To, co powiedział, spodobało mi się i powiedziałem, że nie mam żadnych wątpliwości.

George uśmiechnął się, zadowolony z odpowiedzi. Z kantyny udaliśmy się wprost do Mary. George rozmawiał z

nią przez chwilę z głową w okienku recepcji i podszedł do mnie.

- Wszystko w porządku. Mary ma dla nas na wieczór dobre zaproszenie. Jakiś nadziany facet wydaje za mąż córkę i chce mieć na weselu bohaterów. Przyjedzie tutaj po nas. Zobaczymy, jak wygląda ta młoda dama, jej fagas i reszta. Ale pamiętaj, jak zrobią na na składkę, bo zrobią, to się nie krepuj, nie dziękuj, ale bierz i wybrzydź, że mało.

Zgromadziliśmy na tym weselu sporo gotówki, kto wie, czy nie więcej niż młoda para, z którą do zbiórki datków byliśmy w konkurencji. Interes szedł nam bardzo dobrze, ale zbliżały się święta i po paru dniach pracy, czyli pobierania należnych nam od cywilów danin, musiałem się pożegnać z George'm. Ostatni wieczór poświęciliśmy zabawie. Mary miała dla nas jakąś wyjątkową okazję do kwesty, ale George podziękował jej z czarującym uśmiechem.

- Napracowaliśmy się dosyć. Dzisiaj sami wybierzemy sobie towarzystwo. Dzięki tobie stać nas na to, jesteś kochana, laluniu...

Gciemniało się, kiedy ruszyliśmy na podbój Chicago. Miasto było nas tej nocy pełne. Odwiedziliśmy liczne miejsca, gdzie się wydaje pieniądze, ale wydaliśmy bardzo mało. Cywile nie pozwalali nam płacić. Nawet dziewczyny, które George wypatrzył po północy, odmówiły przyjęcia honorarium i powiedziały, że wystarczy, jak za miłość postawimy im drinka i zapłacimy za hotel. Nad ranem wypiliśmy jeszcze piwo na koszt przygodnie spotkanego

policjanta, który bardzo nas polubił i powiedział, że zgrzeszy, jak pozwoli nam zapłacić. Przy rozstaniu wymieniliśmy uściski dłoni i życzenia.

- Trzymaj się Vicky i do zobaczenia po wojnie w Newadzie.

- Trzymaj się George i do zobaczenia po wojnie w Polsce.

W milionie takich wojennych pożegnań nasze nie było wyjątkiem.

Nie spotkaliśmy się nigdy więcej. W południe na potężnym kacu, zasobny w grosiwo, ale ubogi w morale, nacisnąłem dzwonek mieszkania wuja Pomernackiego. Wuj na powitanie przeżegnał mnie znakiem świętego krzyża.

- Wszelki duch pana Boga chwali! Widzi mi się, że nasz gość nareszcie się zjawił. A gdzie to pan się podziewał, panie żołnierzu, tyle czasu?

- Stałem drewno w przedpokoju z walizką w ręku.

- Na co czekasz? Wchodź i rozbieraj się, jesteś w domu.

Od trzech lat byłem bezdomny, bo trudno cele więzienne, namioty i baraki nazwać domem. Ten dom nie był moim prawdziwym domem, był dla mnie czymś czym dla statku jest przystań w drodze do macierzystego portu.

Wuj posadził mnie w fotelu, otworzył kredens i wyciągnął wermut i gin. Ciotka, która przyjęła mnie bez wylewnej zyczliwości, spojrzała na to krytycznie. Wuj nie zwrócił na nią uwagi.

- Do obiadu mamy jeszcze trochę czasu - powiedział.

Wypij i opowiadaj.

Pokrzepiony ginem z wermutem wyjaśniłem rezolutnie, że za moje spóźnienie jest odpowiedzialna miła ale podstępna starsza pani, którą spotkałem na ulicy po wyjściu z dworca. Ona to bowiem wpędziła mnie na śniadanie do klubu USO, skąd pomimo szczerych chęci nie udało mi się wyjść wcześniej, jak po czterech dobrach. Wuj był człowiekiem surowym dla siebie, ale pobłażliwym dla innych. Z uśmiechem uzupełnił moją szklankę i powiedział:

- Dobrze, że w końcu mnie odnalazłeś, a na drugi raz nie daj się uprowadzać starszym paniom. To dobre dla chłopców w krótkich majteczkach, a ty nosisz mundur, przy którym lepiej od starszych pań wypadną ich córki. A teraz mów, co się z tobą działo.

- W klubie spotkałem George'a - zacząłem, ale wuj przerwał mi niecierpliwym gestem ręki.

- Nie o to mi chodzi. Tego co robiłeś zanim znalazłeś mój adres domyślam się. Opowiedz, kiedy wyjechałeś z kraju i jak się tutaj dostałeś.

W dużym skrócie, wtrącając często uwagę "ale mi się nic nie stało", zdążyłem z opowieścią do obiadu. Byłem już w Kanadzie, kiedy ciotka wniosła wazę wyśmienitego polskiego rosółu z domowym makaronem. Takiego rosółu nie jadłem od niepamiętnych czasów. W skupieniu opróżniłem dwa talerze. Miałem ochotę na trzeci, ale ciotka zabrała mi sprzed nosa wazę, jak małym dzieciom zabiera się cukierka, ze słowami: nie jedz, bo nie zjesz obiadu.

Wyszła do kuchni i po chwili przyniosła półmisek z

pieczoną poledwicą obłożoną śliwkami. Wuj, krojąc mięso, uniósł wzrok znad stołu.

- Jak widzisz, niczego nam tutaj nie brakuje. A co słychać w Anglii? Jak tam jest?

- Mało kto się przejada. Obowiązuje jedno jajko na tydzień, ale nikt nie umiera z głodu. Podobno król jada trochę lepiej, ale mało to kogo obchodzi.

- A w Polsce?

- Nie wiem, zupełnie nie wiem. Wiem, że są tam teraz Niemcy.

- Masz jakieś wiadomości od rodziny?

- Nie mam żadnych. Oni nie wiedzą nawet, gdzie jestem i czy żyję.

Rozmowa się urwała. Ciotka uprzątnęła stół. Do kawy wuj napełnił kieliszki koniakiem.

- Jak długo będziesz w Kanadzie?

- Kilka miesięcy.

- A potem?

- Wrócę do Anglii.

- I co dalej?

- Spróbuję rzucić bomby na Trzecią Rzeszę.

Wuj odstawił swój kieliszek.

- Rzucisz, jak zdążysz. Wojna może skończyć się wcześniej niż myślisz.

Roześmiałem się z tej przepowiedni.

- Niech mnie wuj nie straszy. Zdążę, na pewno zdążę...

Wzruszył ramionami.

- Narwany jesteś. Mało ci jeszcze tej wojny? Patrz na

mnie. Przed pierwszą światową przyjechałem do Stanów, za późno, żeby włożyć mundur, na drugą byłem już za stary. I może myślisz, że czuję się pokrzywdzony przez los, że nie strzelałem do nikogo i że nikt do mnie nie strzelał? Nie. Nie uganiałem się z karabinem, kiedy inni to robili. Wzamian dałem Ameryce dwóch wykształconych obywateli. Nie chwale się tym, ale sam wiem najlepiej ile wykształcenie synów kosztowało mnie wyrzeczeń. Pewno z myślą o tych wyrzeczeniach wuj sięgnął po koniak. - Do Ameryki nie przyjechałem jak żebrak. Miałem pieniądze i założyłem interes, który się rozwijał. Ale przyszedł kryzys i wszystko diabli wzięli. Zostałem bez grosza. Od tego czasu zaczynałem z pustą kieszenią parę razy. Taka była moja wojna, która się ciągnęła latami. Ty na swoją się nie spiesz. Kij na dwa końce. Niemcy też umieją strzelać.

Teraz, po latach, zgodziłbym się, że bieganie z karabinem jest zajęciem raczej głupim i łatwiejszym, niż wykształcenie dwóch synów na wyższych uczelniach. Wtedy jednakże nie miałem wątpliwości, że jest odwrotnie. Powiedziałem, że na wojnę jednak się pospieszę, bo Polska to nie Ameryka. Niemcy są u nas, nie u nich, i niech oni. Amerykanie, się z tego cieszą, bo mają z czego.

- Wuj ziewnął.

- Zrobisz, jak zechcesz, ale powiedz, nie podoba się tobie tutaj?

Znałem Amerykę tylko z czterodniowego pobytu w klubie USO i nic nie miałem przeciwko tej Ameryce. Powiedziałem, że mi się podoba.

- To zostań tutaj! Na stałe.

Nie bardzo wiedząc o co chodzi, zapytałem:

- Od kiedy?

- Od zaraz! Potrzebne dokumenty mogę załatwić.

Zastanów się.

Nie miałem nad czym się zastanawiać. Byłem na swojej wojnie.

Ameryka podoba mi się, ale moje miejsce jest gdzie indziej.

Wuj napełnił kieliszki.

- A czy nie pomyślałeś o tym, że z Polski wyjdą jedni i przyjdą drudzy. Wyjdą Niemcy a przyjdą Rosjanie, i że ty być może nie znajdziesz dla siebie tam miejsca.

Podniosłem kieliszek.

- Niech wuj nie kracze, jakoś tam będzie,

Wuj Walery westchnął.

- Mówisz, że jakoś tam będzie. Zawsze jakoś tam jest.

Ale pamiętaj, że w Ameryce masz drugi dom. Na wypadek, gdyby się tobie w życiu coś pokiełbasiło.

Powiedział, przysnął w fotelu i obudził się, kiedy przyszedł Henry, jego młodszy syn, na użytek wojny wyreklamowany z wojska inżynier konstruktor lotniczy. Henryka z wojska wyreklamowało samo wojsko i nie musiał tęsknić do swojej narzeczonej, jak jego starszy brat dentysta do żony z odległego afrykańskiego Maroka. Henryk chodził do pracy rano i wracał po południu. Postawny, przystojny blondyn, uosobienie wewnętrznego ładu i życzliwości, w oczach rodziców miał jedną wadę: W

odróżnieniu - jak mnie zapewniał wuj - od swojego starszego brata Karola mówił mało, a raczej wcale nie mówił po polsku. Ciotka znała angielski po łebkach i miewała trudności w porozumiewaniu się z młodszym synem. Wuj, zmęczony rolą domowego tłumacza, ucieszył się, że moim kosztem ze dwa tygodnie odpocznie. Ciotce to, że radziłem sobie wtedy już nieźle z angielskim, też było na rękę. Śmiała się, że nareszcie przestanie rozmawiać z synami, jak dziad z obrazem. Henryk miał narzeczoną "next door", jak mówią Anglicy, czyli zaraz obok w sąsiednim domu. Z pochodzenia Niemkę, bo też dzielnica Chicago, w której mieszkał wuj, była niemiecka.

Ruth i Henryk nie mieli trudności z porozumiewaniem się. Oboje znali język, który w Ameryce nazywa się angielskim. Zaprosił mnie na kolację, którą przygotowała nam matka Ruth. Jejmość jakby zdjęta z goebelsowskiego plakatu, reklamującego typową "deutsche Frau". Kolacja była wyborna i wieczór byłby udany do końca, gdyby Ruth nie zapytała mnie przy deserze, czy przypadkiem nie poczuje się złoczyńcą w momencie rzucania bomb na niemieckie niewiasty i dzieci. Powiedziałem, że się nie poczuje. Tym oświadczeniem wprowadziłem w zakłopotanie całe towarzystwo. Już dwie Niemki, pierwsza z Brighton, w prostej linii z Trzeciej Rzeszy, i ta tutaj - amerykańska, miały do mnie to samo pytanie: czy nie będzie mi przykro jak swoimi bombami wyprawię do nieba niewinne ofiary z gatunku nadludzi. A czy ja do cholery wybrałem sobie Niemców do zabijania, czy oni mnie? Byłem rozgniewany na Ruth za jej

głupotę i brak taktu. Henryk zgorzszony, nie wiem: moim zachowaniem, czy swojej narzeczonej, milczał, jego przyszła teściowa spoglądała na mnie ponuro z podełba.

- I am sorry. - powiedziałem, bez powodzenia siląc się na skruchę. Ruth i jej mama, nie przekonane tymi przeprosinami, pewno myślały sobie skrycie:

- Brother, you do not look sorry! I będzie najlepiej, jak po wojnie wystarasz się dla siebie o posadę kata albo hycła. Będziesz w swoim żywiole...

I nie ma sprawiedliwości na tym świecie, bo przecież ludzi i psy bardzo lubię.

Po wyjściu z domu Ruth, napasiony dobrami tego świata pomyślałem o tych, co w Europie za kratami i drutami kolczastymi żywili się zgnilizną. I zrobiło mi się głupio, że z bombami będę musiał jeszcze poczekać, że nie rzuć ich już jutro!

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, czwarte wojenne. Dla mnie tym razem z amerykańskim indykiem z pełnym garniturem. Wuj z próżności chyba załatwił mi spotkanie z prezesem Polonii Amerykańskiej, panem Karolem Rozmarkiem. Pewno chciał, żeby prezes dowiedział się, jakiego to on bohatera będzie gościł na Świętach. W obszernym gabinecie prezesa wisiała wielka mapa środkowowschodniej Europy, na której nie były wytyczone granice. Warszawa była w środku tej wielkiej mapy i miała na peryferiach Kijów, Smoleńsk i Odessę. Front rosyjsko-niemiecki, wytyczony na mapie czarną tasiemką, stał wtedy na Dnieprze. Prezes zapytał się mnie, co o tym myślę.

Powiedziałem swobodnie, że wolałbym, żeby na Dnieprze, stali Anglicy i Amerykanie. Prezes skwitował moje oświadczenie chwilą zamyślenia. Myślał nad tym nad czym myślała wtedy znakomita większość Polaków.

- Tak, to wielka niewiadoma, co zrobią Rosjanie i jak zachowają się Anglicy i Amerykanie. Jak się panu wydaje?

- Nie wiem, ale mam nadzieję, że mądrzejsi ode mnie w Londynie wiedzą.

Z posepnym spojrzeniem prezes pokręcił głową.

Wątpie - powiedział.

Sekretarka podała herbatę, którą wypiliśmy prawie w milczeniu. Z tego spotkania zapamiętałem najlepiej jej długie rzęsy i przychylne uśmiechy.

Nazajutrz polonijną prasę obiegła notatka, że znany polski lotnik z Kanady, pan Wiesław Brodziński, przebywający w Chicago na urlopie, złożył wizytę prezesowi i odbył z nim rozmowę o sytuacji w kraju i na świecie. Z tego politycznego marszu wygłosiłem noworoczne przemówienie na balu sylwestrowym, na który zostałem zaproszony do Polskiej Macierzy jako gość honorowy. Niezbyt trzeźwy, znalazłem się jednak dobrze. Powiedziałem do mikrofonu coś groźnego pod adresem Niemców, nie oszczędziłem Rosjan, co moi słuchacze skwitowali burzą oklasków. Chwilę po tym, śliczna amerykańska Podhalanka, z warkoczem do ziemi, dygnęła przede mną.

- Mój tatuś zaprasza pana do nas.

Góralom się nie odmawia. Przeprosiłem wuja i jego przyjaciela, który był z nami i przeprowadzany za rękę

miedzy stolikami przez roześmianą Podhalankę w pięknym góralskim stroju, wśród oklasków sali, dołączyłem do liczego towarzystwa jej ojca. Obecni, na znak dany przez gospodarza, ojca mojej przewodniczki, wstali i odśpiewali mi "sto lat". Próżność nie wódka uderzyła mi do głowy. Wszyscy przy stole przescigali się w traktowaniu mnie jadłem i napitkami i w końcu uwierzyłem w to, że jestem bohaterem, było mi z tym bardzo dobrze.

Z transu wyprowadził mnie wuj, który podeszedł do mnie i powiedział, że muszę z nim pojechać do weteranów, gdzie jestem zapowiedziany i gdzie czekają na mnie. Weterani, do dziś nie wiem jakiego powstania, śc^zniowego czy wielkopolskiego, przepijali do mnie jak do godnego następcy ich zmagañ z Kajzerem i Carem.

Następnego dnia przy śniadaniu wuj oznajmił mi, że jego dobry znajomy, którego pobieżnie poznałem, zanim zostałem uprowadzony przez Górali, zaprosił nas na podwieczorek. Zgnębiony posylwestrowym kacem, przyjąłem tę wiadomość bez zapału. Wuj był człowiekiem towarzyskim, miał sporo znajomych, ci mieli swoich i wszyscy chcieli mnie poznać. Zaproszenia sypały się jak z rekawa i były dla mnie kłopotliwe. Wizyty zazwyczaj rozpoczynały się od pytania: co słyhać w kraju? Tak, jakbym wiedział. Widzieli we mnie kogoś, kto pojawił się w Chicago na Boże Narodzenie, a Wszystkich Świętych obchodził w Polsce, i byli zawiedzeni, że dotarłem do USA z dwuletnim opóźnieniem. Ale że na bezrybiu i rak ryba, jako źródło informacji byłem w cenie.

Po którejś wizycie niegrzecznie zaproponowałem wujowi, żeby mnie zaprowadził do studia, gdzie nagramy płytę o tym, co mam do powiedzenia, i żeby zamiast mnie zabierał ze sobą tę płytę. Wuj zbył mój pomysł jak kiepski żart. Kończąc śniadanie zapytałem, czy wuj nie widzi możliwości oszczędzenia sobie i mnie tej wizyty. W odpowiedzi usłyszałem kategoryczne nie i uwagę, że we własnym interesie powinienem się spotkać z jego znajomym. Tego, o jaki interes chodzi, wuj nie dopowiedział.

Znajomy wuja przyjechał po nas okazałym Plymouthem, w świetnym usposobieniu i po drodze mój podziw dla samochodu, że nas tak gładko niesie, skwitował niedbałą uwagą, że po to jest. Zaparkował przed okazałym domem, mogącym uchodzić za rezydencję, i zaprosił nas do środka, gdzie czekał na nas stół zastawiony tym, co Polakom jest miłe. Wszystko przebiegało szablonowo aż do chwili, kiedy gospodarz, już po bruderszafcie za mną, nie oznajmił mi, że jest wdowcem i że ma jedynaczkę, którą wyda tylko za Polaka z kraju, rdzennego jak ja. Stwierdził to i zawołał:

- Zośka, przychodź do nas!

Weszła zalekniona, nie wiem, czy moim widokiem, czy nakazem ojca. Oboje nie byliśmy kalekami i mogliśmy się sobie podobać.

Usiadła przy mnie, jak było przewidziane i nic nie mówiąc zamiast na mnie patrzyła na ojca. Jej ojciec, dla mnie Stefan, uznał zachowanie córki za drętwe.

- Zośka, stań i przejdź się, podnieś kieckę, przecież masz zgrabne nogi!

Zosia wstała, pokazała wstydliwie nogi i jakby przyzywając na ratunek nieboszczkę matkę, opuściła nas prawie biegiem, bez przyzwolenia ojca. Stefan roześmiał się.

- Głupia gęś!

Interes nie doszedł do skutku, ani wtedy ani później, kiedy Stefan przysłał mi córkę do Kanady. Zosia podobała mi się, to też z mieszanymi uczuciami doradziłem jej, żeby powiedziała ojcu, że chce się z nią ożenić pod warunkiem, że po wojnie zamieszkamy w Polsce, nie bacząc na to, jaka będzie. Ten pretekst wymyśliłem jako wybieg chociaż Zosia była warta grzechu, a jej ojciec, przy biesiadnym stole, ustalił jej wiano na pięćdziesiąt tysięcy, sumę wtedy zawrotną. To, co się stanie z pieniędzmi, nie mogło być dla niego sprawą obojętną, ale wiedziałem na pewno, że nie zgodzi się na rozłąkę z córką. Bo nie bez kozery chyba, przy tymże stole, wznosił kilkanaście toastów, za swojej jedynaczki i moją przyszłość w Ameryce.

Z hoteliku w Jarvis odprowadziłem Zosię do autobusu. Przy pożegnaniu pocałowałem ją w rękę. Nie zdobyłem się na nic więcej, chociaż chciałem i miałem pewność wzajemności. Zachowałem się jak petak, nie mężczyzna. Przyszłość Polski zaczynała być mętna, ale ja trwałem na swojej wojnie. Z Zosią nie poznałem się bliżej i nie spotkaliśmy się więcej.

Na początku stycznia wuj na pożegnanie zapewnił mnie, że w Chicago mam drugi dom.

- Jak po wojnie - powiedział - będziesz chciał

przyjechać tutaj, napisz, wszystko ci ułatwie.

Podziękowałem mu serdecznie i do Jarvis dojechałem następnego dnia natłanem. Droga wypadła mi przez śnieżną i mroźną noc. Siedziałem wgodnie w ciepłym, prawie pustym przedziale, w półmroku rozświetlanym co jakiś czas jasnymi, dobrymi światłami mijanych amerykańskich miast i osiedlili. Na gankach niektórych domów stały kolorowo oświetlone świąteczne choinki, które mówiły o tym, że ludzie, którzy tutaj mieszkają, są ludźmi dobrej woli.

Ameryka to był inny świat. Też w wojnie, ale innej. Świat nie naruszony prochem i nie rozumiejący wyższości nad sobą Europy, zaciemnionej i sterczącej w niebo kikutami spalonych miast. Tutaj eks-Niemcy współczuli swoim rodakom w starym kraju, Polacy swoim, Włosi swoim, wszyscy swoim... Trochę, jedni bardziej inni mniej, Amerykanie współczuli sobie, że biorą udział europejskiej awanturze, w której gineli ich chłopcy. Ci szli na wojnę bez ponuractwa i fanatyzmu, jak na mecz futbolowy, który postanowili wygrać dla swoich i europejskich kibiców. O tym, że wojna to nie boisko sportowe, dowiadawali się później. Wielu z nich za późno.

W tym innym świecie przed paroma dniami, byłem na wigiliu w domu wuja i była to bardzo uroczysta wigilia. Z sianem pod obrusem, z rybami we wszystkich odmianach, kołędami i prezentami pod choinkę. Swój upominek znalazłem w białej kopercie. Było w niej sto dolarów. Pieniędzy po znajomości z Georgem nie brakowało mi i koperty nie chciałem przyjąć. Wuj się rozsierdził.

- A co miałem tobie kupić? - Niby wszystko masz, a tak naprawdę, to nie masz nic. A takim pieniądze przydadzą się najbardziej, bierz i nie denerwuj mnie!

Wziąłem. Wyjechałem na urlop mając kilkanaście dolarów, wracałem z kieszenią pełną papierków nawet nieprzeliczonych.

x x x

Po przyjeździe do Jarvis poczułem się zmęczony i niezwłocznie położyłem się, żeby odpocząć po urlopie i podróży. Głupio to sobie wymyśliłem, bo najpierw przyszedł kapral Kanadyjczyk i powiedział, że mam z nim pójść po odbiór różnych butów i rękawic, przeznaczonych dla załóg latających, a zaraz po tym zaczęli z urlopu wracać moi koledzy. I tak zakończyłem swoje cywilne życie, w które wdepnąłem na trzy tygodnie. Józio Zdanio wrócił bardzo zadowolony z Detroit. Z towarzystwa, które wykluczało świerzb, mendy i inne plugastwo zerujące na żołnierzach. Powiedział, że poznał tam dziewczynę, z którą się ożeni. Z Bodziem los obszedł się gorzej. Był u znajomych Kanadyjczyków z poręki swojej angielskiej żony Vivian. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że przyjaciółka żony Bodzia zawzięła się na jego małżeńską cnotę. Przesadnie dbała o to, żeby pozostał wiernym mężem, i Bodzio wrócił zmęczony, bez radości życia i nie miał o czym opowiadać. Edek Polesiński przebąkiwał coś o jakiejś Klarze i mówił, że jak się skończy wojna, to kto wie, czy

on nie spróbuje swoich sił, z tą właśnie Klarą.

Ale nie długo żyliśmy wspomnieniami z urlopu. Wzięli się do nas ostro. W dzień i w nocy uczyli nas jak strzelać i rzucać bomby. Zaczęliśmy żyć uczciwym żołnierskim życiem, przerywanym czterdziesto ośmio godzinnymi przepustkami. Kanada pachniała żywicą, ale była nudna, jak wielka wieś. Najbliżej za granicę do USA mieliśmy do Bufallo. Dwie godziny jazdy pociągiem. Tam wybraliśmy się na pierwszą przepustkę. Z pociągu na peronie Edka i Bodzia porwał jakiś wyrostek, któremu ojciec przykazał doprowadzić do rodzicielskiego domu przynajmniej jednego polskiego lotnika. Amerykańscy Polacy w Bufallo wiedzieli, że w piątki dają nam przepustki, i wiedzieli, z którego pociągu jesteśmy do wzięcia. Edka i Bodzia uprowadził wspomniany wyrostek, ja poszedłem dalej. Nie wiele dalej. Zgarnęła mnie Zosia, imienniczka tamtej z Chicago. Ta Zosia zgarnęłaby chyba każdego. Nogi miała, że in universum szukać, długie czarne włosy i oczy szamanki. Była o parę lat starsza ode mnie i wydała mi się moim przeznaczeniem. I mogłaby nim być, gdyby się głupio nie uparła, że wystąpi z roli mojej matki wojennej, bo nawet nie ciotki. Zawiozła mnie do domu i przedstawiła swojej młodej i uroczej mamie jako wojenną zdobycz, którą się zaopiekuje. Nakarmiła mnie i położyła samego w swojej panińskiej sypialni, pełnej zapachu pudru i perfum, które jak wiadomo na żołnierzy działają jednoznacznie.

I stało się to, co musiało się stać. Chodząc po nocy w poszukiwaniu Zosi, napatoczyłem się na jej mamę. I o dziwo

nie wykrzyczała mnie. Ze śmiechem powiedziała, że Zosia śpi w sąsiednim pokoju i że mój pokój jest o drzwi dalej. Wycofałem się pełny upokorzenia, z kłamstwem na ustach, że chciałem siusiu i z rozespania zabiłdłem. Przy śniadaniu mama skręcała się ze śmiechu, ze mnie i ze swojej córki. Zosia, moja wojenna matka, była zła i bez apetytu. Widocznie liczyła na inną z mojej strony wdzięczność za okazane samarytańskie serce. Ale nie ma niczego złego, co by na dobre nie wyszło. Znajomość ze mną przydała się Zosi jeszcze tego samego dnia. Po południu siedzieliśmy w Ognisku Polskim, kiedy wszedł Bodzio. Z wystrzyżonym starannie angielskim wąsikiem, rozejrzał się, ukłonił i podszedł do nas. Spojrzał na Zosię spojrzeniem głębokim jak ocean, ona odwzajemniła mu się podobnym i stało się jasne, że straciłem jednodniową wojenną mamę. Zajęcie miało przebieg niecodzienny. Bodzio wziął z sąsiedniego stolika talię kart i trzymając Zosię wzrokiem na uwiezi, powiedział wykładając damy i walety:

- Czy pani wierzy we wróżbę z kart?

Zosia odpowiedziała, że jak nikt inny na tym świecie.

- Jest przy pani fałszywy blondyn - zaczął wskazując na waleta kier, w którym nie mogłem nie domyślić się siebie. - Ale jest jeszcze ktoś inny, naprawdę pani życzliwy.

Tym życzliwym był król pik, czyli on Bodzio.

Zostawiłem ich samych, Bodzia ze świetną szansą na zdradzenie żony.

Kanadyjska zima jest podobna do uralskiej. Tyle samo

śniegu, taki sam mróz. W Jarvis kurs strzelania i bombardowania przeszedłem bez kłopotu i przedwiośnie zastało mnie w szkółce nawigacji pod Toronto. Tutaj dowiedziałem się, że z nawigacji przejdę skrócone przeszkolenie, bo na bieżąco polskiemu lotnictwu są potrzebni bombardierzy. Szkołkę w Malton No 1 ADS - Air Observer School - ukończyłem w kwietniu i na początku maja w stopniu angielskiego sierżanta, z kanadyjskiego portu Halifax wyruszyłem w drogę powrotną do Anglii. W zmienionym towarzystwie, bez Bodzia i Edka, którzy, nie zaniedbując jeden Zosi, drugi Klary, zaniedbali się w nauce i obłali końcowy egzamin. Czekali ich, po dodatkowym przeszkoleniu, poprawka z egzaminu, a ja dołączyłem do takich jak oni opieszających uczniów z wyższego kursu. Jednym z nich był Janek Wajs. Natura obdarzyła Janka cechami dość pospolitymi. Miał pociąg do kieliszka, kart i dziewczyn, był częstym gościem torów wyścigowych, z których, za przyczyną psów i koni, czasami wychodził bardzo zadowolony, czasami mniej. Zawsze z niezmaconym humorem, który od urodzenia go nie opuszczał. Trudno go było stawiać na wzór małym dzieciom ale Janek nad tym nie ubolewał, jako że nigdy nie miał takich ambicji. W trzydziestym dziewiątym był w podchorążówce w Zegrzu, niewiele się nawojował, wystrzelił parę razy w drodze na Węgry z nieznanym dla siebie skutkiem i przez Francję dotarł do Szkocji. Tutaj, po okresie pogotowia przeciwinwazyjnego, od 1941 roku niewiele się działo, i nie wiele z tego Janek zapamiętał. Nudę bliźniaczych dni,

porannych pobudek i musztry, przerywały tylko co jakiś czas śluby i pogrzeby.

I zdarzył się taki pogrzeb, który w pułku, w którym Janek służył, zamknął mu drogę do awansu na długie miesiące. Szofer w stopniu kaprała, prowadząc pojazd pułkowy w stanie dużego zmęczenia napojami wyskokowymi, wyleciał na zakręcie drogi do rzeki i utonął. Dowódca pułku, znany z zamiłowań oratorskich, zarządził uroczysty pogrzeb. Długo i wzniosłe rozżalał się nad trumną i wychwalał cnoty nieboszczyka, ale kończąc przemowę żałobną przeszedł sam siebie. Prawie jak ksiądz Kamiński na pogrzebie Wołodyjowskiego, podniósł ręce w górę i zawołał:

- Kapralu Wyrobek, wzywam was na ostatni apel!

Janek, trochę podпиты, nie wytrzymał i palnął na cały głos:

- Tu jestem!

Wojsko wybuchnęło salwą śmiechu i uroczystość, która tak dobrze się zapowiadała, zakończyła się kompromitacją dowódcy. Za ten postępek Janek nie mógł się spodziewać od pułkownika nagrody i bardzo się ucieszył z przeniesienia do lotnictwa, do którego zgłosił się ochotniczo, jeszcze przed pogrzebem kaprała Wyrobka.

Teraz razem płyneliśmy do Anglii. Po ośmiu dniach spokojnej jak na warunki wojenne żeglugi, Liverpool powitał nas mgłą i ciepłą majową mżawką. Po paru godzinach czekania zeszliśmy ze statku, objuczeni jak karawana wielbłądów ekwipunkiem i kontrabandą, do podstawionego na molo pociągu. Przemytem pokaźnych nadwyżek papierosów,

ginu i whisky, niezgodnych z przepisami celnymi His Majesty's Customs. W wolnościowym sklepie na statku ceny na te używki były śmiesznie niskie i wywieszzone obok ostrzeżenie, że przed wyokrętowaniem będzie ścisła kontrola wynoszonego na ląd mienia, nikogo nie przestraszyło. I jak się okazało słusznie, bo obeszło się bez kontroli. Celnicy weszli na pokład, ale zachowali się przyzwocie i nikomu w workach nie grzebali. Udawali, że nic nie widzą.

- A bierz, lotniku, tyle twojego! Dzisiaj żyjesz, a jutro przywitasz się z diabłem.

Pociąg ruszył i dowiózł nas do punktu rozdzielczego Harrogate, skąd po paru dniach wróciłem tam, gdzie rozpocząłem służbę w lotnictwie, czyli do Blackpool. Niewiele się tutaj zmieniło. Na placu zbiórek biegały inne psy, ale po dawnemu stary Dick wykrzykiwał:

- Gazeta kondom.

W Blackpool zaczynał się sezon. Przyjechali pierwsi letnicy, a raczej letniczki, bo tych było znacznie więcej. Podboje miłosne stały się łatwe, jak polowanie w rezerwacie na oswojonego zwierza. Tym bardziej, że zaczęła się inwazja i sporo wojska ubyło z wyspy.

Któregoś dnia pod koniec czerwca zostałem wezwany do budynku dowództwa. Szef kancelarii oznajmił mi, że jestem wyznaczony na skrócony kurs szkoły podchorążych do Szkocji. Grzecznie podziękowałem i powiedziałem, że jeżeli to jest rozkaz, to go nie wykonam i proszę o skierowanie do jednostki bojowej w stopniu w jakim jestem. Szef

wyszedł, po chwili wrócił i powiedział, że w porządku, że jak nie chcę być oficerem, to nie muszę. Powiedział też, że głupich nie sieją, że sami się rodzą, i kazał mi się odmeldować. Zadowolony z siebie wstąpiłem na piwo do najbliższego pubu, gdzie poznałem Mary. Powiedziała jej, z jakiej okazji popijam. Przyjęła moje zaproszenie wesoło, ale po trzecim kuflu spjrzała na mnie bardzo smutno.

- Ile, że się spotkaliśmy - powiedziała.

- Dlaczego? - zdziwiłem się.

- Ja przynoszę wam, lotnikom, nieszczęście. Straciłam już trzech chłopców, takich jak ty! Dwóch Anglików i jednego Amerykanina. Niektóre dziewczyny już takie są, no wiesz, takie pechowe.

- Nie jestem przesadny, ale poczułem lekki dreszczyk na grzbiecie.

Czyżbym miał powiększyć jej kolekcję jako czwarty? Nie przyszło mi to łatwo, ale stłumiłem w sobie odruch, który nakazywał ucieczkę i powiedziałem zuchowato.

- Nie martw się, Mary, przełamiemy tego pecha!

Z piwa przeszliśmy na whisky, z pubu, jak się ściemniło, na plażę. Tam Mary w chwilach uniesień miłosnych zapominała z kim jest i nazywała mnie imionami nieżyjących już poprzedników. Umówiłem się z nią na następny dzień, ale nie miałem odwagi pójść na to spotkanie.

Początek lipca zastał mnie w Morecombe. W takim mniejszym Blackpool, w którym była filia bazy zapasowej polskiego lotnictwa. Było nas tutaj, oczekujących na wojnę kilkudziesięciu, z personelu latającego. Niektórzy byli po pierwszej kolejce operacyjnej, ale byli i tacy, jak ja, po podstawowym szkoleniu. Co parę dni ktoś ubywał, ktoś przybywał, pogoda była wymarzona, woda w morzu ciepła, niebo bezchmurne. Ciągłe byłem na tej wojnie i nie byłem. W połowie lipca, na porannej zbiórce major, który nami dowodził, powiedział, że odbędą się zawody pływackie, na które będziemy musieli wystawić reprezentację. Nie on te zawody wymyślił, autorem pomysłu jest angielski dowódca. Ten postarał się już o dwa zespoły, które wystąpią pod firmą Anglii i Kanady, ale impreza pomyślana jest z rozmachem i potrzebny jest trzeci zespół narodowy, który sklecimy my, pod firmą Polski.

- No więc, kto umie pływać? - zapytał przechadzając się przed szeregiem.

- Byle jak, to każdy - wyrwało się komuś.

- Nie byle jak, ale sportowo, potrzebuje czterech do sztafety i co najmniej jednego do skoków.

- Z trampoliny czy z wieży? - padło pytanie. Tym, który dopytywał się o ten szczegół, był chorąży Kmiecikiewicz. Widziałem go na basenie, pływał średnio, w skokach z wieży był bardzo dobry.

- Majora rozśmieszyło to pytanie.

- A jaka to różnica? Jak ktoś umie skakać, to skoczy i z tego i z tego.

Staneło na tym, że Kmicikiewicz będzie bronił barw narodowych w skokach z wieży, a Bańkowski, Chabrowski, Rozpleszcz i ja w sztafecie cztery razy sto metrów. Nadszedł dzień zawodów. Zaczęliśmy znakomicie. Kmicikiewicz był poza konkurencją i łatwo wygrał skoki. Major promieniał. Poklepał go po ramieniu, jak dżokej konia po wygranym wyścigu i powiedział zwracając się do nas:

- A teraz wy, chłopcy, pokażcie co umiecie!

No i pokazaliśmy. W kolejności Chabrowski, Bańkowski, Rozpleszcz i ja na ostatniej zmianie. Rozpleszcz wystartował ze stratą dwudziestu metrów do płynących ramie w ramie przeciwników i obyło by się bez kompromitacji, gdyby w połowie dystansu nie zachłysnął się i najnormalniej w świecie nie zaczął się topić. Kiedy wreszcie dopłynął do mnie, Anglik i Kanadyjczyk byli już na mecie. Nie miało to sensu, ale wystartowałem ostro i nie leniąc się pogoniłem za przeciwnikami, którzy byli już w szatni. Po tej setce, którą przepłynąłem niejako "post mortem" major podszedł do mnie, uścisnął mi rękę i powiedział:

- Dziękuję, sierżancie, za sportową postawę.

Byłem majorowi wdzięczny za to, że podał mi rękę, bo poklepywania od dziecka nie lubię. Rozpleszcza poznałem bliżej w dywizjonie. Uczył mnie tam podnoszenia ciężarów i jako były atleta poznańskiej "Warty", w podrzutach i rwaniu sztang czuł się jak ryba w wodzie.

Drugiego sierpnia z prasy i radia dowiedzieliśmy się,

ze Warszawa powstała i walczy. Po paru dniach wiedzieliśmy już, że walczy osamotniona. Bez osłony polskich dywizjonów myśliwskich, które wymiotłyby Szwabów z warszawskiego nieba, jak śmieci. Bez desantu Brygady Spadochronowej, która pod bronią czekała na rozkaz niesienia pomocy...

Nie ma wojen bez zakulisowych porozumień pomiędzy walczącymi stronami. Choćby tylko przez to, są amoralne. Ale podwójnie amoralne było pozostawienie przez aliantów Warszawy samej sobie. To był akt z piekła rodem, Kim był ten szatan, który przyczynił się do zagłady Warszawy. Że ten z Kremla, to na pewno, ale czy on jeden?

Wtedy nie myślałem o tym. Gnębiło mnie, że mogłem być wśród powstańców, że nie podpisałem w Szkocji rezygnacji z przeniesienia do lotnictwa, i że byłem tu, nie tam.

Dużo później nawiedziły mnie dziwne myśli. Że niby dlaczego Niemcy, pozostawiając broń powstańcom, nie wycofali się z Warszawy! Zaślepieni nienawiścią? Ze względów strategicznych? Z głupoty? Przecież Katyń umieli rozegrać na swoją korzyść, a powstania, o których wiedzieli, że wybuchnie i które było dla nich znakomitą okazją do skłócenia ze sobą aliantów, na nieporównywalnie większą skalę, nie umieli? Czy obawiali się, że Rosjanie wkroczą do Warszawy i w jednej chwili, zbratani z powstańcami, przerwą front w pochodzie na Berlin? Bzdura. Więc co u diabła? Czyżby sam Pan Bóg chciał ich ukarać i odebrał im rozum? Możliwe, ale równie dobrze mógł przeoczyć ten epizod wojny, którym zajęli się ludzie, i że tkwi w tym jeszcze jedna odrażająco parszywa tajemnica drugiej wojny światowej. Wiadomo przecież, że wrogie sobie wywiady przenikają się wzajemnie i że, zwalczając się, świadczą sobie różne usługi. I narzuca się pytanie: jak daleko sięgały macki brytyjskiego, amerykańskiego i rosyjskiego wywiadu. I czy mogło to mieć związek z

niemiecką decyzją stłumienia powstania. Podobno sięgały nawet do szefa Abwehry, admirała Cararisa. Było tak czy nie, na to pytanie nie ma i nie będzie odpowiedzi. Historia to przemilczy. Jedno jest pewne, że w Berlinie odbyła się narada, której uczestnicy przesadzili zagładę milionowego miasta, odrzucając korzyści, jakie dla nich wynikały z odwrotnej decyzji.

Taka narada musiała się odbyć i Niemcy popełnili to, co ktoś kiedyś nazwał błędem gorszym od zbrodni. Szczęśliwie dla aliantów, bo nie pokłócili się, na czym zyskał cały wolny świat kosztem nas Polaków, których wcześniej prezydent przodującego mocarstwa, F. D. Roosevelt, nieopatrznie dla siebie nazwał "natchnieniem walczących narodów".

x x x

Na początku sierpnia odjechała z Morecombe grupa kolegów. Dobrana grupa. Wszyscy odkomenderowani latali już nad Polskę ze zrzutami i było oczywiste, że ich wyjazd łączy się z powstaniem. Zazdrościłem im, ale tak naprawdę to nie było czego. Nikomu z nich nie udało się zrobić więcej niż dwa loty z Włoch nad stolicę. Trzeci, jak się komuś udało dwa, był niezawodnie ostatnim.

Ale życie ma swoje prawa. Warszawa była daleko. W Morecombe służyłem radia, czytałem prasę polską i angielską, a wieczorami chodziłem na piwo. Któregoś dnia poznałem Helen. Miała brązowe oczy, długie kasztanowe

włosy, świetną figurę i bardzo mi się spodobała. Ja jej też, może trochę mniej. W Morecombe była na wakacjach. Pochodziła ze starej szkocko-francuskiej rodziny, ukończyła średnią szkołę plastyczną i, wbrew woli rodziców, którzy widzieli w niej przyszłą sławę pędzla i palety i chcieli ją po wojnie wysłać do Paryża na studia malarskie, postanowiła, że zostanie modystką. Ojciec rozgniewał się i oznajmił, że w edukację modystki nie zainwestuje złamanego pensa. Helen przekornie pojechała do Londynu, zdała z wyróżnieniem egzamin do szkoły o nazwie "Paris Academy of Dress Design in Mayfair" i wróciła do rodzicielskiego gniazda w Chesterfieldzie ze stypendium, niezależna od pieniędzy ojca. Ojca rozgniewało to bo był człowiekiem starej daty. Na szczęście dla Helen pojechał na parę tygodni za ocean, wezwany tam na konsultacje naukowe - był fizykiem atomowym - i kiedy powrócił złość mu przeszła. Obrany przez córkę zawód zbył lakoniczną uwagą - pytaniem:

- Ciekawy jestem, co ty jeszcze wymyślisz?

Helen mogła teraz z moją pomocą udowodnić mu, że stać ją na więcej. Polacy w roli "boy friendów" panienek z dobrych domów byli przez rodziców tych panienek nieprzychylnie widziani...

W Morecombe Helen spędzała wakacje ze swoją starszą siostrą, która miała na imię Betty. Betty była ładna i zgrabna, ale jej uroda przy młodszej siostrze gasła jak księżyc przy słońcu. Jeżeli słońce miało mi świecić, to musiałem zrobić coś z księżycem, bo ten satelita był

kłopotliwy i zwiększał moje koszty w barach. Przyszedł mi do głowy Miszczuk, z którym mieszkalem w tym samym pensjonacie. Poznałem go z Betty. Tony, czyli sierżant Antoni Miszczuk, był przystojnym brunetem, z łatwością wystawiał się po angielsku i miał dobre maniere. Te swaty były ryzykowne, bo nie miałem gwarancji, że Tony, zamiast zająć się starszą siostrą, nie zacznie przystawiać się do młodszej. Tak też się stało. Tony zaczął powłóczyć się spoglądać na Helen, co nie mogło mi się podobać. Z pomocą przyszła mi sama Helen. Powiedziała mi, że jest jej przykro, ale nie znosi mężczyzn, którym się poca ręce. Toniemu naprawdę się pociły. Za tę zniewagę Tony zemścił się w przewrotny sposób. Odgryzł się, że zapach skóry jej siostry drażni go jak tandetne perfumy. Doprowadziło to do tego, że nasza czwórka rozleciała się po dwóch dniach znajomości. Betty, zniechęcona do romansów, przerwała wakacje i wyjechała do domu. Helen została. Podobała mi się na granicy, poza którą zaczyna się miłość.

... Za pierwszym razem przeszkodziły nam komary. Taka chmara i tak kąśliwie napadły na nas w krzakach, że wycofaliśmy się w popłochu bez pełnienia grzechu. Drugiej naszej próbie przeszkodził koń. Leżeliśmy sobie na pięknej angielskiej trawie i nic nie wskazywało na to, że tym razem się nie uda. I tak zapewne by się stało, gdyby nie ten wierzchowiec. Nie spętany pasł się drań opodal i nie wiem, czy przez ciekawość, czy złośliwość, kiedy szczęście było blisko, rozpoczął na nas szarżę. Charakternik w galopie przeskoczył przez nas i Helen, czego nie wypadało

pannie dobrze wychowanej, krzyknęła za nim:

- You damned stupid horse you!

Następnego dnia zaproponowałem Helen mój pensjonat, gdzie nie było komarów i koni. Nie zgodziła się, powiedziała, że musi dbać o swoją reputację. Od tego czasu nabrałem szczególnego obrzydzenia do komarów, a koniom uchodzącym za szlachetne stworzenia przestałem ufać.

Helen lubiła wesołe wieczory spędzane w pubach. Chodziliśmy na gin, zmieszany raz z tym, raz z tamtym. Kiedy chcieliśmy być sami, szliśmy nad morze, gdzie w zakamarku plaży mieliśmy swoje miejsce i gdzie nie było komarów, koni i ludzi. Ale przyszedł dzień rozstania.

- Wiesiek, remember me!

- Nothing's easier!

Helen wróciła do domu, dla mnie powiało wojną.

x x x

W drugiej połowie sierpnia zostałem przeniesiony na lotnisko w Millam. Niedaleko Burrow in Furness. W międzynarodowym składzie startowaliśmy na "Ansonach", czasami dwa, czasami trzy razy na dobę, na różne ćwiczenia, dzienne i nocne. Nawigację, bombardowania poligonowe i infra-red. To ostatnie "bombardowanie" było wtedy krzykiem techniki. Polegało na tym, żeby w nocy odszukać wskazany na mapie punkt umieszczenia latarni świecącej niewidocznym dla oka, bo w podczerwieni

przerywanym światłem, i żeby te błyski, jako przerywana kreskę, zarejestrować na pokładowej kamerze. Czyli przywieźć na filmie ślad przelotu nad celem, tak zwany "tracer". Nie było to łatwe. Najlepszym udawało się to raz na kilkanaście prób. Na trzy podejścia przywiozłem dwa "tracery", czym wzbudziłem uznanie i zazdrość kolegów. Kurs w Millam ukończyłem z wyróżnieniem "above average recommended for pathfinder force..."

- There is something fishy about you Poles but I must say that you are a clever lot. - Powiedział Tom, Anglik mój przyjaciel z kursu. Tom miał rację. Według ścisłej instrukcji, nad celem infrared kamerę wolno było włączyć tylko na cztery przewinięcia klatki, ja włączałem na osiem. Bezkarnie, bo na tym drobnym oszustwie nikt się nie poznał.

Wojną wiało nadal.

Z Millam pojechałem na lotnisko do Finningley, koło miasta Doncaster. W przeszłości, tu i ówdzie poza Europą, były targi niewolników. Doncaster był w Europie, ale to, co się odbywało w jego sąsiedztwie na lotnisku Finningley, trochę przypominało handel żywym towarem. Byli piloci-kupcy i była reszta do kupienia. W sporym hangarze kręciło się nas, tych na sprzedaż, kilkudziesięciu. Oficerów i podoficerów. Było mi właściwie obojętne, do kogo trafię. Kupcy, nie bez tego, że lepsi i gorsi, wszyscy zasługiwali na zaufanie. I nie poczułem się specjalnie wyróżniony, kiedy podszedł do mnie kapitan Abramski, w powietrzu od wczesnych lat trzydziestych, chyba najwyższej notowany z

pośród pilotów-kupców i zapytał:

- Chce pan latać ze mną?

Odpowiedziałem bez zbytej skwapliwości, że jak mnie chce, to mogę. Stasio, bo tak miał na imię kapitan Abramski, skrzywił się trochę, bo spodziewał się, że propozycję przyjmę z większą ochotą.

- Dobrze, wezmę pana do swojej załogi!

- To była oficerska załoga. Z wyjątkiem radiotelegrafisty i mnie, wszyscy mieli gwiazdki. Od jednej do trzech. Dwie miał Leonid Teliga, w załodze strzelec "mid-upper". Z przekonania komunista, przedwojenny oficer zawodowy piechoty, maniak wielkiej wody i wspaniały kolega na każdą okazję. Mógł się podobać. Ateista, żył w zgodzie i przyjaźni z kapelanem dywizjonowym. Miał powodzenie u pań z zacnych domów angielskich, ale nie gardził gorzej urodzonymi i lżej się prowadzącymi panienkami, sprzedającymi miłość w szemranych hotelikach. Bywaliśmy razem tu i tam, a po powrocie z lotów nuciliśmy melodię do słów:

"Na tiuremnom dvarie
Słyszén zvon kandałow
To brygada k pachodu sobierajetsa
Aresztantow szczytajet..."

Mroczny okres życia, który opiewała ta pieśń, mieliśmy za sobą, i teraz mogliśmy podśpiewywać ją sobie, pogodnie, nieomal na wesoło. Nie przyłączał się do nas Tadek Najberg, w załodze tylny strzelec, kolega szkolny Lolka. Odbył podróż do Anglii z kilkunastomiesięczną przerwą na

przesiadkę w Workucie i wszystko, co rosyjskie, było dla niego odrażające. Na nas patrzył jak na dziwaków, którym bolszewicy najwyraźniej za mało dali w kość. Reszcie załogi, która po drodze z Polski wdepnęła tylko do Rumunii lub na Węgry, nasze przyśpiewki podobały się. Dla nich traciły nie znaną im egzotyka.

Leonid, albo jak go nazywali przed wojną w podchorążówce Lolek, przesiedział w trzydziestym dziewiątym parę miesięcy w Szepetówce: Tyle, bo NKWD nie znalazło powodów, żeby go zatrzymać dłużej. Lolek wyparł się swojej, wtedy w Szepetówce, kłopotliwej profesji zawodowego oficera polskiej armii, nałgał, że był pospolitym szeregowym żołnierzem zmobilizowanym na wojnę i przezornie nic nie wspominał o swoich mocno lewicowych poglądach i luźnych powiązaniach z polskim ruchem komunistycznym. Przekonał przesłuchującego go oficera, że z zawodu jest głupim i nieszkodliwym palaczem okrętowym, zakochanym w wodzie, węglu i łopacie. Dodał, że jemu, spracowanemu wyrobnikowi morza, jest nieswojo siedzieć za drutami, których pilnują prości ludzie, tacy sami jak on, palacz okrętowy z nieukończoną szkołą powszechną. W NKWD uwierzyli mu i w myśl zasady "karaj rękę, nie ślepy miecz" wypuścili go za druty. Po wyjściu z obozu jenieckiego, Lolek poszedł na wodę, która przez całe życie przyciągała go jak magnes. Pływał przez pewien czas jako pomocnik maszynisty na holowniku na morzu Azowskim, w niełatwych warunkach, czasami pod bombami, ale z dobrymi i serdecznymi ludźmi. Kiedy mi o nich opowiadał, myślami

wracałem do Sierozy na Ural.

Lolek zakończył swoją rosyjską przygodę zmustrowaniem z holownika i wstąpieniem do armii generała Andersa. Los był dla niego łaskawy, nie trafił nawet do łagrów, a mógł skończyć w Katyniu. Piszę to ex facto; wtedy, czym był Katyń, wiedzieli tylko sami oprawcy. Przed polską komisją werbunkową nie miał potrzeby ukrywania, kim jest, zweryfikował swój stopień wojskowy i okreśną drogą, przez Iran, Bliski Wschód i Afrykę dotarł do Anglii.

Byliśmy teraz w Finningley, w bazie zgrywania załóg bojowych i lataliśmy na "Wellingtonach" w dzień i w nocy, bez względu na pogodę. Raz zdarzyło się, że nasz pilot wprawdzie wylądował ale była taka mgła, że błąkaliśmy się samolotem po lotnisku długo, żeby w końcu zostawić "Wellingtona" i szukać pieszo kasyna, w którym czekała na nas kolacja.

Z Finningley czyli OTU - Operational Training Unit - droga prowadziła do HCU - Heavy Conversion Unit - na samoloty czterosilnikowe i stamtąd do dywizjonu bojowego. Pesymiści twierdzili, że ukończenie szkolenia jest warte co najmniej tyle, co połowa tury operacyjnej. Było w tym trochę przesady ale wypadki zdarzały się, mniej groźne i śmiertelne. Stasio starał się jak mógł, a że był pilotem starym i dobrym, nic złego nam się nie przytrafiło.

Angielska jesień, jak się mieszka w blaszanych barakach ogrzewanych żelazną kozą na koks, nie należy do przyjemnych pór roku. W Sturgate było mokro, zimno i od rana do nocy po lotnisku pełzała mgła. Wkroczyliśmy w

finał szkolenia. "Lancastery", które się nam dostały, nie były fabrycznie nowe. Wycofane z dywizjonów operacyjnych, niejednokrotnie ostrzelane nad kontynentem Europy, miały za sobą przeszłość weteranów wojennych, którym się udało. Odznaczonych. Na naszym poprzedni użytkownicy wymalowali na kadłubie gołą blondynę siedzącą w kieliszku i czterdzieści parę bomb, z których każda oznaczała lot operacyjny. Nie mało, skoro według wyliczeń fachowców z Air Ministry pięć udanych bombardowań nieprzyjacielskich celów zwracało koszt samolotu i wyszkolenia załogi.

Tak więc nasz "Lancaster" przekroczył stopę opłacalności wielokrotnie. Był trochę rozklekotany, ale nie niebezpieczny. Za sterami siedział Staszek, Łukaszewicz przy stoliku nawigatorskim, gałkami radia kręcił Jaciów, mechanikiem pokładowym był Siwik, Tadek miał w ogonie cztery kaemy, Lolek na kadłubie dwa. Ja byłem "ni pies ni wydra", do wszystkiego. Miałem w swojej pieczy dwa kaemy, celownik bombardierski Mark 14 z komputerem, w razie czego miałem zastąpić pilota i nawigatora, z którym na równi musiałem się znać na obsłudze radarów pokładowych. Były dwa: odbiorczy "Gee box" i odbiorczo-nadawczy H2S.

Mietek Łukaszewicz, przed wojną zawodowy oficer i Pułku Szwoleżerów, przesiadł się z konia na "Lancastera" i - ludzka sprawa - zdarzały mu się wpadki. Wtedy Staszek cierpliwie mu tłumaczył:

- Ty, Mietek, tylko koń, jak mu puścisz wodze, zaprowadzi ciebie do stajni...

Na początku stycznia szkolenie w Sturgate mieliśmy za sobą, spakowaliśmy manatki, wsiedliśmy w pociąg i wysiedliśmy na stację w Lincoln. Stamtąd do Faldingworth, bazy dywizjonu 300 Ziemi Mazowieckiej, zabrał nas przysłany z lotniska autobus.

Na wojnę zdążyłem. Wlokła się już nieprzytomnie długo. I gdyby we wrześniu w trzydziestym dziewiątym ktoś mi powiedział, że wsiądę do samolotu bojowego w styczniu w czterdziestym piątym, odesłałbym go do domu wariatów. Ale tak, jak sprawa się miała, niesłusznie. Wojna błyskawiczna, którą krzykacz z wąsikami rozpoczął podbój świata pięć lat wcześniej, błyskała mu teraz w ślepiach łunami niemieckich miast. Wymordował miliony i bał się kary. I co taki wódz robi? Ano walczy do swojego ostatniego żołnierza! W tym epilogu miałem wziąć udział.

x x x

W Faldingworth zamieszkaliśmy w murowanych barakach załogami, z tym że oficerowie osobno. Ze mną był radiotelegrafista Jaciów. Z workami przepchnęliśmy się przez drzwi. Rozejrzałem się i rzuciłem swój dobytek na pierwsze wolne łóżko od wejścia.

- Wiesiek, lepiej zmień łóżko! - Głos wydał mi się znajomy. Odwróciłem się. Przede mną stał Bronek Warchołek. Znaliśmy się z Hucknall i z Newton z pilotażu, który Bronek ukończył, a ja nie.

- Cześć! - uścisnąłem mu rękę. - Dawno tu jesteś?

- Z miesiąc.

Bronek należał do tych, którzy do Anglii dołączyli przez Hiszpanię. Przez jakiś czas takich, jak on sam, zbiegów z Francji do polskiego wojska w Anglii przeprowadzał przez Fireneje. Znał nienajgorzej hiszpański i kręcąc się przez granicę nie gardził dziewczynami i kontrabandą. Zginął w wypadku lotniczym po wojnie.

- Co słyhać?

- W porządku.

- Co w porządku? - Nie wiedziałem, co w dywizjonie znaczy "w porządku". - Dużo masz szwabów na koncie?

- Cholera wie, trochę chyba mam.

- To byczo - powiedziałem nie bez zazdrości - Ale dlaczego odradzasz mi to łóżko?

- Bo trefne! Położysz się w nim, wstaniesz, polecisz za kanał i nie wrócisz!

- Straszysz! Żartujesz?

- Jak uważasz. Za mnie już dwóch poszło z tego wyrka, a jestem tutaj dopiero parę tygodni!

Poczułem się trochę nieswojo.

- Do nieba mi się nie spieszy, masz lepsze? - zapytałem.

- Jasne!

Bronek w uśmiechu błysnął białymi zębami, jak dziewczynka z reklamy pasty Odol. O zęby dbał jak mało kto. Wziął jeden z moich dwóch worków i zaprowadził mnie na drugi koniec baraku.

- Tu ja śpię - wskazał zasłane łóżko - a to obok jest wolne - rzucił na nie mój worek i dodał: - Też trafne, ale będziesz miał więcej szans na przeżycie. Twój poprzednik nie zginął. Leczy się na trypla...

Rozpocząłem swój pierwszy dzień służby w dywizjonie. Myślałem, że za parę dni będą w ogniu artylerii, ale pomyliłem się. Na to musiałem poczekać. Niedługo, ale poczekać. Przez dwa tygodnie zwiedzaliśmy z powietrza Anglię. Lataliśmy na ćwiczenia z nawigacji i bombardowania, które Niemcom nie przynosiły szkody.

W końcu zaczęło się. Przestrzeliwanie kaemów nad kanałem i odbezpieczanie bomb, już nie poligonowych.

- Drezno
- Chemnitz
- Dortmund
- Kolonia
- Kilonia...

Zabrakło sześciu załóg. Opustoszały w barakach czterdzieści dwa łóżka. Opustoszały, ale nie wystygły. Zajęli je nowi kandydaci na wysoką wojnę. My mieliśmy szczęście, żyliśmy i lataliśmy dalej.

- Flauen
- Bremen
- Helgoland
- Berlin
- Berchtesgaden...

To był nasz ostatni lot bojowy. Niejako na deser przypadła nam w udziale wyprawa, której celem była

alepjska twierdza Hitlera - Orle Gniazdo, wbrew nazwie miejsce wylęgu nie orłów lecz potwornych sępów historii. Zaczęliśmy się dobierać do tego gniazda 23 kwietnia wieczorem. Trasa była wściekle długa, obliczona na dwanaście godzin lotu. Sciemniało się, kiedy odprawę załóg rozpoczął Kiwi, dywizjonowy pies. Wbiegł na salę machając ogonem i wskoczył na swój fotel, oznaczony napisem "pułkownik Kiwi". Miał taki fotel w "briefing roomie" ale nie umiał czytać i nie wiedział, że w Faldingworth jest najstarszy stopniem. Po nim wszedł major Bolesław Jarkowski, dowódca dywizjonu.

- Kiwi jest? - zapytał.

- Jest! - odpowiedziało parę głosów.

- Dobrze, możemy zaczynać.

- Panowie. dzisiaj drugi raz mamy na rozkładzie Adolfa. Podobno jest w Alpach. W Berlinie, gdzie złożyliśmy mu wizytę przed kilku dniami było mu za gorąco. Poszukamy go w Berchtesgaden... Wasz cel, to koszary dywizji SS Leibstandarte Adolf Hitler. Jego osobistej ochrony. Samo gniazdo zrabia "Halifaxy": dziesięciotonówkami. Obrona będzie ostra. Wojna kończy się, ale przeciwnik ma jeszcze zęby...

Wiedzieliśmy, że ma. Niemcy, pokonani, walczyli na kolanach po desperacku, z uporem godnym lepszej sprawy.

- Będziecie daleko od bazy w górskim terenie i lot nawigacyjnie będzie trudny. Polecicie w pierwszej grupie za "pathfindersami". Trzymajcie się ich, będą mieli ogony pomalowane na żółto.

- A kto to w nocy zobaczy? - wyrwało się komuś.

Major uśmiechnął się.

- Nad celem będziecie po wschodzie słońca, wtedy kolory się rozróżnia.

Kiwi rozbawiony pomachał ogonem na znak, że popiera majora.

Zapowiadała się długa noc i długi poranek. Kilkanaście godzin lotu na tlenie. Odprawa trwała. Wysłuchaliśmy cierpliwie meteorologa, który przepowiadał piękną pogodę nad celem, oficera wywiadu, który potwierdził, że pogoda będzie dobra i obrona niemiecka też nienajgorsza. Powiedzieli, co mieli do powiedzenia, liderzy sekcji. Major wstał.

- To wszystko, panowie. Przypominam: początek startu 21:50. Z pierwszym numerem startuje sierżant Warcholek, pozostałe załogi jak podałem. Proszę teraz o sprawdzenie czasu. Synchronizujemy zegarki.

Zaczynamy się rozchodzić do swoich sekcji na dalszy briefing

- Jeszcze jedno - major zatrzymuje nas przy drzwiach.

- Proszę, niech Kiwiego dzisiaj nikt ze sobą nie bierze. To dla niego za długi lot, ... szkoda psa.

Wychodzimy z sali ze śmiechem i gwizdami. Major też się śmieje. Kiwi biegnie za nami i nie wie, czy machać ogonem, czy nie machać. Wie, że była o nim mowa, ale nie wie co major powiedział.

Fare minut po dziewiątej do naszego Lancastera "S jak Sugar" podwozi nas dziewczyna. Żołnierz pomocniczej służby

lotniczej. Polka z dalekich kresów Rzeczypospolitej, której przed wojną do głowy nie przyszło, że kiedyś w Anglii będzie dowoziła załogi operacyjne do samolotów. Wysiedliśmy "Sugar" czekał na nas, przygotowany przez chyba najlepszych na świecie polskich mechaników. Obejrzałem swoje bomby ze zbrójmistrzem.

- Ładne sztuki dzisiaj panu podwiesiłem - powiedział z szelmowskim uśmiechem. - Można nimi narobić szwabom niezłego bigosu.

- Postaram się...

- Niech im pan, panie sierżancie, dobrze dopieprzy od nas wszystkich.

Było czym. Wiozłem sześć ton żelastwa nafaszerowanego TNT, w którym królowała dwutonówka o niepieszczotliwej angielskiej nazwie "block burster".

Zajmujemy stanowiska. Staszek zapuszcza silniki. Zaskakują gładko, jeden po drugim. Sprawdzamy radary, radio, kaemy... Staszek rozmawia z wieżą, mechanicy wyciągają podstawki spod kół podwozia i "Sugar" rusza z dispersalu. jeszcze podniesione kciuki mechaników na szczęście, i w drogę! Zielony sygnał z "karawanu", uciekające do tyłu światła runway'u i w powietrze. W noc. Mietek podaje pierwszy kurs. Staszek każe wszystkim podłączyć się do tlenu. Od startu wchodzimy na wysokość. Niemiecki podsłuch wykryje wyprawę wcześniej, ale tym razem sprawą ważniejszą od maskowania naszej obecności w powietrzu jest oszczędność paliwa. Nad celem będziemy za sześć godzin.

Wlatujemy nad Francję na wysokości piętnastu tysięcy stóp. Na moim H2S francuski brzeg kanału rysuje się jak na mapie. Mietek na swoim "Gee" łapie "duchy". Inaczej mówiąc, pulsy fal elektromagnetycznych nazwanych literami A, B, C i D, które pod postacią pałeczek wychodzą z "trawy", czyli dwóch drobno u góry poszczerbionych zielonych tasiemek, przecinających ekran.

W haubie, w kagańcu maski tlenowej ze zwisającym z niej gumowym węzem i zielony w odblasku monitora "Gee", Mietek, na codzień przystojny mężczyzna, wygląda jak upiór. Dobrze, że nie widzi go teraz Gwen, jego narzeczona. Uciekłaby z krzykiem do mamy.

Zostawiamy po prawej Paryż i bierzemy kurs na Nancy. Francja nie jest już groźna. Nie ma tu Niemców i zenitówek, jak dawniej. Front jest daleko za Renem. Spotkanie tutaj nieprzyjacielskich nocnych myśliwców jest teraz mało prawdopodobne, ale "sicher ist sicher", i Lolek nie śpi. Zgłasza się do intercomu i mówi, że widzi z prawej strony samolot i nie wie, czy to niemiecki czy swój. Tadek z ogona śmieje się, że dawno widzi ten samolot, ale że to Lancaster, który krzywdy nam nie robi, chyba że się z nim zderzymy. Staszek odchodzi trochę w lewo, a Lolek powtarza swoje, że ten nie rozpoznany samolot też skręca w lewo i podejrzanie nas się trzyma.

- A cholera z nim - mówi Staszek. - Jak zaczną strzelać, to wiecie, co macie robić!

Lecimy wzdłuż granicy szwajcarskiej. Cisza. Wstaje dzień. Najpierw na Mont Blanc... Naokoło jeszcze noc, a

góra jaśnieje lodowcem, w którym odbija się słońce. Widok jak z baśni... Zamieniam się na chwilę w "Alicję z Krainy Czarów". Stoje za plecami Staszka i gapię się na ten cud natury. Nie trwa to jednak długo. Na wojnie nie można być "Alicją z Krainy Czarów", zaraz znajdzie się ktoś, kto bajkę zapaskudzi rzeczywistością. Mietek jest tym kimś. Mówi, że w górach radar jest bezużyteczny i że trzeba będzie nawigować na czytanie mapy. Na co Staszek:

- Wiesiu, to twoja robota, prowadź dalej! .

Przechodzę do przodu na swoje bojowe stanowisko. Jest już dzień. Pogodny, jak przewidział nasz dywizjonowy "Iapichmurka". Szukam przed sobą "pathfinderów", o których mówił na odprawie major Jarkowski. Mieli mieć ogony pomalowane na żółto. Nie widzę tych ogonów. Lecimy w grupie kilkudziesięciu "Lancasterów", takich jak my, nie pomalowanych. Lecimy chyba dobrze, jesteśmy na wyznaczonej trasie, ale dokładnie gdzie Mietek nie wie. Czytanie mapy w Alpach na wiosnę nie jest łatwe. Z topnieniem śniegów stawy zamieniają się w jeziora, strumyki w rzeki, chmury zalegające doliny spłaszczają teren...

Patrzę to na mapę, to na ziemię, porównuję to z tamtym i nie mogę znaleźć żadnego znaku orientacyjnego.

- Mietek, podaj mi pozycję z API!

Air position indicator, w skrócie API, jest urządzeniem, które wskazuje długość i szerokość geograficzną miejsca, gdzie by się samolot znalazł, gdyby nie było wiatru, tak zwaną pozycję bezwietrzną. Ale wiatr na wysokości siedemnastu tysięcy stóp zawsze wieje i

odczyt, który mi Mietek podaje, niewiele mi pomaga. Mietek próbuje jeszcze swojego "Gee", w którym po narzeczonej jest najbardziej zakochany, ale "duchy" pochowały się w trawę i nie chcą się z tej trawy wychylić. Dla odmiany H2S odbija na ekranie wszystkich porośnięte lasami masywy górskie jak miasta i też jest do niczego. Pozostaje mapa i żółte ogon "pathfinderów", których nie ma. Z wyliczenia czasu wynika, że zbliżamy się do celu. Mietek nie wytrzymuje. Odzywa się w intercomie:

- Pilot, tu nawigator - zawsze, kiedy był zdenerwowany, zwracał się do Staszka per "pilot" i siebie nazywał "nawigatorem". - Za pięć minut zmień kurs na 050, zero pięć zero!

Bez radaru tracił dużo z pewnością siebie i w takich chwilach Staszek lubił pozartować sobie z niego, przedwojennego szwoleżera.

- Mietek, czy ja ci już nie mówiłem, że tylko koń jak mu popuścisz wodzy, zaprowadzi ciebie do stajni. Mów, gdzie jesteście!

W słuchawkach cisza, potem śmiech Staszka.

- A złapałem ciebie Miecio, Nie wiesz, gdzie jesteście i każesz mi w ciemno skrócić na nowy kurs. Nie lubisz mnie, czy co? Wiesiu, może ty wiesz, gdzie jesteście?

Zimno w mojej bombardierskiej gondoli, jak jasna cholera, a biją na mnie siódme poty. Wiem tylko w przybliżeniu, gdzie jesteście, i nie wiem co powiedzieć. Ryzykuje.

- Staszek! Trzymaj się po lewej stronie grupy, w

której lecimy. Do celu mamy około piętnastu mil. Odezwe się, jak trzeba będzie skrócić na kurs bojowy! Włącz się na frekwencję "pathfinderów" i zostań na podsłuchu.

Improwizuję, ale brzmi to przekonująco.

- Dobrze, włączam się - mówi Staszek.

W słuchawkach trzaski, piski i rozmowa.

- Appletart one to appletart two, mark your target!

Over.

- Appletart two to appletart one, do you know where we are? Over.

- Chwila przerwy w rozmowie, cisza, w słuchawkach tylko trzaski i piski, Potem:

- appletart one to appletart three mark your target!

Over.

- appletart three, to appletart one, sorry I am a bit lost. Over.

Na tym rozmowa przerywa się. "Żółte ogony" są gdzieś przed nami, niewidoczne i żałośnie bezużyteczne. Wyprawa, rozbita na grupy po kilkadziesiąt Lancasterów, leci pod słońce na wschód. Pogoda jest prawie bezchmurna, widoczność dobra do bardzo dobrej. Trzaski w słuchawkach ustają. Staszek wrócił na kanał pokładowy. Zaraz potem zwraca się do mnie.

- Wiesiu, gdzie jesteśmy?

- Zdaje się, że przelecieliśmy jezioro, nad którym mieliśmy skrócić na cel...

- Albo, albo, przelecieliśmy czy nie?

Zwlekam z odpowiedzią. Właściwie jestem pewny, że

przelecieliśmy, ale inne Lancastery z naszej grupy trzymają kurs na wschód, a na pewno większość ich załóg też podsłuchiwała cholerne "żółte ogony", które, jak nigdy przedtem, pogubiły się. Za odbicie się od grupy i za atakowanie celu w pojedynkę, na pewno udekorowali by nas wszystkich "Virtuti", tyle że pośmiertnie - ogień szwabskiej artylerii, przeznaczony dla całej wyprawy, wzięlibyśmy na siebie...

Pewno tak by było, ale po prawdzie o niczym takim wtedy nie myślałem. Bałem się mniej strzelania szwabów od zbłąźnienia się przed własną załogą. Co z tego, że byłem pewny, iż przelecieliśmy to pieprzone jeziorko, kiedy reszta grupy trzymała kurs na wschód, zamiast skrócić na północ... Staszek zniecierpliwił się.

- Przelecieliśmy czy nie? Co ciebie do cholery zatkało?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Lancastery z naszej grupy, jeden po drugim zaczęły skręcać w lewo. Z komfortem wrzasnąłem do mikrofonu:

- Staszek, za nimi! Otwieraj drzwi bombowe!

- Otwieram!

Doznałem ulgi, jakbym miał kaca i jakby ładna dziewczyna podała mi sok pomidorowy, z solą, pieprzem i cytryną. No i po kłopotach! Teraz wiem, co robić. Komputer z celownikiem mam zgrany. Odbezpieczam bomby.

Przelatujemy nad wysoką granią, z której wita nas artyleria. Rąbie do nas z małokalibrówek. Leżę nad celownikiem. Świetlne pociski sznurem lecą do mnie. Głupie

to, ale przewracam się na bok, żeby nie dostać w brzuch. Przeskakujemy grań. Chwila spokoju i zadowolenia. Udało się, nie zbłądziłem się przed załogą. Jesteśmy w pasie obrony "gniazda" na kursie do celu. Ale gdzie cel? Na odprawie rozdali nam fotografie baraków SS, muszą być gdzieś bardzo blisko. Przed sobą mam górę, która zieje ogniem. Znowu osy świetlnych pocisków i znowu robię z siebie durnia i przewracam się ze strachu na bok. Za zboczem góry - są!!! Wyłaniają się kolejno baraki uporządkowane jak na fotografii.

- Staszek, pięć w prawo!

Przede mną najpierw lecą czyjeś bomby, potem markery "pathfinderów". I więcej bomb i już baraki zaczynają się palić.

Brawo koledzy z RAF-u!

W powietrzu ciemno od szrapneli. Trafione Lancastery buchają ogniem i ciągną za sobą smugi dymów. Innych to nie zraza. Na ziemi jest chyba gorzej. Baraki palą się, jak wata nasączona spirytusem.

- Staszek, trzymaj... trzymaj... poszły!

A teraz wiejmy z tego kotła. Możemy to zrobić z czystym sumieniem. Bomby mamy w celu.

Tadek wiedział więcej.

- A widzieliście tych bohaterów jak z gaciami w garści wypieprzali w krzaki ze swoich koszar?

- Nie widzieliśmy - odpowiadamy jeden przez drugiego.

- A szkoda, bo ja ich sobie obejrzałem i było co oglądać.

No tak, nadludzie z gaciami w garści, to widok zabawny, jakby na to nie spojrzeć.

Nad Bawarią dołączył do nas parasol myśliwców. Mustangi RAF-u, w tym polskie. Kręcili nad nami esy floresy, bardziej dla własnej zabawy, niż naszej obrony. Luftwaffe jeszcze istniała, ale, kiedyś bardzo groźna, teraz przypominała wyleniałego jak stara kanapa tygrysa, który unika awantur o mięso i woli być głodny.

Do Faldingworth zdążyliśmy na śniadanie. Wszyscy, z wyjątkiem załogi kapitana Witkowskiego, która postrzelana nad celem, z rannymi na pokładzie, wylądowała przymusowo we Francji. W bazie jako pierwszy przywitał nas kapelan dywizjonowy, ksiądz Kącki. Jak było w zwyczaju - rumem. Stał przy stole z butelką i napełniał szklanki, z błogosławieństwem duchownego, świadomego zwyczajów polskiego rycerstwa.

Byliśmy zziębnięci, ogłupiali i przed spowiedzią-sprawozdaniem z lotu, na które czekali oficerowie z Inteligence, ktoś musiał nas przywrócić do życia. Robił to nasz kapelan. Zawsze tak podejmował załogi, powracające z lotów bojowych. Nie za pieniądze świętego Piotra, był na to ziemski fundusz. Był, dokąd nie skończyła się wojna.

W pierwszych dniach maja z ostrą amunicją, ale bez bomb, lataliśmy nad Holandię. Zamiast bomb zabieraliśmy żywność dla odciętej części tego kraju, w której byli jeszcze Niemcy. Anglicy dogadali się z kimś, kto tam szwabami dowodził, że żywność dla głodujących Holendrów, nie dla nich, zrzuci RAF. I że ma się obyć bez strzelania.

Na zrzutowiska w okolicy Rotterdamu nadlatywaliśmy dwa i trzy razy dziennie, na wysokości zero. Niemcy stali przy pelotkach, przelatywaliśmy nad nimi na wysokości splunienia, oni zadzie-

rali łby w tych swoich hełmach-garenkach, patrzyli na nas bardzo nieprzyjaźnie, ale nie strzelali. Mieliśmy zakaz otwierania ognia nawet w wypadku, gdyby Niemcy zrobili to pierwsi. Ale niechby kto zaczął, obojętnie oni czy my, rozkaz natychmiast diabli by wzięli i Holendrzy pozostałoby głodni, bez kaszy, mleka i konserw, bo ludzka rąbanka, z nas i z nadludzi, nie ucieszyłaby żadnej miejscowej gospodyni. Holendrzy byli już wolni. Operacja "manna" przebiegała pokojowo, zgodnie z nadaną jej nazwą.

I skończyła się wojna. W dniu kapitulacji Niemiec wszyscy zwycięscy cieszyli się. Anglicy, Amerykanie, Rosjanie. My, też zwycięscy, nie wiedzieliśmy jak się znaleźć..

Mój doradca, Lolek Teliga, zapytany co dalej, powiedział:

- Cholera wie, co dalej? Nie wiem! Zobaczymy.

Tyle wiedziałem sam i nie było to dużo. Lataliśmy na różne pokojowe misje: "Exsodus", "Dodge". Przywoziliśmy z byłych obozów jenieckich z Niemiec kolegów, alianckich lotników, woziliśmy do Włoch angielskie pielęgniarki i wracaliśmy stamtąd ze zdemobilizowanymi żołnierzami Zjednoczonego Królestwa. Wyrzucaliśmy z powietrza do morza nie uzbrojone boby, które teraz, nikomu niepotrzebne, zalegały podziemnie składy amunicyjne.

W porządkowaniu powojennego bałaganu czuliśmy się jak goście zaproszeni na stypę po przedwcześnie dla nas zmarłym nieboszczyku. W lipcu, w natłoku latania w cudzych

sprawach, rozpoczęliśmy loty na lotnisko położone w sąsiedztwie Oldenburga, na którym stacjonowało 131 Skrzydło Myśliwskie. Tędy dywizjony polskich Spitfire'ów. Tym razem sprawa była polska.

W bazie w Faldingworth upychaliśmy własnoręcznie do komór bombowych swoich Lancasterów odzież, przeznaczoną dla dziewcząt i chłopców z Powstania Warszawskiego. Ciuchy były nafalinowane, używane, w dobrej wierze podarowane PCK przez rodaków z za oceanu. Część nadawała się na śmietnik, ale było tego dużo i było w czym wybierać. Ta spóźniona o rok pomoc była żałosna, a dla mnie miała żenujący ciąg dalszy. Za sprawą Janiszewskiego. Zналиśmy się z Brighton, latał tutaj na Spitfire'ach i szczerze się ucieszył, że mnie widzi. Wesołego usposobienia, z wyglądu przypominał George'a z Newady. O dziewczynach, w których mógł wybierać, nie dbał zbytnio, nie zlekcewazył natomiast dobrych okazji do wychylenia z kolegami paru głębszych. Do takich okazji zaliczył nasze spotkanie.

Tak więc Janiszewski zaprowadził mnie do swojego namiotu - piloci mieszkali tam w namiotach - wyciągnął butelkę z jakimś złotym płynem.

- Ten sznaps dobrze smakuje z sokiem pomarańczowym - powiedział i rozlał ciecz do szklanek.

Wypiliśmy. Draństwo nawet z sokim piekło jak zaraza. Po drugiej szklance wspomniałem, że nie mogę się wstawić, bo za parę godzin wsiadam do samolotu.

- Wsiądziesz - zgodził się, - za sterami nie siedzisz, dolećiesz, dowiozą ciebie. ja latanie też mam z głowy, od

jutra biore urlop. Fajnie, że spotkaliśmy się. Na zdrowie!

Zabawialiśmy się szklankami i rozmową dość długo. Po czwartej czy piątej kolejce mój gospodarz zaniepokoił się, czy nie jestem głodny.

- Może jesteś głodny? zapytał.

- Tak sobie. Masz coś dobrego?

- W namiocie nie mam, ale mam niedaleko lotniska zaprzyjaźnioną niemiecką farmę, gdzie robią jajecznicę z wiejską kiełbasą. Pójdziemy? Kto nie lubi jajecznicy z wiejską kiełbasą? Poszliśmy.

Szliśmy drogą przez las, po deszczu pełną kałuż. Było wczesne popołudnie, do fermy nie było daleko, a mnie, kiedy tam doszliśmy, wydawało się, że słońce zaszło i że jest wieczór. Z Janiszewskim też działo się coś niedobrego. W połowie drogi umilkł, w kilka ostatnich kałuż wdepnął, jakby ich nie widział. Usiedliśmy w ogrodzie na ławie przy wyszorowanym sosnowym stole. Jajecznica, którą postawiła przed nami właścicielka farmy, widziałem jak przez mgłę. O jej zjedzeniu nie było nawet mowy. Płyn, którym uraczył mnie Janiszewski, nawet wilkowi w pełni śnieżnej zimy odebrałby apetyt na pasztet z zająca. Janiszewski zapłacił za nietknięte jadło i spróbowaliśmy podnieść się z ławy. Pierwsza próba była nieudana. druga też.

Ludzie biesiadni zgodzą się ze mną, że prawie nigdy nie zdarza się tak, żeby dwóch panów równo pijących dokładnie tak samo się upiło. zwykle jeden jest bardziej wstawiony drugi mniej, i ten służy pomocą swojemu koledze.

Nasz wypadek był zadziwiający. W równym stopniu obaj zachowaliśmy przebliski świadomości i żadnej władzy w nogach. Nasza frau przestraszyła się i zawołała męża, a ten dwóch parobków. Ci chcieli nam pomóc ze wstaniem z ławki. Ale Janiszewski pokręcił głową na znak, że sobie tego nie życzy. Zrozumieli, że chcemy trochę posiedzieć i zebrać siły. Siedzieliśmy długo, godzinę, może dwie. Sciemniło się, kiedy podpierani, z niejakim trudem udaliśmy się w drogę powrotną. Niemcy doprowadzili nas tak daleko, jak tylko mogli. Na samo lotnisko wstęp mieli wzbroniony. Zdani na własne siły, jakoś trafiliśmy do namiotu Janiszewskiego.

Nazajutrz rano otworzyłem oczy, żeby je zaraz zamknąć. Namiot paskudnie się kręcił. Poleżałem chwilę i zmusiłem się do wstania. Janiszewski spał snem człowieka sprawiedliwego, pochrapywał jak spracowany żniwiarz, który po skoszeniu pola żyta zażywa zasłużonego odpoczynku. Język miałem wysuszony na wiór i wstrętne uczucie, jakby mi w gębie przenocował szwadron kawalerii razem z końmi. Przechyliłem menażkę, łyknąłem trochę kawy i zaraz ją wyrzygałem. A drań Janiszewski spał i pochrapywał, wydało mi się, że wesoło. Poczekaj - pomyślałem mściwie - zobaczymy, jak ty przełkniesz tę kawę. obudziłem go z menażką w ręku.

- Masz, napij się, ta kawa dobrze ci robi...

Janiszewski chciwie wypróżnił menażkę i w panice puszczając pawia wybiegł z namiotu.

- Ty - zapytałem, kiedy wrócił. - Co my do cholery

wczoraj piliśmy?

Szelma przetarł zdziwione oczy.

- Sznaps - odpowiedział niechętnie, jakby chciał na tym kończyć rozmowę.

- Jaki sznaps? - dopominałem się o nazwę. Na butelkach Janiszewskiego nie było nalepek firmowych.

- Dobry sznaps... Spirytus!

- Jaki spirytus?

- Jaki? Napędowy!

Drobnostka, pomyślałem z gęsią skórą na grzbiecie.

- Do czego napędowy?

Obruszył się na mnie, jak na natreta.

- Do czego? do V 2! Ale dlaczego się złościysz. Był sprawdzony, że nie trujący.

- Nie trujący? To dlaczego wyrzygałeś kawę, jak nie trujący?

Skrzywił się z niesmakiem.

- Miałem wczoraj zły dzień, a jak ktoś ma zły dzień, to się struje zsiadłym mlekiem.

Nie miałem żalu do Janiszewskiego. W końcu nie oślepiłem, a było nie było, ten swój napitek próbował tak samo na sobie, jak na mnie.

- Za dużo łyknęliśmy - powiedziałem pojednawczo.

- Za dużo - zgodził się Janiszewski. - Nie był trujący, ale przeholowaliśmy.

Poszliśmy do umywalni. Pogoda była słoneczna i niebo pełne Spitfire'ów. Dywizjony startowały trójkami, które po krótkim rozbiegu odrywały się równo w ostrych podciąganych

skrętach i odchodziły z lotniska. Kiedy umycki wracaliśmy do namiotu, całe skrzydło przeleciało nad nami w formacji zwartej, na krawędzi bezpieczeństwa.

- Ładnie lecą - zauważyłem.

- Ładnie - przytaknął Janiszewski. - To klawo wygląda z ziemi, ale spróbuj na kacu lecieć w takiej formacji i do tego w środku!

- A ty próbowałeś?

- Jeden raz i więcej nie spróbuję. Złamać szyk wstyd, nie złamać strach, że sam się zabijesz i pozabijasz innych. Lecisz i nie wiesz, czy srać czy rzygać.

Mojego Lancastera "S jak Sugar" oczywiście nie było. Odleciał do Anglii i najlepsza wróżka nie umiałaby powiedzieć, kiedy po mnie wróci. Nie było to zabawne. Janiszewski pocieszył mnie.

- Po co się martwisz? Wróci... A nawet, jak nie wróci, to też niewielki kłopot. Pojedziesz na pierwsze lepsze amerykańskie transportowe lotnisko, powiesz im o co chodzi, to ciebie zabiorą. Nie ty pierwszy tak zrobisz. Masz ze sobą jakieś dokumenty?

- Mam.

- To o co chodzi? Ubieraj się, pojedziemy do Oldenburga na obiad.

Wsiadliśmy do jeepa na jakimś placu, już w dobrej formie. Janiszewski w Oldenburgu, tylko trochę naruszonym wojną, był u siebie.

- Obiad zjemy gratis. Zapraszam ciebie w imieniu burmistrza tego miasta.

- Kogo?

- Przecież powiedziałem, że burmistrza.

- Kiedy zdążyłeś coś wypić?

- Nie zdążyłem, ale zaraz zrobimy to razem na cudzy koszt.

Zaprowadził mnie do restauracji "nur" dla takich jak my, czyli podoficerów alianckich sił powietrznych. Bardzo przyzwoitej restauracji. Z lśniącymi białą obrusami, platerowymi nakryciami i biegającymi między stolikami kelnerkami. Przeważnie młodymi i ładnymi. Usiedliśmy. Błędynka, jak z afisza zachwalającego organizację "Bund Deutsche Madel", podeszła do nas z jadłospisem.

- Wszystko, co w karcie, funduje burmistrz - powiedział Janiszewski. - Dopłata jest tylko za to, co nie niemieckie. Za gin i szkocką...

Wybrałem gulasz wieprzowy z sałatą ziemniaczaną, Janiszewski pieczeń sielecą, zamówiliśmy do tego karafkę czerwonego wina. Kelnerka uśmiechnęła się i powiedziała, "sehr gut".

- Sehr gut - powtórzyłem po niej, zwracając się do Janiszewskiego. - Ale ty mi powiedz, co to wszystko znaczy. Dlaczego nam Szwaby fundują ten obiad. Ze strachu?

- Z jakiego tam strachu, z wdzięczności.

- Niby za co ta wdzięczność?

- Jak to? Za to, że ich wyzwoliliśmy...

- My ich? Od kogo, może od Adolfa? Nie rób ze mnie wała.

- Zgadłeś, od Adolfa.

- Nie lubili go, czy jak?

- Bardzo lubili, ale tylko na niby.

- Nie kapujesz...

- Na niby, frajerze. Zaraz po wkroczeniu Anglików okazało się, że mieszkańcy tego miasta nigdy go nie kochali, ale musieli udawać miłość, bo łotr terrorem zmuszał ich do tego. Pierwszy z tą dobrą wiadomością pobiegł do aliantów burmistrz i chodził tak długo, aż wyprosił zgodę na otwarcie tej knajpy. Właśnie z wdzięczności za oswobodzenie. Kapujesz teraz?

- Żarty... - powiedziałem.

- Dla nich nie. Nas też się boją. Zaraz się przekonasz.

Janiszewski opryskiwie zamówił następną karawkę, którą nasza kelnerka podała z czarującym uśmiechem. Jadłem i piłem i śmieszne myśli pałętały mi się po głowie. Sam dwa razy wyzwalany. W trzydziestym dziewiątym przez Rosjan z jarzma polskich panów i bez hecy w czterdziestym drugim przez Amerykanów z francuskiego obozu dla internowanych w Maroku. Teraz dla odmiany byłem wyzwolicielem Niemców, najnieoczekiwanej dla siebie. Tak na niby, ale zawsze...

Wróciliśmy na lotnisko, fundą burmistrza już zupełnie przywroceni do życia.

Następnego dnia Janiszewski wsiadł z dwoma kolegami do jeepa i pojechał na urlop. Jak się wyraził, zwiedzać Niemcy. Namawiał mnie na tę imprezę.

- Tutaj, kolego, papierosy i czekolada załatwiają wszystko. Mamy tego od groma. Siadaj, zabawisz się jak

nigdy! Niemcy to jeden wielki burdel. Jedź z nami, nie pożałujesz!

Diabeł usilnie mnie kusił, ale nie pojechałem. Byłem mocno zaniedbany w dyscyplinie wojskowej i postanowiłem, że dopilnuję pierwszej okazji wydostania się z kontynentu na wyspę.

Okazja trafiła się po czterech dniach. Z cichami przyleciała załoga sierżanta Matejskiego, najmłodszego pilota dywizjonu 300. Byłem zaniepokojony tym, czy ktoś w Faldigworth nie zainteresował się w sposób niekoleżeński moją tam nieobecnością. Marian roześmiał się.

- Masz kłopot z głowy. Nikt nie robił rabanu.

Po powrocie dowiedziałem się, że pod nieobecność zostałem awansowany do angielskiego stopnia starszego sierżanta.

X X X

Ciuch skończył się, loty do Włoch trwały. W Neapolu postacią numer jeden był doktor George. Fałszywy doktor, jakich po wojnie na świecie kręciło się sporo. Skończył gminazjum w Warszawie, pochodził z żydowskiej kupieckiej rodziny i w Neapolu był królem czarnego rynku. Miał na sprzedaż wszystko: brylanty, złoto, szwajcarskie zegarki, jedwabne włoskie pończochy, a towarem, na którym zarabiał najwięcej, były fałszywe angielskie banknoty pięciofuntowe. Wydrukowane w czasie wojny przez Niemców w celach dywersyjnych, w ilości, z której doktor Gregore

przy całej swojej obrotności handlowej, mógł skorzystać tylko w znikomej części, były na neapolitańskim czarnym rynku jego głównym towarem.

Sprzedawał je niedrogo. Pięć fałszywych za dwa prawdziwe. Były tak dobrze podrobione, że żony rzeczoznawców z Banku of England spędziły niejedną bezsenną noc, podejrzewając mężów o niewierność, podczas gdy oni głowili się nad tym, co zrobić, żeby pozbawić zysków takich jak doktor George i przywrócić funtowi dobre imię.

Doktor, kiedy mu powiedziałem, że chcę za swoje dziesięć funtów jego dwadzieścia pięć, serdecznie się roześmiał.

- Dlaczego tak mało? Niech pan weźmie pięćset! No, czy ja wiem, dwieście! Ale dwadzieście pięć? U mnie nikt z pana kolegów nie bierze dwadzieścia pięć.

Wziąłem dwadzieścia pięć i przy okazji kupiłem u doktora sto par pończoch. Wymienił wygórowaną cenę, ale kiedy się skrzywiłem, z obrażoną miną pospieszył z wyjaśnieniem, że jego towar jest wart dużo więcej, po tym zniżył głos i konfidencjonalnym tonem dodał:

- Robię to specjalnie dla pana. Wie pan, jak to jest, tu się straci, tam zarobi. Stacę, ale dam panu dwadzieście procent rabatu. Może następnym razem da mi pan zarobić.

Cena z rabatem była poniżej rynkowej, ale doktor do interesu chyba nie dołożył. Sprzedał pończochy i zyskał sobie klienta. Upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu. Upiekł, ale nie zjadł. Niedługo po tym Interpol zainteresował się nim ze złym dla niego skutkiem. Ze

swojego placyku w pobliżu opery "San Carlo" któregoś dnia znikł. Okąd wziął się za sprzedaż angielskich banknotów "Made in Germany", stapał niby po zaminowanym polu. I tak musiało się to skończyć.

Doktor George handlował z wdziękim i talentem, nie wątpię, że po przerwie na odsiadkę wypłynął gdzieś w świecie w roli grubej ryby. W biznesie, niekończącⁱ aż takim trefnym.

Kiedyś po latach zaprzyjaźniłem się w Australii z gentelmenem, też doktorem, do tego honorowym konsulem Kostaryki, który nie był doktorem Geogem z Neapolu, ale z powodzeniem mógł nim być...

W Neapolu, w oczekiwaniu na powrotny start do Anglii, chodziłem na plażę, na wino i dziewczynki, które po uiszczeniu należności zegnałem, udając się spiesznym truchtem do najbliższej wojskowej przychodni weneryczno-profilaktycznej. Tak czyniąc, nie zawarłem bliższej znajomości z gonokokami, które wisiały tutaj w powietrzu, groźniejsze od pobliskiego wulkanu, tego, co to zniszczył Pompeje, starożytne siedlisko rozpusty.

Gnuśny to był sposób na spędzanie wolnego czasu, ale tak robiła znamienita większość moich kolegów, a ja nie chciałem się wyróżniać. Skrzętnie ukrywałem swoje wizyty w neapolitańskiej operze, żeby nie być posądzony o dziwaczne ciagoty do kultury, przynależne w wojsku wyższym szarżom.

Pod koniec grudnia wylądowaliśmy z kolejną grupą angielskich pielęgniarek. Na trasie pogoda była wyjątkowo parszywa. Nisko zawieszane chmury, deszcz, oblodzenie,

mgła i huśtawka jak się masz. Nasze pasażerki ponakrywały się kocami powyżej uszu i leżały pokotem wzdłuż kadłuba, trzesąc się z zimna i strachu. Jedna z nich trzymała fason. Ladna blondyneczka. Zaprosiłem ją do siebie, do swojej bombardierskiej gondoli, która z braku weneckiej była nie do pogardzenia. Było w niej sporo miejsca i co więcej, kłapa luku ratunkowego była wysłana gabka pokryta skórą. Można by powiedzieć, że z klasy ekonomicznej, która podróżowała jej koleżanki, zaprosiłem ją do pierwszej. Propozycję przyjęła bez cergieli. Posadziłem ją na miękkiej kłapie i aż do wylądowania zabawiałem rozmową o ludziach, zwierzętach i trochę o sobie. Pożegnała mnie serdecznie:

- Dziękuję panu. Czułam się bardzo źle, ale słuchając pana zapomniałam o tym.

Po jej koleżankach było co sprzątać.

Podła pogoda utrzymywała się przez następny tydzień. Dwa razy bladym świtem zawieźli nas na lotnisko i w obu wypadkach w ostatniej chwili odwołali start. Wysiadając z samolotu nasi pasażerowie gniewnie powarkiwali: Fucken weather, fucken bastards, co oznaczało, że są bardzo niezadowoleni z pogody i z nas. Oni martwili się, że nie zdążą do Anglii na święta, nas diabli brali z innego powodu. Nie wiedzieliśmy, co zrobić ze szmuglem, zamelinowanym w podwoziu, kłapach i ogonie samolotu, który tam z pomocą śrubokrętów ukrywaliśmy bez światełek, zaraz po przybyciu na lotnisko. Robiliśmy tak zawsze i było dobrze. Ale diabli nam nadali ten pierwszy przypadek

odwołania startu. No i zgłupieliśmy. Pasażerów już nie było, ale pozostali mechanicy, a wśród nich facet od zabezpieczania zasznutowanymi brezentami części samolotu, wrażliwych na wilgoć, w tym wieżyczki na ogonie, pod którą miałem swój regularny schowek na pończochy. Ociąganie się z wyjściem nie miało sensu i niezdecydowani czy zabrać towar na chłama, czy zostawić w nadziei, że nie zmieni właścicieli, zeszliśmy do mechaników. W tym, że czekali na przyjęcie od nas samolotu, nie było nic podejrzanego, ale ich sprytne uśmiešky nie pozostawiały wątpliwości, że zagarną nasze mienie. Nie wytrzymali, aż sobie pójdziemy, zdradzili się, a nam pozostało dobyte z kieszeni śrubokrętów i częściowe rozkręcenie naszego wiernego towarzysza bojów i znojów, Lancastera "S jak Sugar".

Mineło parę dni i nieoczekiwanie sprawdziliśmy na sobie, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Po powtórnych odwołaniu startu, jakiś ważny typ z dowódctwa wpadł na pomysł, że będzie najlepiej całą naszą międzynarodową ferajnę wyprawić na święta do Rzymu, czym zaskarbił sobie naszą wdzięczność i pozbył się kłopotu. Słusznie podejrzewał, że zajmowanie się nami w czasie święta okaże się mniej beztroskie, niż opieka nad dziećmi z freblówki.

Wycieczki z pustą kieszenią nikogo nie bawią, do swoich nie mieliśmy po co sięgać. W oczekiwaniu na powrót do Anglii, wszystkie posiadane liry zamieniliśmy na towar. Teraz nie pozostawało nam nic oprócz zwrotu kupionego dobra za cenę co łaska, która jak wiadomo na pszym koniu jedzie. Na odsprzedaży ponieśliśmy ciężkie straty. Włosi

wybrzydza, przyjmowali swój towar za pół ceny, tak jak robi rozsądny mąż, któremu kochanek zwraca żonę.

Wczesnym rankiem zajęliśmy miejsca w wojskowych pick-up'ach i poturlaliśmy się do Rzymu. Na kolację wigilijną, był to już bowiem dwudziesty czwarty dzień grudnia. Przydługą podróż skrociliśmy sobie, puszczając między sobą w obieg butelki, i pełni radości życia, po paru godzinach minęliśmy bramę stadionu olimpijskiego, który w Rzymie przez trzy dni miał nam służyć za schronisko. Niezłe. Dla mnie, pamiętającego inny stadion - arenę w Casablance, wyśmienite. Była tutaj cześć hotelowa wyposażona w przydatki należne cywilizowanym gościom i przeszklony na przestrzał duży pawilon restauracyjny, w którym przed zmierzchem zasiedliśmy do uroczystego posiłku. Przy trzech rzędach biesiadnych stołów, rozstawionych na długość pawilonu, na których piętrzyły się pieczone mięsiwa, wśród wabiących wzrok butelek whisky, i ginu i statystujących gąsiorów z miejscowych Chianti. Jeden z grzechów głównych, pijaństwo i obżarstwo, wisiało nad wszystkimi, a do nas Polaków jadowicie szczyrzył kły, na stole nie było ryb... Staszek wziął na siebie odpowiedzialność za udzielenie nam dyspensy pod warunkiem, że odpokutujemy mięso umiarem w picciu, i że zakończymy rozpustę pójściem na pasterkę do Watykanu. Z tą pokutą Staszek żartował, ale jakiś typ w mundurze pułkownika RAF-u na żartach się nie znał i ubzdurał sobie, że w drodze do nieba naprawdę przepuści nas przez czyściec. Uważnie przymierzaliśmy się do tego, co było na stołach, gdy tenże wstał, zabrzczał widelcem o

szkłankę domagając się ciszy. Umilkliśmy w oczekiwaniu na toast, połączony z powitaniem w paru słowach. Spotkał nas zawód. Typ pedantycznie odłożył widelec, oparł się o stół szeroko rozpostartymi ramionami na kształt pajaka, Odchrząknął, powiódł po nas wzrokiem i przemówił.

Zaczął od tego, że wspólnie obchodzimy pierwsze święta od zakończenia wojny i cieszył się bardzo, że doczekaliśmy tej chwili, bo mogło być gorzej... Zerwały się oklaski. Gdyby wtedy podniósł szkłankę, która z dobrą whisky stała przed nim, i powiedział, że wznosi toast za to, że nie było gorzej, wszyscy zachowalibyśmy go we wdzięcznej pamięci. Mógł na tym skończyć, ale stało się inaczej. Zachęcony oklaskami wpadł w gadulstwo. Moralizatorskie, co najmniej dziwne jak na miejsce i okoliczności. Było w tym coś podejrzanego. Sprawiał wrażenie, że tego, przed czym nas ostrzega, sam się nie ustrzegł i to niedawno. Najpierw napadł na dziewczyny. Uświadomił nas, że Włoszki często bywają ładne, ale jeszcze częściej zarażone. Rozśmieszył nas serdecznie i dostał brawa. Po tym zawział się na whisky. Pouczał nas, że z whisky trzeba uważać, bo ci co nie uważają, w samo południe padają płasko na pyski, na centralnych ulicach i placach Rzymu, hańbiąc mundur RAF-u. Że widział już takich i żałował, że ich nie zadziobały miejskie gołębi...

Tym razem sprawa była poważna. Skończyły się dwuznaczne oklaski i zaczęły jednoznaczne gwizdy. Mój sąsiad, krewki Australijczyk, nachylił się do mnie.

- Założę się z tobą że sukinsyn jest pijany.

Też tak myślałem. Do munduru facet miał przyszyta odznakę pilota i beretki bojowych odznaczeń, które świadczyły na jego korzyść a gadał jak przetłumaczony ksiądz, zupełnie od rzeczy. Pomimo gwizdów rozpuścił język i zaczął się rozwodzić nad naszą dobrą wojenną przeszłością, która teraz paskudzimy i zapaskudzimy.

Mój australijski sąsiad obstawał przy swoim.

- Założę się z tobą, że ten pijany typ z cywila to jest jakiś sukinsym!

Mieliśmy go wszyscy dosyć, a on powoli zaczął chrypnąć. W końcu podniósł swoją szklanke i przekrzykując zgiełk wrzasnął:

- Ale Anglia zawsze pozostanie Anglią! - po czym przepłukał gardło i usiadł zadowolony z siebie.

Oprócz nas Polaków reszta towarzystwa wywodziła się ze Zjednoczonego Królestwa i toast byłby na miejscu, gdyby nie to "ale", które w połączeniu z tym, co powiedział wcześniej, oznaczało, że jesteśmy zgraja nicponi, czym jednak nie doprowadzimy wyspy do upadku. Ryknęliśmy śmiechem. Pułkownik osiągnął nie zamierzony cel, bo chcąc nas naprawdę rozbawić, nie zrobiłby tego lepiej, niż zrobił.

Dalej biesiada potoczyła się wartko. Pobrzekując szkłem raczyliśmy się jadłem, czas upływał, a ponieważ łatwiej jest się najeść niż napić, coraz rzadziej sięgaliśmy po noże i widelce, dające pierszeństwo butelkom i szklankom. Mój sympatyczny australijski sąsiad po każdym łyku whisky nie mógł się nadziwić, że sukinsyn pułkownik

przeżył wojnę. Pił śmiało, po którejś kolejce zwrócił się do mnie z koleżeńskim pytaniem:

- Ty, gdzie tu najbliższej można się wyrzygać?

Pokazałem mu gdzie. Wrócił do stołu prędzej niż się spodziewałem. Uzupełnił nasze szklanki, i powiedział:

- Nie myśl, że to whisky. Wyrzygałem się przez tego sukinsyna...

Sala wypełniał wesoły gwar rozmów i sprośnych śpiewów, do pełni szczęścia brakowało nam rozebranych tancerek pływających po stołach, kiedy ktoś z głową na karku wymyślił sposób na zażegnanie tego braku. Uciszył biesiadników i zaproponował meską zabawę. Powiedział:

- Wojna się skończyła, my obecni tutaj alianci wygraliśmy ją. Ale teraz między sobą musimy rozstrzygnąć, kto jest lepszy przy kieliszku!

Byli: Anglicy, Australiczycy, Nowo Zelandczycy, Kanadyjczycy, no i my z Polski. Konkurencja była groźna, w grę wchodziły prestiż i honor narodowy. Po ustaleniu warunków zmagania, które dawały równe szanse reprezentantom, a polegały na tym, że każdy z nich dostanie do wyboru butelkę whisky lub ginu i będzie pił do skutku. Wygra ten, kto ostatni padnie na stół, albo pod stół, albo, co też było przewidziane, pierwszy wypróżni butelkę bez takich przypadłości. Przystąpiliśmy do zabawy. Zawodnicy, zgromadzeni w jednym miejscu, dopingowani z humorem przez swoich kolegów, świadomi odpowiedzialności, pili w skupieniu, bacznie się obserwując. Pili z jednakowych miarek, w tempie dyktowanym przez sędziego, co wykluczało

stosowanie taktyki w rodzaju: zacznę wolniej potem przyspieszę. Pozbawieni sportowego pola manewru, może dlatego, że zawody odbywały się na terenie stadionu olimpijskiego, walczyli w duch^u sportowym i jednym starczyło tego ducha na dłużej, innym na krócej. Poklepywania, zachęty i w końcu złożeczenia kibiców, przestawały robić wrażenie na kolejnych zawodników, podobnie jak bat dzokeja na opadłego z sił wierzchowca. Obojętnieli i odpadali ze stawki. Najlepsi i nasz przedstawiciel, przez jakiś czas szli łąb w łąb. Na celowniku lepszy był Kanadyjczyk, który nie czekając na sędziego, ostatnią miarke wypił wprost z butelki i z rubasznym śmiechem rąbnął pustą o stół. Nie złożyliśmy protestu. Facet miał na imię Kaz, inaczej mówiąc Kazik i był polskiego pochodzenia. Poniekąd imprezę wygraliśmy dubletem. Na pasterkę nie poszliśmy.

X X X

Do Anglii wracaliśmy na początku stycznia. Pogoda była wredna, gorsza niż poprzednio, kiedy dwukrotnie odwołali start. Na pokładzie mieliśmy angielskich pasażerów i to, co komu zostało z niesprzedanego szmuglu. Był to nasz ostatni lot z pasażerami. Z trzydziestu paru załóg, cztery, w tym jedna z naszego dywizjonu, zaginęły po drodze. Czy rozbiłi się na Krecie, w Alpach, czy oblodzeni wodowali na Morzy Śródziemnym, nikt ani wtedy ani później nie dowiedział się. Operacja "Dodge", taki był kryptonim

naszego latania do Włoch po zdemobilizowanych żołnierzy, została odwołana. Ktoś niegłupi zdecydował, że Lancastery do tego się nie nadają, a tym bardziej ich załogi, nastawione na ryzyko wożenia bomb nie pasażerów. Ten ktoś miał rację. Nam pozostał transport i wyrzucanie do morza nie wykorzystanych we właściwym czasie bomb, w ramach innej operacji nazwanej "Wastage". To nudne zajęcie dla Anglików oznaczało definitywny koniec wojny, a dla nas marnotrawstwo. Ale czy to się nam podobało, czy nie, było już po wojnie i przygoda skończyła się. Dla nich. Dla nas rozpoczynała się następna. Co dalej?

Lolek ze swoimi ciagotami do komunizmu zbłądził się. chciał zostać armatorem. Wymyślił sobie, że on i ja kupimy statek, przepłyniemy Atlantyk na Wielkie Jeziora i że tam będziemy przewozili fracht. Jack London nie wpadłby na lepszy pomysł.

- Gdzie jest ta łajba? - zapytałem.

- Stoi na kołku w Hamburgu.

- Jakaś ponemiecka?

- Tak. W sam raz dla nas. Motorowiec, 300 BR1, do małego remontu.

- Za ile?

- Tanio. W przeliczeniu na papierosy za dwa tysiące funtów.

- Ile masz?

- Zbioreę ze trzystą.

Projekt upadł. Miałem dwieście, w nasz interes nikt nie chciał zainwestować z wyjątkiem typu, który chciał w

ten sposób upłynnić swoje trefne banknoty doktora Georga.

Czas upływał i 11-go października nasz dywizjon został rozwiązany. Był pierwszym polskim dywizjonem bombowym sformowanym na wyspie i ostatnim, który odszedł ze służby. Były przemówienia, apele poległych i defilada z orkiestrą. Potem przelecieliśmy na ^dbazę w zwartej formacji na wysokości zero, co obecny marszałek RAF-u, sir Norman Bottomley, skomentował uwagą, że tak umieją latać tylko najlepsi z najlepszych. Zacinał zimny, jesienny deszcz.

W następnym dniu wystartowaliśmy po raz ostatni i wzięliśmy kurs na lotnisko, gdzie nasze Lancastery miały pójść na złom. Poleciliśmy w nastrojach żałobników odprowadzających na cmentarz swoich przedwcześnie zmarłych bliskich. Z rozwiązaniem dywizjonu, to co przyniosła nam wojna, mieliśmy za sobą. Ostatecznie. Wspólna droga dobiegała końca, doprowadziła nas na rozstaje, skąd wybór kierunku dalszej wędrówki należał do nas samych. Wracać do kraju? Nie wracać? Szukać szczęścia, na miejscu, za oceanem, może aż w Australii? Było nad czym pogłównkować.

Już od dawna kombinowałem, jakby tu zarobić i uszczknąć coś do własnej kieszeni. Głównkowała też grupa "Leśnych Dziadków", jak nazywaliśmy zaawansowanych wiekiem oficerów przeważnie wysokich szarż, którzy podczas wojny rezydowali przy sztabie w Londynie i nie udzielali się w powietrzu. Do dzieła przystąpili zmyślnie. Pod szyldem "Samopomoc Lotnicza" rozpropagowali swoją gotowość do świadczenia usług, w zakresie doradztwa i pomocy w załatwieniu wyjazdów do zamorskich krajów. Na Wyspie

niezdecydowanych, co ze sobą począć, było zatrzesienie, a wśród nich pokaźna ilość zagubionych i rzecz by można nierozgarniętych. Na takich "Dziadki" liczyły najbardziej. Interes ruszył z kopyta. Po paru miesiącach przedsiębiorczy gang ze składek członków "Samopomocy" nabył duży, piętrowy dom przy Collingham Gardens, w dobrej dzielnicy Londynu, i w tej to siedzibie rozwinął skrzydła. Do rąk tych, którzy tego chcieli czy nie, docierały ulotki i biuletyny zachęcające do skorzystania z bezinteresownych ofert "Samopomocy", - które zdaniem autorów zapewniały wszystkim szczęśliwe życie po grób.

W rzeczy samej oferta sprowadzała się do jednej. Na tapecie była Argentyna. Przed wojną pośrednicy, przeważnie Żydzi, bywali nad Wisłą po towar, którym były hoże dziewoje do pracy w ~~lapanazach~~ ^{lapanazach}. Wojna zrujnowała ten interes, ale świat się nie skończył. Można było pozostać w branży i jeden towar zastąpić innym, też żywym, płaconym nie od tyłka ale od łebka, do pracy, w kurzu i znoju, dalekiej od luksusu spelunek. Przedwojenni, biegli w fachu argentyńscy rodacy, w poszukiwaniu partnera nie przypadkiem zwachali się z założycielami "Samopomocy" i trafili na dobry i łatwy interes.

Londyńscy przedsiębiorcy, mało wytrawni w sztuce sprzedaży, zbywali towar za psie grosze, co jednak przy sporym obrocie przynosiło im godziwy zysk. Współpraca partnerów przebiegała gładko i nabierała ^mtempa. Pośpiech był wskazany, ponieważ wymiana korespondencji między tymi, którzy dotarli do Argentyny a oczekującymi na wyjazd w

Anglii, mogła ujawnić oszustwo i popsuć interes. Tak więc w chęci przyspieszenia naboru naiwnych, któregoś dnia przybył do Faldingworth z Londynu emisariusz "Samopomocy". Z parodniowym wyprzedzeniem zapowiedział swoją wizytę. Ze skrzynek wypożyczonych od kasynowego barmana, nakrytych prześcieradłem, zbudowaliśmy mównicę, nad którą zawiesiliśmy szubieniczną petlę z napisem "Najlepsza Samopomoc". Pułkownik opasły i okrągły jak piłka wtoczył się na salę, podpity i przywitany oklaskami niczego nie spostrzegł. Skoczył na podest z gracją słonia z cyrku i przemówił. Zaczął od tego, że jeżeli, w co on nie wątpi, wiemy co dla nas jest dobre, to wysłuchamy jego porad i uznamy je za swoje. Na koniec, w patriotycznym uniesieniu wrzasnął, że wrócimy do wolnej Polski, choćby przez Argentynę. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zagłuszyliśmy go śmiechem i oklaskami. Stał na naszej mównicy niezdecydowany, jak to przyjąć. Zawahał się przez moment i przyłączył się do nas. Zaczął się głupawo uśmiechać i klaskać nam w rewanżu za to, że my jemu klaszczemy. Zupełnie bez sensu. Przebrał miarękę. Ktoś nie wytrzymał, wskazał ręką na to, co emisariusz miał nad głową z głośnym okrzykiem:

- Wiwat Argentyna! Do góry łaskawce!

Mandził w mundurze z baretkami, z których pierwsza sławiła jego dwudziestoletnią służbę, jako że bojowych odznaczeń nie miał, spurpurowiał. Spojrzał nad siebie i pojął wszystko. Poczul się jak dobrotliwy misjonarz wśród dzikusów i zrejterował w popłochu. W powojennym lodyńskim

zamieszaniu polityczno-handlowym jemu podobnych było więcej. On nie był najgorszy, rozbawił nas setnie i po jego panicznej ucieczce mieliśmy o czym pogawędzić w barze.

Niedługo po rozwiązaniu dywizjony Lolek zrzucił mundur kapitana, który przynosił mu niezły dochód, zdemobilizował się i przeszedł na liche stypendium dtudenckie. Wnajął w Londynie pokoik, w którym ledwie się mieścił z książkami i dwiema walizkami wojennego dobytku. Zgodnie ze swoimi zainteresowaniami, zaczął zgłębiać nauki z dziedziny socjologii i ekonomii. Do mizernego stypendium dokładał pieniądze szczęśliwie zaoszczędzone na niedoszłej transakcji kupna tych 300 BRT, które w Hamburgu zdjął z kołka ktoś inny.

Zimą 1946/47 spędziłem w mundurze chorążego, w barwach RAF-u w Skipton on Swale, bezproduktywnie. Baraki były zdemolowane przez poprzednich mieszkańców, którzy, rozgniewani przedłużającym się pobytem na wyspie, w ten właśnie sposób domagali się szbszego powrotu do Kanady. Zima była sroga, tyle śniegu, ile wtedy w hrabstwie Yorkshire, nie widziałem na Uralu.

Z wiosną przyszły roztopy i powodzie. W kwietniu Anglicy wybrali mnie do służby w RAF-ie czasu pokoju. Na regularnego, jak się to nazywało. Spośród bardzo nielicznych. Do zbudowanego przed wojną ośrodka szkoleniowego w Feltwell w hrabstwie Norfolk dojechałem pociągiem. Zamieszkałem nie w podszytm wiatrem baraku z karbowanej blachy, ale w murowanym budynku, w komforcie

dwuosobowego pokoju z ciepłą i zimną wodą. Nazajutrz, wezwany do dowódctwa, dowiedziałem się, że odpowiadam warunkom wymaganym od przyszłych oficerów brytyjskich Regularnych Sił Powietrznych, czyli Regular Air Force, i że w oczekiwaniu na dalszy przydział, mogę robić co chcę. A więc byłem na kwarantanie. Tym razem dużo lepszej niż w Złotouście w hotelu robotniczym, przed przeszkoleniem na dywersanta przeznaczonego na zrzut do Polski. Miałem pełną swobodę, niewiele ponad dwadzieścia lat, czas i pieniądze. Co miałem robić w tej niewątpliwie korzystnej sytuacji, którą los mnie obdarował? Miły czytelniku, nie musisz się domyślać. Udzielałem się przy kieliszku i na dancinгах. Zmorą w wesołym spędzaniu czasu, na dancinгах w najbliższej wsi, gdzie bywałem dla prostej wygody, była miejscowa Horpyna. Ta cholera upodobała mnie sobie. Miała ze dwa metry wzrostu, końską szczękę i w okolicy dużo hektarów. W tańcach, których bałem się jej odmówić, sięgałem jej trochę powyżej potężnego biustu i ledwie do owłosionej brody. Jako żywo przypominała mi klucznicę ze zlatoustoskiego tiumpod. Złe szło za mną. Ale kiedy jej przeciwieństwo, Jenny, z którą się przyjaźniłem, postawiła sprawę na ostrzu noża i powiedziała, że jeżeli z wiedźmą jeszcze raz zatanę, to więcej na mnie nie spojrzę, przy pierwszej okazji odmówiłem wiedźmie. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że moi angielscy koledzy też się jej bali.

Chcieli mnie tu i w Ameryce. A ja nie wiedziałem, czego chcę. Może wiedziałem, ale nie umiałem sobie jasno

powiedzieć, że moje miejsce jest w Polsce. Bez względu na to, co mnie tam spotka.

Po paru tygodniach pobytu w Feltwell dostałem pocztę z zawiadomieniem, że wuj Walery Pomeńracki stara się o mój przyjazd do Stanów. Z zawiadomienia wynikało, że mam się zgłosić do konsulatu USA w Londynie. W konsulacie czekało paru interesantów, odgradzonych od recepcjonistki drewnianą barierką. Ufryzowana lala krążyła między swoim biurkiem i sąsiednim pokojem, urzędowo uśmiechnięta i uprzejma. Kandydaci na wyjazd za ocean wręczali jej wezwania i paszporty, które stemplowała i zanosila do podpisu swojemu szefowi. Kolejka posuwała się rażno. Miałem za sobą paru nowoprzybyłych, przed sobą jakiegoś eleganckiego starszego pana. Lala spojrzała na niego przychylnie.

- Pan w sprawie wizy?

- Tak - powiedział zapytany.

- Proszę o godność i narodowość.

Wręczył jej wezwanie, powiedział, jak się nazywa i że jest Norwegiem. Przeleciała wzrokiem pismo.

- W porządku proszę o paszport.

Przybiła pieczęć, poszła po podpis i zwróciła dokument właścicielowi z życzeniem szczęśliwej podróży i miłego pobytu w USA. Byłem następny.

- W czym mogę panu pomóc? - Lala z za barierki spojrzała na mnie przychylnie. Odwzajemniłem jej to spojrzenie. Oboje mieliśmy dobre niebieskie oczy.

- Jestem tu w sprawie wizy, nazywam się...

- Czy pan jest Polakiem?

Powierdziłem, i doręczyłem jej pismo otrzymane z konsulatu. Przeczytała, przeprosiła mnie, powiedziała, że za chwilę wróci i poszła do szefa. Wróciła zawstydzona tym, co miała mi do powiedzenia.

- Przykro mi ale na wizę będzie pan musiał poczekać.

- Jak długo?

- Nie wiem, ale obawiam się, że dość długo.

Na wyjeździe do Stanów nie zależało mi, chcieli mnie Anglicy i Anglia była mi bliższa niż Ameryka, gdzie chcieli mnie pod warunkiem że poczekam. Rozgniewało mnie to.

- Niech pani wyrzuci do kosza moje wezwanie i resztę papierów. Rozmyśliłem się, pojedę do Rosji. Tak powiedziałem. Spojrzała na mnie, przestraszona nie Rosją, o której nie miała zielonego pojęcia, ale tym, że ktoś wynalazł sobie kraj, do którego po za Stanami warto jest pojechać.

- Niech pan nie robi głupstw, trochę cierpliwości!

Z żalem pożegnałem się.

Spaliłem za sobą pierwszy most.

Z konsulatu pojechałem do Lolka. Mieszkał na londyńskim wygwizdowie, nie uwzględnionym w przewodnikach dla turystów. Na odległym East End-zie, gdzie żyło się taniej i po zmierzchu, ciekawiej ale niebezpiecznej. Lolek czuł się tu dobrze. Nie w roli awanturnika, lecz jako lewicujący intr^onacjonalista, który, popijając piwo w miejscowych pubach z dokerami, prostytutkami i

złodziejami, utozsamił się z porewolucyjnymi rosyjskimi inteligentami, którzy popijając samogon bratali się z ludem. Po drodze kupiłem butelkę s~~z~~zkockiej. Lolek przyjął mnie w elegaⁿckiej bonżurce, o której wiedziałem, że była prezentem od córki ówczesnego przywódcy Labour Party, którą Lolek dostał bynajmniej nie za swoje przekonania polityczne.

Rzecz tak się miała, że parę miesięcy wcześniej byliśmy razem w Oxfordzie, u Kostka Wojnarskiego, kolegi Lolka z podchorążówki i mojego sporo starszego ze szkoły. W Anglii Kostek przebrnął przez turę lotów nad Niemcy, spotkał śliczną dziewczynę i rozstał się ze swoim żołnierskim powołaniem. Angela studiowała i namówiła na to samo Kostka. Nie opierał się. Ile w tym było żądzy nauki w sławnym Oxfordzie, a ile zachwytu nad jej nogami, Kostek nie wiedział. Z poręki tej pary uczestniczyliśmy w przyjęciu, wydanym przez jakiegoś brytyjskiego eks-notabla w Indiach, wtedy już wygnańca z tego kraju, na którym brylowała rzeczona wcześniej córka prominenta miejscowego proletariatu. Była bardzo ładna, po ojcu piekielnie inteligentna i przewrotna. Po przyjęciu zaprosiła nas do siebie. Zachowała się frywalnie.

Walczyliśmy ze sobą o lepsze i bonzurkę dostał Lolek. Wypiliśmy co przyniosłem, rozmawiając o tym, co dalej? Lolek o Polsce, jaka jest, wiedział więcej niż ja. Zmiany w kraju chwalił i ganił. Kobił co mógł, żeby siebie i mnie przekonać, że per saldo są korzystne. Przyparty do muru pytaniem, dlaczego nie wrócił, zachował się jak dziewica,

która chce i boi się.

- Już dawno bym to zrobił, ale diabli wiedzą, czym może to się skończyć...

Jedno było pewne, że czas uciekał, i że jak wkrótce nie wrócimy, to później długo będzie to niemożliwe. Po poradę pojechaliśmy do brata Lolka. Staszek, którego zachowałem w dobrej pamięci, był wtedy urzędnikiem wyższego szczebla w Londyńskiej ambasadzie Rządu Warszawskiego i mieszkał dużo lepiej niż Lolek. Przywitał nas serdecznie i po chwili zaprosił do nakrytego stołu. Była polska wódka, angielskie zakąski i gadanie o wielkiej polityce, które sprowadzało się do tego, czy mamy wrócić czy nie. Żona Staszka nie wtrącała się do rozmowy, kołysała swojego kilkumiesięcznego synka.

- Staszek, upierasz się przy tym, żebyśmy wrócili, a gwarancję, że nas nie wezmą pod klucz, dajesz?

- Macie moje gwarancje, wystarczy?

- Nie wystarczy!

- To po cholere wam ona?!

Staszek mówił jak myślał. Namawiał niezdecydowanych do powrotu i wierzył, że to co robi jest słuszne.

- No i co? - zapytałem Lolka w najbliższym pubie, przy kufłu piwa.

- Nic tu po mnie. Wracam.

- Wróc i napisz, co ja mam ze sobą zrobić.

Lolek obiecał, że napisze.

W Feltwell mieszkałem wygodnie, jak wypadało kandydatowi na oficera Regularnego Królewskiego Lotnictwa. Mieszkałem sam, drugie łóżko stało puste. Okno mojego pokoju wychodziło na pole do gry w krykieta. Bardzo angielskiego sportu, który kojarzył mi się z jakimś nudnym obrzędkiem religijnym. W zawodzie byłem niezłym fachowcem z adnotacją "above average", która u Anglików była przepustką do kariery. Ale gdyby angielscy chlebodawcy wiedzieli, jaki mam mętlik w głowie, to najpewniej skreśliliby mnie z listy wybranych do swojego lotnictwa. Wieczorami w kasynowym barze czułem się jak Antek z wiersza Juliusza Tuwima, który był komunista, gdy w czubie miał. Rano na kacu nawiedzały mnie ponure refleksje i podszepty anioła stróża. - Do tej pory wybroniłem ciebie, ale jak wrocisz od dam cię diabłu. W czeluściach duszy myślałem o powrocie. Bałagan poprawiła moja mama. W odpowiedzi na list, w którym wspomniałem o chęci powrotu, odpisała, że chwali Pana Boga za to, że przeżyłem wojnę i że w Anglii powodzi mi się dobrze. Przeczytałem ten list raz i drugi i nie dopatrzyłem się w nim śladu zniecierpliwienia moim przeciągającym się pobytem na Wyspie.

Angielskie lato, które zielenią mało się różni od jesieni, dobiegało końca. W Polsce grzybiało. Lolek, już w kraju, nie pisał. Z Londynu odezwała się Helen, że musi się ze mną zobaczyć. W życiu, które miałem za sobą, była najważniejsza. Napisała, że jest po dyplomie, że

wyprowadziła się z hostelu YVCA do małego apartamentu niedaleko "Harrodś'a", gdzie projektuje damską modę. Zarabia sporo i chce zrewanżować się za drinki, które w przeszłości jej stawiałem.

Nacisnąłem dzwonek. Otworzyła drzwi i przyłgnęła do mnie całym ciałem. Oszołomiony przywitaniem, upuściłem na podłogę torbę z whisky i kwiaty, którymi chciałem uświetnić swoją wizytę. Objąłem ją i zacząłem odwzajemniać pocałunki, depcząc poniewierane kwiaty i szkło po whisky. Z za pamiętania Helen ocknęła się pierwsza. Odsunęła mnie delikatnie i rezolutnie zauważyła, że w tym domu jest na czym usiąść. Pomogła mi zdjąć marynarkę i ze śmiechem popchnęła mnie na fotel.

- Whisky? - zapytała.

Popatrzyłem smętnie na płamę po swojej butelce.

- Whisky - potaknąłem - zdycham z pragnienia, ale nie przesadzaj z wodą.

Była w jedwabnym szlafroku, spod którego wystawała nocna koszula

- Wyglądasz bardzo a bardzo ładnie.

Nie spuszczałem z niej oka.

- Tak? - spojrzała na mnie rozbawiona. Umiała śmiać się oczami.

W swojej szklance przyniosła gin zmieszany z porto.

- Wisiek - wymawiała moje imię bez "e". - Pamiętasz te czarodziej-
skie "gin and porto", które tak bardzo lubiłam?

- Jak kot mleko. Pamiętam...

- Kot się nie zmienił. Za co wypijemy? - zapytała.

- Za Twoją karierę.

- Może być, ale wymyśl coś innego.

- Za miłość...

- A wiesz co to takiego?

- Jasne, że wiem. Ty jesteś moją miłością!

Helen roześmiała się i powiedziała, że miło jej było to usłyszeć. Nasza miłość była obciążona grzechem pierworodnym. Konkretnym

ziemskim, przy którym biblijny z wężem kusicielem i jabłkiem miał się tak jak kot do tygrysa. Byłem w Helen zakochany po uszy, co nie uchroniło mnie przed wpakowaniem się następnego dnia po jej wyjeździe z Morecombe, w paskudną kabałę.

Spotkałem Doreen, żatwą zdobycz, którą podsunął mi chyba sam diabeł. Ta warta grzechu zdobycz powiedziała, że przyjechała na wakacje z Chesterfield, na co nieopatrznie nie zwróciłem uwagi. I stało się najgorsze. Doreen pochwaliła się szkolnym koleżankom, że w Morecombe zakochała się z wzajemnością w bardzo sympatycznym polskim lotniku. Opowiadaniu o wyglądzie i zaletach tego lotnika najuważniej przysku-chiwąka się Helen.

- Vic ma jakieś trudne słowiańskie imię...

7 osobnej rozmowie z Helen, Doreen wprowadzona w błąd rzekomo życzliwym zainteresowaniem koleżanki jej wakacyjną przygodą, była żenująco szczerą. Helen życząc jej dużo szczęścia, nie zdradziła się z tym, że doskonale zna tego sympatycznego lotnika. Do mnie napisała, że z takim wynaturzonym typem nie chce mieć nic wspólnego. Wyrok był sprawiedliwy i pozostawała mi tylko prośba o łaskę. Poprosiłem o litość w najdłuższym liście jaki napisałem w życiu. W odpowiedzi Helen poradziła mi, żebym zapomniał o niej i zaczął pisać książki. Nie zrażony kpina wsiadłem w pociąg do Chesterfield. Zadzwoiłem z dworca. Zaskoczona, nie rzuciła słuchawki, powiedziała, że jest zajęta, ale przyjdzie. Kazała mi na siebie poczekać w barze hotelu, do którego po spiesznie udałem się taksówką. Czekałem długo. Zanim się pojawiła uporałem się ze sporą ilością whisky, którą zmarnowałem, pozostając trzeźwy jak świnia. W końcu pojawiła się. Od wejścia odwzajemniła ukłon barmana uśmiechem i przyjaznym gestem ręki, a moją próbę powstania na przywitanie zamroziła uwaga: "siedź i nie dotykaj mnie". Unikając mnie wzrokiem zaczęła rozglądać się, wyjęła z torebki chusteczkę i zmięka ją nerwowo, nie robiąc z niej użytku. Nie wiedziałem jak się zachować i żałowałem, że nie jestem psem i nie mogę na przep-

rosiny zwyczajnie pomachać ogonem. W tej diabło kłopotliwej sytuacji wstałem od stolika i przyniosłem z baru podwójny gin z portem. Helen mogła tego wypić dużo bawiąc się świetnie. Ale tym razem mój gość, tylko odrobinę poruszony poczęstunkiem, kiedy podniosłem swoją whisky z proszącymi oczami spaniela, nie połaskił się. Milczał bunczucznie z wyniosłą miną. Nie zniechęciłem się, bo byłem cholernie zakochany w tym gościu, więc powtarzając to, co napisałem w najdłuższym liście swojego życia, ponownie zelżyłem samego siebie i wątpię czy święta Magdalena - grzesznica uczyniła coś więcej, uzyskując przebaczenie, a Helen powiedziała:

- Dobrze, ale co ty właściwie masz na swoje usprawiedliwienie?

Pies by zawył, a ja jak skazaniec, który jeszcze na coś liczy, wysiliłem się na dowcip.

- No, może to, że pierwszy raz...

Dowcip był taki sobie, ale Helen przyjęła go lepiej niż na to zasługiwał. Roześmiała się i podniosła szklankę, a ja skwapliwie ją chwyciłem swoją. Od tego czasu spotykaliśmy się w hotelach. Prawie nie śpiąc i nie jedząc, na co szkoda nam było czasu, oddawaliśmy się sobie do dna. Rozmawialiśmy niewiele, nie wybiegając w przyszłość. Żegnaliśmy się do następnego spotkania, nie dbając o to, który z nich będzie ostatnie.

Była już późna wiosna 1948 roku i oboje wiedzieliśmy, że to spotkanie rozstrzygnie o tym, czy będziemy ze sobą, czy pójdziemy w życie osobno złączeni tylko wspomnieniami. Mieliśmy za sobą długi i okres wzajemnej fascynacji, trochę przygód kózkowych z innymi partnerami, które między nami niczego nie zmieniły i rozstanie było cholernie trudne.

Zapytanie o najbliższe plany, odpowiedziałem, że wracam do Polski. Helen pomyślała, że do powrotu do kraju zmuszają mnie jakieś względy rodzinne, nic innego nie przyszło jej do głowy. Zaprzeczyłem. Przeprosiłem ją za szczerłość i powiedziałem, że po wojnie poczułem się zdradzony przez jej piękną ojczyznę i że będzie lepiej

jak wrócić, ponieważ w tej sytuacji nie wyobrażam sobie życia w jej kraju, który skądinąd bardzo polubiłem. Powiedziała, że mnie rozumie ale że jej, do diabła, chodzi o to, co będzie z nami, nie z resztą świata, nie wyłączając Wyspy, na której się urodziła i mojej romantycznej Polski. Wymieniła Australię i Kanadę i zapytała, czy tam chciałbym pojechać. Uparła się, że wszędzie nas przyjmą, a po powrocie do mojej kochanej ojczyzny czeka mnie żalosny koniec w jakimś więziennym lochu ze szczurami. Pochwaliła mnie za to, że zrezygnowałem ze służby w lotnictwie, powiedziała, że możemy pracować razem w jej zawodzie, a jak nie zechcę, to innych możliwości nie zabraknie. Mówiła dużo i mądrze. Wypiliśmy sporo i przenieśliśmy się do jępanieńskiego łoża. Rozmowa niczego nie zmieniła. Nasza biesiada zamieniła się w wesołą stypę. Oddawaliśmy się sobie jak dawniej i z butelką w zasięgu ręki śmialiśmy się serdecznie z głupiego konia, który onegdaj napadł nas, bezdomnych kochanków, na łące i z paskudnych much, które kiedyś wypłoszyły nas z krzaków. I to były już tylko wspomnienia. Rano pożegnaliśmy. Jak na wojnie, która skończyła się trzy lata wcześniej.

Wróciłem do ~~Polki~~ Feltwek w przekonaniu, że popełniłem wielkie głupstwo. Po drodze patrzyłem tępo przez okno przedziału na zasnutą deszczem angielską zielenią. To była moja druga ojczyzna, tu przyjechałem jako smarkacz i tu dorosłem. Czy na pewno?

Po przyjeździe zastałem list od Lolka. Pisał, że

pogoda w kraju jest dobra, z przewagą dni słonecznych i że wieją umiarkowane wschodnie wiatry.

Umówiliśmy się, że tak mniej więcej napisze, jeśli będzie uważał, że mogę wrócić do Polski. Szyfry w listach między krajem i Anglią były wtedy bardzo modne, i do większości z nich kluczem stanowiła pogoda. Były też inne, w których pogodę zastępowało czyjeś zdrowie. Mogła to być ciotka, której choroba oznaczała: nie wracaj, koń, krowa czy pies, wszystko jedno co, byle żywe i co mogło być zdrowe albo chore. Przeciekający dach czy stodoła, która się spaliła, też wymagała zastanowienia. Z tego, co Lolek napisał wynikało, że mogę wrócić. W podaniu do pułkownika, który dowodził z Feltwell, poprosiłem o umożliwienie mi powrotu do kraju. Z jego strony nie spodziewałem się oporu. Wcześniej uciałem krótki romans z boną jego dzieci, pod jego nieobecność, w jego własnym domu. Nie złapał mnie, ale wiedział skądys o mojej wizycie i moje nazwisko było mu niemiłe. Zresztą nie miało to większego znaczenia.

Parę dni po tym zostałem wezwany do budynku dowództwa. Za biurkiem, w skromnie urządzonej gabinecie bez dywanów, z metalowymi szafkami na papiery, siedział adiutant pułkownika. Administrator w stopniu majora. Miał nad sobą portrety dyskretnie uśmiechniętej pary królewskiej. Był znany z surowego przestrzegania dyscypliny wśród podwładnych. Korpulentny i z wyglądu przypomiał mi trochę majora Paleologa, adiutanta dywizjonu. Ten popijając z załogami, które dopiero co wróciły z nad Niemiec, wsiadł się powiedzeniem: "Koledzy ja też chętnie zginałbym za

ojczyznę, ale zdrowie nie pozwala".

Adiutant tutejszego pułkownika w pamięci mojej a także kilku moich angielskich kolegów zapisał się szkaradnie. Nie tak dawno przyczepił się do nas, że po wyjściu z dancingu, w towarzystwie, podobnie jak my rozwyrzonych dziewczyn, zakłóciliśmy sen spokojnej angielskiej wsi, wrzaskami i pijackimi śpiewami, z którego to powodu on musiał się tłumaczyć zgorzoniemu miejscowemu pastorowi.

Wtedy w jego gabinecie byłem w grupie, teraz sam salutując od wejścia, zameldowałem się.

- Sir, warrant officer Brodzinski...

Nie dał mi skończyć, i gestem ręki wskazał krzesło przy swoim biurku.

- Spare me the rest and take a seat...

Przez chwilę przyglądał mi się, bez niechęci, raczej z zainteresowaniem, potem wziął do ręki moje podanie o zwolnienie ze służby.

- The people in the personnel department claim, that you have submitted this - trzymał w ręku mój wniosek - A request for termination of service. Am I right to believe them?

Nie zaprzeczyłem.

- Yes, sir.

- Are you sure, this is what you want to do?

Co miałem zrobić? Przyznać się, że tego wcale nie jestem pewny? Powiedziałem:

- I think so sir.

Uśmiechnął się bez złośliwości.

- I am amazed that you are rejecting our offer to become a regular in the Royal Air Force, I don't have to tell you, that we don't offer this opportunity to many, including our own boys Cigarette warrant?

Zapaliłem jego Playersa, i ubiegłem jego zapalniczkę swoimi zapałkami. Zaciągnął się, pogrzebał w szufladzie biurka i położył przed sobą jakieś papiery.

Your record is impressive. You have done very well wozzant Take advantage of it. Cash on it.

Wstał i poszedł do okna. Dzień był pochmurny, słońca ani śladu, zbierało się na deszcz. Flaga na maszcie przed siedzibą dowództwa zwisała załośnie. Stał przy oknie, nad czymś myślał i wrócił na fotel.

- Fine weather today, don't you think so warrant? Let's hope it will remain like this for a few days...

Przyzwyczaiłem się do tego, że w złym klimacie na wyspie Anglicy chwala pogodę.

- Yes sir. It should sir.

Zgasił papierosa.

Right, but to the subject a hand. Shall we dispose of this, warrant?

Trzymał w ręku moje podanie, z zamiarem podarcia i wyrzucenia go do kosza. Trzeci kur zapiał. Nie mogłem dłużej namyślać się czy wracać czy nie.

Ze stad rozsiodłanych koni, którymi niejako byliśmy, Anglicy wybierali tylko takie, które nadawały się na tor. Na bieżąco. Weteranami wyścigów i pociągowymi Air Ministry

nie interesowało się. Byłem w wybranym stadzie. Adiutant kusił mnie w przekonaniu, że wyświadcza mi przysługę, za którą kiedyś mu podziękuję. Nie wiem, co by było, gdybym go posłuchał, lepiej czy gorzej. Diabeł nie wiedział.

- I am very sorry sir, but I have made up my mind.

Odłożył moje podanie na biurko.

- Then, take care, and good luck, warrant.

- May I leave sir? - zapytałem.

- Well, yes. Happy landings. And once more good luck!

You will need it there.

Spaliłem za sobą ostatni most.

X X X

Był początek maja czterdziestego ósmego roku. Londyn, z którym chciałem się pożegnać, przywitał mnie niegościennie. Nie mogłem znaleźć hotelu z wolnym łóżkiem. Próbowałem, gdzie drogo bez powodzenia. Odpowiedź była ta sama.

- Sorry sir, but we are fully booked.

Złaziłem nogi i poszedłem, gdzie wiedziałem, że znajdzie nocleg. Nędzny bo nędzny, ale pewny. Z nazwy miejsce nie było zniechęcające, "Klub Orła Białego". Dzielnica też nie najgorsza. Klub mieścił się w sercu miasta przy Hyde Park Corner. Kłopot polegał na tym, że "Biały Orzeł" był łaskawy dla tych, którzy przychodzili tam po to, żeby zjeść, wypić i wyjść, lekcewazył natomiast sobie takich, którzy chcieli się schronić pod jego skrzydła na nocleg.

Takimi służył nie ustonnym górskim gniazdem, ale wieloosobowymi sypialniami, w których nie można było wybrać sobie towarzystwa. W czasie wojny i po wojnie "Klub Orła Białego" skupiał to, co na wyspie było polskie, poważne i niepoważne. Można tutaj było spotkać geszefciarzy z czarnego rynku, większych i mniejszych, zwykłych żołnierzy, dla których był kawałkiem Polski i którzy nie umieli czy nie chcieli znaleźć sobie innego miejsca w Londynie, podziemnych kurierów z Warszawy i Bóg wie skąd, którzy przewijali się przez bar i kawiarnię, żeby ze świata zniknąć w mroku swoich spraw, ludzi o głośnych nazwiskach, polityków, aktorów, pisarzy...

Próg klubu przekroczyłem z rezerwą. Nie pierwszy raz tutaj byłem, ale nie zdarzyło mi się, żebym szukał tu noclegu. Przygnębiony okolicznościami rozejrzałem się po hallu. Humor mi się poprawił, gdy za kantorem zobaczyłem starego znajomego, swojego wodza z "Laconii", porucznika, później kapitana Zbigniewa Groszka. Tego samego, który załatwił mi przeniesienie z cichocienych do lotnictwa.

- Kogo widzę? - ucieszyłem się.

Zbyszek miał styl. Umiał nosić mundur i ubrać się po cywilnemu. Raczej obskurny kantor, za którym siedział, klócił się z jego wyglądem gentelmana, któremu nie można było nic zarzucić, z wyjątkiem przedwczesnej, niewiekiej zresztą łysiny.

- Eks podwładny we własnej osobie. Kłaniam się panie kapitanie.

- Daj spokój z kapitanem, przyszedłeś tutaj coś zjeść?

- Tak, ale nie tylko. Nie mam gdzie spać.

Zaniepokojony tym, co usłyszał, przyjrzał mi się uważnie.

- Zwariowałeś czy co? Chcesz tutaj spać? Okrada ciebie.

Miałem na sobie brązowy garnitur szyty na miarę, u drogiego krawca, buty od szewca z Grovenor Street, popelinową koszulę w najlepszym gatunku i jedwabny krawat za 4 funty. W portfelu nie miałem fortuny, ale Zbyszek miał rację, wyglądałem na kogoś, kogo warto jest okraść.

Lepiej idź na jakieś przyzwoite kurwy! Co u ciebie?

Palnąłem że wracam do Polski.

- Wracasz? - zdziwił się i w jednej chwili przeobraził się z byłego rycerza w kupca.

- To dobrze, że spotkaliśmy się. Mam towar, który idzie w kraju.

- Co takiego?

- Wszystko. Majteczki bez szwa ponczoszki, biustonosze...

Fmyślałem, że trochę tego muszę kupić i że jak ma na mnie zarobić ktoś przygodny, to niech lepiej to będzie Zbyszek.

- Gdzie masz ten towar?

Wstał, powiedział, że nic się nie stanie, jak zamknie burdel, czyli recepcję "Orła" na pół godziny, i poszliśmy do oficyny, do pokrytej kurzem ciemnej komórki, gdzie mieścił się sklep Zbyszka.

Grzechem było nie targować się w tym sklepie, to też

za pierwsze majtki, które Zbyszek wyciągnął z pudła, zaproponowałem połowę ceny.

Z żalem pokręcił głową, że nie może nic opuścić.

- Jestem w tym interesie w spółce - wyjaśnił - do każdej sztuki jest przypięta kartka z ceną ustaloną przez spółkę. Oddam taniej, to sam dopłacę. Ale na własny rachunek mogę tobie odstąpić skórę węża.

- A po co to komu w Polsce?

- Głupie pytanie, na torebki, na pantofle.

- I są na te węże w kraju chętni? - zdziwiłem się.

Zbyszek się zniecierpliwił.

- Jasne że są. Wezmą od ręki i dobrze zarobisz.

- Ile chcesz za swojego węża?

- Ma pięć metrów, kosztuje po cztery funty za metr, razem dwadzieścia.

- Drogo, za pięć funtów go wezmę - zawahałem się - no, powiedzmy za dziesięć.

Tego węża? - Zbyszek zaniemówił z wrażenia - za dziesięć funtów? Za jaszczurkę zapłacisz drożej.

Wąż w czyjejs walizce, nie mojej, pewnie trafił do Polski, ja poprzestałem na nabyciu majtek, biustonoszy i pończoch po cenach skalkulowanych przez spółkę, prawdziwą a może wymyśloną przez Zbyszka. Zapłaciłem, zostawiłem zakupy do odebrania i wyruszyłem, na poszukiwanie noclegu.

Na Piccadilly i przyległym Soho nie było miejsca na nudę. Mieściły się tutaj zamknięte kluby, w których bywali utytułowani obywatele gasnącego imperium, pospołu z innymi bez rodowodów, którym wstęp otwierały, nie zawsze uczciwe,

ale duże pieniądze. Były tutaj kina, bajzelki, restauracje, teatry, bary i puby, był gwar i śmiech do późnych nocnych godzin. Poczułem się głodny i wdepnąłem na podłogę kolację do drogiej restauracji.

Piccadilly Circus, odespał poprzednią noc i budził się do życia. Spacerując, rozglądałem się. Takich jak ja, było tutaj dużo. Dziewczyn, wszystkich możliwych nacji, koloru skóry. W tej ciżbie można było natknąć się na krajanki - nowicjuszek i narazić się na odmowę posługi. Polskie dziewczyny z Piccadilly unikały rodaków. Zachowały w sobie jakąś dziwnie pojętą narodową dumę.

- Nie jestem kurwą, idź pan do cholery!

Wolały z innymi kłaść się do łóżka i męczyć się rozmowami, w mało sobie znanych językach, w których łatwiej im było przemycać drobne kłamstwa. Często podawały się za zbiegłe przed bolszewikami arystokratki, co przynosiło im funta lub dwa więcej, bo to nieprawda, że tylko dzieci lubią, jak im ktoś przed snem opowiada bajki. Przeniosłem się w sąsiedni rewir, w stronę Green Parku, gdzie było drożej i lepiej. Tam spacerując, wypatrzyłem i zostałem spostrzeżony przez żurnalową brunetkę. Elegancka, w czarnym kostiumiku, pod którym łatwo było domyślić się zgrabnej reszty, poruszała się swobodnie, trochę nonszalancko. Mogła być żoną kogoś, kto coś znaczył, artystką, mogła też być tym kimś, kogo szukałem. Spodobał mi się z daleka i jeszcze bardziej z bliska

- Nice to meet you, what are you doing with the rest of this evening? - zagadnąłem ryzykując, że trafię na

damę z towarzystwa, nieprzywykłą do zaczepek na ulicy. Obyło się bez niespodzianek.

- Nothing in particular. And what about you?

Mówiła z francuskim akcentem.

- Co powiesz na dziesięć funtów?

Odpowiedziałem, że dziesięć funtów mnie nie zrukuje.

- OK, let's go then...

Po drodze pomyślałem, że za te pieniądze mógłbym wynająć całą sypialnię w "Białym Orle", wyłącznie do osobistego użytku i, że miałoby to sens, gdyby można było porównać zapowietrzoną zapachem żołnierskich nóg sypialnię "Orla" z francuskimi perfumami

Była niewielkiego wzrostu, w pantoflach na imponująco wysokim obcasie. Wystukiwała wdzięcznie swoje kroki, trzy na moje dwa. Przespacerowaliśmy się na pobliską cichą uliczkę o romantycznej nazwie "Half Moon Street".

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała, wyjmując z torebki klucze.

Trzypiętrowy dom, w którym mieszkała, pamiętający okres panowania królowej Wiktorii i rezydentów o bardziej surowych obyczajach, budził zaufanie. Nie był to szemrany hotelik na Soho, z pokojami wynajmowanymi na godziny, do jakich prowadziły zazwyczaj swoich klientów dziewczyny z Piccadilly. Przywitały nas wesoło dwa białe pudle. Służąca, młoda ładna dziewczyna z fartuszką, przyjrzała mi się ciekawie.

- Betty - powiedziała jej pani - wyprowadź jeszcze pieski na spacer, na dziś to będzie wszystko, i zróciła

się do mnie.

- A ty mon cheri, rozgość się, zdejmij marynarkę i czuj się jak w domu.

Zdjąłem marynarkę, którą Andrea powiesiła w szafie.

- Chodź, pokażę ci mieszkanie.

Wzięła mnie za rękę:

- To jest pokój kąpielowy, a tu, mon cheri, będziemy spali, a tutaj rano zjemy śniadanie. Napijesz się czegoś? Koniaku?

Pomyślałem, że dziesięć funtów za pikantną brunetkę, w luksusowym apartamencie, z dwoma pudłami i służącą, zapłaciłby nawet pleban z podupadłej parafii. Nie było to mało, ale jakoś za tanio. Mój anioł stróż, który jeszcze mnie nie opuścił, szepnął mi do ucha:

- Uważaj chłopcze!

Posadziła mnie na sofie, przy coctajlowym niskim stoliku, napełniła kieliszki i usiadła naprzeciw na pufie, z wysoko podwiniętą spódnicą i zachęcającym uśmiechem.

- A la votre!

- A la votre!

- Znasz francuski? - zapytała.

- Farę słów.

- A kim jesteś?

- Polakiem.

- Spotkałam kilku.

- I co o nas myślisz?

- Jesteście bardzo mili, ale jacyś inni.

- W czym inni?

- Sama nie wiem. Wy na coś czekacie, wam czegoś
brakuje...

- Może pieniędzy?

- Mon Dieu! pieniędzy wszystkim brakuje, nie to miałam
na myśli. Wyróżniacie się...

- Głupota?

- Kokiet z ciebie, głupotę zostaw innym, ale... ale
już wiem, wy jesteście podobni do rosyjskich emigrantów.

- Niezupełnie, nie mamy złotych rubli. Jak ci na imię?

- Andrea. A tobie?

- Anglicy nazywają mnie Vic. Słuchaj Andrea, siedzę u
ciebie, piję twój koniak... porozmawiajmy o pieniądzach
dziesięć funtów to za mało.

- Czy musimy się z tym spieszyć?

- Nie wiem. U ciebie wszystko pachnie pieniędzmi, a ja
nie jestem królem Sjamu.

- Zostaniesz do rana cheri?

- To zależy...

- A chciałbys?

- Bardzo mi się podobasz.

- Dobrze, pięćdziesiąt funtów... Nie za dużo?

- Za dużo.

- Więc dziesięć!

- Za mało.

- Chi, chi, chi! - roześmiała się. - Jaki ty jesteś
zabawny mon cheri! Masz rację, że za mało, dużo za mało,
ale nie cofam słowa, dziesięć.

Rozmową, która przybrała dla mnie bardzo korzystny

obrót, przerwał powrót służącej z pudłami, które podbiegły do nas, rozbawione spacerem i dobrym humorem właścicielki.

Betty zapytała, czy będzie jeszcze potrzebna i po odpowiedzi, że nie, pożegnała się.

- Good night madam, o której mam jutro przyjść?

- Good night Betty, tak jak zawsze.

Po jej wyjściu Andrea powiedziała.

- Jesteśmy sami, czy nie chciałbyś się trochę odświeżyć?

Chciałem i poszedłem pod prysznic. Wróciłem owinięty ręcznikiem. Andrea przyglądała mi się.

- Ładny z ciebie chłopak.

- Tobie też nic nie brakuje.

- Mówią, że nie, żyję z tego, i jak widzisz nie najgorzej. - Wskazała ręką na barek. - Nie krępuj się. Zostawię cię na chwilę samego. Wstała, zamknęła drzwi łazienki.

Napełniłem swój kieliszek i rozgościłem się na sofie. Jeden z pudł przyszedł do mnie i zaczął się łasić. Przyglądał mi się ciekawie, przekrzywiał ufryzowany łepek, najwidoczniej coś go gnębiło i nad czyns się zastanawiał. Wziąłem go na kolana i wdałem się z nim w rozmowę. Z konieczności jednostroną i bezpieczną, bez obawy, że mój słuchacz później mnie oplotkuje i zdradzi powierzoną mu tajemnicę.

- Co powiesz piesku? - zagadnąłem - nic nie powiesz bo nie umiesz mówić. A gdybyś umiał to co byś powiedział? Że martwisz się o swoją panią, czy aby nie zgłupiała? Bierze

od faceta dziesięć funtów, a inni za pogłaskanie ciebie płać więcej... Jest jeszcze gorzej niż myślisz piesku. Wyobraź sobie, że wasze towarzystwo będzie mnie kosztowało nie dziesięć, ale tylko cztery funty. Co ci jest? Przestraszyłeś się. Myślisz, że twoja pani położy się do łóżka z wariatem? Nie obawiaj się. Jestem normalnym człowiekiem tak jak ty psem. Widzisz mam dziesięć funtów, które kupiłem w Nepolu za cztery uczciwe, kapujesz? Nic nie kapujesz! Ale nie przejmuj się, to są świetne falisyfikaty, twoja pani przyjmie je i wyda bez kłopotu. z miski ci nie ubędzie... Andrea wyszła z łazienki w krótkiej nocnej koszulce. Wzięła z barku butelkę, postawiła na stoliku i usiadła obok mnie na sofie, zawodowo opanowana.

- Bobi marsz do wyrka!

Pudel, niechętnie zeskoczył z moich kolan i położył się w swoim koszyku. Drugi z pary już spał.

- Mało pijesz nie lubisz koniaku? - zapytała napełniając kieliszki.

- Lubię, a w twoim towarzystwie kocham - sklamalem, bo wolałem whisky.

Popijając drobnymi łyżkami, Andrea zachęcała mnie do rozmowy, ja ją do pieszczot. Ona coś mówiła, z tym swoim francuskim akcentem, na co nie zwracałem uwagi i zalecałem się do jej nóg piersi ...

- Chodźmy do łóżka - powiedziała.

Wstała, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do sypialni. Po drodze pozbyłem się ręcznika. Andrea zgasiła

swiatlo.

- Chcesz mnie w tej koszuli czy bez.

▲ - Czy bez będzie drożej?

- Nie będzie, mon cheri...

- To do diabła z elegancją!...

Obudziła mnie jak noworodka, delikatnym łaskotaniem w policzek.

- Wyspałeś się? - stała nade mną w kusym rozchylonym szlafroku.

- Nie i nie żałuję.

- Dobrze ci było ze mną?

- Bosko. A tobie?

- Dawno nie było mi lepiej.

- Miła jesteś...

- Łatwo mi to przyszło.

- A jak z innymi?

- Różnie to bywa, cheri. Napijesz się kawy?

- Z przyjemnością.

Andrea wyszła do kuchni, a ja owiniętem się ręcznikiem i usiadłem na sofie. Jeden z pudli, Bobi czy ten drugi, podbiegł i wskoczył mi na kolana. Poczulem się jak w rodzinie. Andrea wróciła z kawą. Uśmiechała się.

- Widzę, że moje psy nie dają ci spokoju.

- Mnie to nie przeszkadza.

- Lubią ciebie. Psy wyczuwają dobrych ludzi i nigdy się nie mylą.

Po tym co powiedziała, zrobiło mi się jakoś głupio. I ze względu na psy postanowiłem, że zapłacę jej uczciwymi

pieniężmi. Napełniłem kieliszki.

- Chciałem się tego dowiedzieć wczoraj, ale ty nie byłeś rozmowny. Co robisz w Londynie? - zapytała podnosząc oczy z nad kieliszka.

- Jestem przejazdem, jutro wracam na lotnisko.

- I co dalej?

- Spakuję się i wracam do Polski.

Andrea szeroko otworzyła oczy. Zdumiona i przestraszona.

- Mon Dieu, jedziesz do komunistów?

- Do Polski - powiedziałem wymijająco.

- Złe skończysz - stwierdziła ostrzegawczo.

- Niby dlaczego?

- Słyszałam, że w Polsce za używanie francuskich perfum dziewczyny pakują do mamra.

- Od kogo to wiesz?

- Od francuskiego dyplomaty, którego przyjaciółkę aresztowali w Warszawie za to, że bywała z nim w łóżku i przyjmowała prezenty. Jego prznieśli do Londynu i teraz tu przychodzi, a ona tam siedzi. Czy musisz wrócić do Polski?

- Nie, wcale nie muszę.

- To zmień kierunek, jedź do Paryża.

Tym razem ja szeroko otworzyłem oczy.

- A co tam będę robić? - zdziwiłem się.

- To samo, co ja robię w Londynie - napomknęła mimochodem, tak jakby jej propozycja nie była niezwykła.

Wiedziałem, że jest coś takiego, jak chłopcy dla poń za pieniądze, ale nie widziałem się w takiej roli takiego

chłopca.

- Ale przecież ja robię siusiu czym innym -
zaprotestowałem.

- Zdążyłem zauważyć, nie nudź, wiesz o co chodzi.

Przyszła Betty i zabrała pudle na spacer. pobiegły
ochoczo, chętnie wybiegłbym za nimi. Andrea zamknęła drzwi
i wróciła do mnie.

- No więc jak?

- Z czym, z Paryżem? To bardzo miłe, że pomyślałaś o
mojej przyszłości, ale ja nie nadaję się do tego zajęcia.

Andrea pokręcała przecząco głową.

- Ocenę zostaw mnie, i nie pchaj się do komunistów,
gdzie naprawdę się nie nadajesz. W Paryżu zrobisz karierę.

- Na starych i brzydkich babach - broniłem się.

- Na ich pieniądzach, cheri... Niczego nie będzie ci
brakowało.

- Z wyjątkim młodych i ładnych.

- Zarobisz na starych, będziesz miał na młode, życie
nie składa się z samych przyjemności, cheri. To wie każde
dziecko raz dostając cukierka, raz różgą po pupie.

Powiedziałem, że najlepiej mi się myśli, kiedy jestem
sam, przeprosiłem Andrea i wstałem z sofy. Zatrzymała mnie
przy drzwiach łazienki, z pełnym kieliszkiem koniaku.

- Weź to ze sobą.

Podziękowałem i zająłem się porannymi ablucjami. Pod
prysznicem stało się dla mnie oczywiste, że ulegając
pokusom Andrei zgrzeszę śmiertelnie i że z grzechu nie
oczyszczę się pod żadnym prysznicem, nawet ze święconej

wody. Przy goleniu diabeł szepnął mi do ucha.

- Durniu, a od czego jest pokuta...

Zmyślny drań miał rację. Mogłem zgrzeszyć i potem przywdziać zakonny habit. Założyłem spodnie i koszulę, krawat i marynarka spoczywały w szafie właścicielki pudli. Dopilem koniak z postanowieniem, że przyjmę propozycję, a potem pomyślę, co z tym fantem zrobić. Diabeł mnie kusił, a mój anioł stroż przyzwalajaco milczał. Może uważał, że tarzanie się w grzechu nieczystości jest mniejszym złem od powrotu do kraju skażonego komunizmem.

Wyszedłem z łazienki i rozejrzałem się zdziwiony. Szafy były pootwierane, Andrea siedziała na pufie i przyglądała mi się, w oczekiwaniu co powiem.

- Robisz przegląd garderoby? - zapytałem.

- Coś jakby. Znasz się na futrach?

- Nie za bardzo.

- Szkoda. Spójrz na te w szafie, są warte parę tysięcy funtów.

- Az tyle?

- Nie mniej. - Niedbałym gestem wskazała drugą szafę - w tej trzymam to, co noszę na co dzień, dużo tego jest, jak widzisz, wszystko z najlepszych domów mody. Mam też drogą biżuterię, pieniądze... Kieliszek koniaku?

- Proszę, ale do diabła, dlaczego mi to wszystko pokazujesz?

- Po to, żebyś zrozumiał, że w naszym fachu kto umie się urządzać, ma więcej powodów do śmiechu niż do płaczu. Weź mnie za przykład:

- Przyjechałam do Londynu z Paryża przed wojną. Na początku ci, którzy mnie tutaj sprowadzili, ciągnęli ze mnie połowę tego, co zarabiałam. Rocky, który się mną opiekował, umieścił mnie w opłacanym przez siebie apartamencie i dbał o to, żebym miała klientów z kontami bankowymi. Przyszła wojna i usamodzielniałam się. Pomogli mi w tym Amerykanie, szczególnie lotnicy, którzy nie mieli kont ale płacili każdą cenę. Niektórzy zostawiali u mnie pieniądze, po które często się nie zgłaszali. - Wzruszyła ramionami. Sam to znasz. "A la guerre comme a la guerre..." Wojna skończyła się, niedługo wyjadę do Francji, wyjadę za mąż i zacznę inne życie. Co ty na to?

- Cieszę się, że tobie się udało, ale...

- Żadnego ale - przerwała mi - tobie też się uda. W Paryżu mam przyjaciół, z którymi nie zgniesz!

- Nie dostanę wizy do Francji.

Andrea roześmiała się.

- Kokiet z ciebie, mon cheri. Facet, któremu komuniści wsadzili w Warszawie kochankę za kraty, załatwi ci wizę od ręki. A więc zgoda?

- Zgoda - powiedziałem.

Andrea z miną kupca, któremu udał się interes, napełniła kieliszki.

- Za piękne paryzanki, które będą twoje!

- I za stare kwoki, które zniosą złote jaja dla moich młodych kochanek!

Rozbawiona parsknęła śmiechem.

- Świetnie powiedziane, cheri, szybko się uczysz.

Umówiliśmy się, że przyjadę do Londynu za dwa tygodnie gotowy do drogi, a ona załatwi w tym czasie mój odbiór w Paryżu. Wychodząc sięgnąłem po portfel i zacząłem odliczać funty. Te dobre. Przytrzymała mi rękę z życzliwym uśmiechem.

- Schowaj te pieniądze, tak jakbyś je zarobił ze mną w łóżku. Na dobry początek...

Wyszedłem serdecznie żegnany przez pudle i Betty, która otworzyła mi drzwi patrząc na mnie z zaciekawieniem, pozbawionym wszakże szacunku przynależnego klientom swojej pani.

- Good day, sir. - powiedziała i w tym "sir" dosłyszałem jakby nutkę ironii.

Wsiadłem do metra za stacji Green Park i pojechałem na Earl's Court, skąd miałem niedaleko do Klubu Lotnika, gdzie można było coś zjeść, wypić i spotkać kolegów.

Wkroczyłem do klubu zadowolony z siebie, że wracam do kraju i że moi koledzy będą tutaj przychodzili, podczas gdy ja już niedługo usiądę na baroeym stołku w Warszawie. Tak wtedy myślałem... Po drodze noc na Half Moon Steet, wyparowała mi z głowy. (Nie wiedziałem, że wielu z tych, którzy wrócili wcześniej, siedzi na więzienych zydlach). W klubowym barze spotkałem Bolka. Przyjaźniliśmy się na szkoleniu w Kanadzie i później w dywizjonie. Wiekiem Bolek był starszy ode mnie parę lat i kilkanaście znajomością polityki, czyli tym co kto gada i dlaczego. Wojenna metrykę mieliśmy podobną, on workucką, ja uralską. Przedwojenną inną. Bolek był prawnikiem i należał do tych, którzy w klapach marynarek nosili wpięte mieczyki Chrobrego. Ja byłem średnim uczniem, w średniej szkole i nie nosiłem mieczyka, bo nikt takiego mi nie dał. W dywizjonie miałem dwóch przyjaciół, którzy bardzo się od siebie różnili. Lolek Teliga sympatyzował z KPP, Bolek Stembrowski należał do endecji. Ich mądrości często wydawały mi się podejrzane, że znajomości z nimi zyskiwałem to, że uczyłem się toleracji. Z Bolkiem nie widziałem się od miesięcy. Przywitał mnie po staropolsku.

- Czego się napijesz?

- Zacząłem dzień od koniaku, nie będę zmieniał.

Bolek zakrzętnął się o mój napitek.

- Pani Zosiu, proszę o koniak dla przyjaciela!

- Już służę panu prezesowi.

Zdziwiony szacunkiem, z jakim Bolka potraktowała barmanka, częstując go papierosem, zapytałem:

- Awansowałeś na jakiegoś prezesa?

- Jak widzisz...

- Prezesa czego?

- Tego burdelu gdzie jesteś.

- No to gratuluje!

- Nie ma czego. Pieniędzy z tego co kot napiakał, kłopotów do cholery, długo tej prezesury nie pociągnę. Co słyhać u ciebie?

- Wybieram się do Paryża.

- Do Paryża? A po co?

- Zaciekawiony zaciągnął się papierosem.

Do pracy. - wzruszyłem ramionami.

- Co będziesz tam robił? - dopominał się wyjaśnienia.

- Będę kochankiem starszych dam za pieniądze.

Gigolakiem, męską kurwą? - zdziwił się z niesmakim.

Żaden zawód nie hanbi, jeżeli jest uczciwie wykonywany

- zażartowałem.

- Mówisz poważnie?

- Mam poważną propozycję.

Opowiedziałem co mi się przydarzyło na Half Moon Sreet, o tym, że wcześniej zrezygnowałem ze służby w brytyjskim lotnictwie i że wracam do kraju. Zamówił następną kolejkę i powiedział.

- Możesz spróbować szczęścia na jedwabnej pościeli w Paryżu i na słomie w Warszawie. Ja nie mam takiego wyboru. Na emigrację nie nadaje się, do kraju powrócić nie mogę, drepczę w ślepej uliczce. Ale uważaj z tą słomą...

Bolek z workuckimi odmrożeniami latał na wojnę, ale z

jej końcem, poczuł się bardziej rozczarowany, od innych, którym imponowała Anglia, ubikacjami z bieżącą wodą i którzy nie palili się do powrotu pod strzechy kurnych chałup. Bolek serdecznie nienawidził Anglików, ogół uważał za stado baranów, a elitę za gang politycznych snobów i oszustów.

- Z więc wracasz? - rozmyślał nad swoją whisky -
Rozumiem ciebie. Anglicy kupili nas i sprzedali jak .posezonowy towar. Teraz na tej wyspie wcale na nie chcą. Bolek miał rację. Polski mariaż z Anglią miał szczyt i dno. Szczyt przypadł na zwycięstwo w "Bitwie o Wielką Brytanię", dno na koniec wojny. Jeszcze w grudniu 1942 roku, kiedy dotarłem do Szkocji, wszyscy uśmiechali się do nas, a w gazetach tłustym drukiem znane firmy reklamowały swoje wyroby naszą obecnością na wyspie. "Palcie tylko papierosy Players and Son, bo tylko takie palą polscy piloci". Wszakże towar, który sobą przedstawialiśmy, w miarę zdarzeń na wojennych frontach, z dnia na dzień tracił na wartości i w końcu przestał być cokolwiek wart. Zaczęła się na nas nagonka, jak na zwierzyne przeznaczoną do odstrzału.

- Dlaczego nie wracacie do Polski? - pytały angielskie dzienniki na pierwszych stronach. Pisało się wtedy o Polakach źle... Na przykład, że jakiś tam Jan Malinowski dopuścił się gwałtu na staruszce Mrs. Smith. Zboreźnik wkradł się przez okno i brutalnie nie uszanował swojej ofiary... Mrs Smith przeżyła ciężki szok, ale na szczęście nic jej zdrowiu nie zagraża. Napastnik był pijany. Dla

takich jak on nie ma miejsca w tym kraju! Albo że :
 dezterter z polskiego wojska Jerzy Zborowski jest na
 wolności i j^{est} groźny. Wczoraj uszedł policji, która na
 niego zrobiła zasadzkę, nie ostrzeliwał się, ale jest
 groźny. Zaleca się wszystkim oklicznym farmerom, żeby na
 noc ryglowali drzwi i na progach domów zostwiali
 desperatowi chleb i mleko, które są głównym pożywieniem
 Plaków.

Take były informacje z pierwszych stron dzienników.

- Niech się wynoszą - uzgodnił między sobą gang
 angielskich gentelmenów - że wyjadą zawiedzeni, nic nie
 szkodzi. U siebie w kraju też się zawiodą. Świat jest
 pełny zawiedzionych bękartów. Tu są uciążliwym balastem,
 tam dla nas będą pożyteczni. Wprowadzą ferment. Pozbycie
 się ich dla nas to podwójny zysk. Kopniemy piłkę na połowę
 komunistów i niech oni się martwią...

Uprzedziłem Boleka, który chciał zamówić następną
 kolejkę.

- Pani Zosiu, proszę dla pana prezesa whisky i dla
 mnie koniak.

Pani Zosia, ze sposobu bycia i wyglądu zdeklasowana
 ziemianka, czym jak się później przekonałem, polskie bary
 londyńskie mało różniły się od warszawskich, posłużyła się
 butelkami. Bolek ospale protestował.

- Pozwól mi na fundę - nalegałem. Rzymska noc na Half
 Moon Street nic mnie nie kosztowała. Nie wypijesz za
 oszczędności oszusta i niedoszłej męskiej prostytutki?

- Przełknę - powiedział z uśmiechem, ale myślami był

gdzie indziej. - Pamiętasz nalot na Drezno?

- Pamiętam - powiedziałem - nieźle nas tam podziurawili.

- A czy pamiętaż, że poleciliśmy wtedy na wsparcie Armii Czerwonej?

Tak powiedzieli na odprawie, podobno Rosjanom się szło w Saksonii za dobrze.

Wiedziałem, dlaczego Bolek przypomniał mi właśnie Drezno. Rano 13-go lutego przeczytaliśmy w prasie, że "Wielka Trójka" podpisała "Układ Jałtański", a w nocy mieliśmy być nad celem, na własnej stypie, niosąc pomoc tym, którzy wcześniej wzięli udział w naszym pogrzebie. Na odprawie nasz dowódca major Jurkowski - zachowaj go Panie jak najdłużej przy życiu, i w dobrym zdrowiu - dał nam do zrozumienia, że "Rozkaz jest rozkazem, ale kto chce niech leci, kto nie chce nie musi, że on nie obrazi się"... Poleciliśmy wszyscy. Bolek dopił whisky i zwrócił się do mnie z pytaniem, na które nie było odpowiedzi.

- A gdyby Niemcy zestrzelili ciebie wtedy i zapytali po co pchałeś się tam gdzie oni strzelali? Za Anglię? Za Rosję? A może za Polskę?. To co byś powiedział? Ze za wolność i honor? Bolek niepotrzebnie mnie męczył. Jałta oznaczała dla nas obu to samo swiństwo wracałem do kraju i jego gadanie wcale mi tego nie ułatwiało. Odwołałem się do pomocy pani Zosi i zamówiłem następną kolejkę.

Popijaliśmy, a Bolek rozgadał się.

- W Polsce rządzi żydo-komuna, paskudztwo o którym wiesz mało. Wrócisz przekonasz się, Mikołajczyka

wypłoszyła z kraju Bezpieka i pozwoliła mu na to, żeby wyniósł się z powrotem do Anglii. Anglicy śmieją się z niego i śmialiby się tak samo gdyby odegrał rolę Romualda Traugutta i dał się powiesić. Wracasz? Wróc. Ale pamiętaj, że twój bilet będzie ważny tylko w jedną stronę. - Nie bronilem Mikołajczyka, ale kiedy Bolek powiedział, że generał Sikorski, to też było jakieś nieporozumienie, poczułem się zmęczony, wymówiłem się pociągiem, na który muszę zdążyć, i wyszedłem. Po drodze zabrałem z "Orla Białego" majtki, szminki i pończochy, które Zbyszek ładnie opakował, pojechałem metrem na "Kings Cross", gdzie wsiadłem w pociąg, który z przesiadką, miał mnie dowieść do Feltwell. Z Bolekiem nie spotkałem się więcej. Po latach dowiedziałem się, że zmarł przedwcześnie z nansenowskim paszportem bezpaństwowca, w kieszeni wyświechtanej tweedowej marynarki, w polskim domu inwalidów wojennych, w pokoiku, w którym nie było nic godnego uwagi poza stertami polskich gazet i książek wydawanych w kraju i w Anglii. Workuta upominał się o swoją ofiarę. Serce wytrzymało, zmarł na płuca - leczenie w Szwajcarii przedłużyłoby mu życie, ale nie chcieli go tam, bezpaństwowca, na dodatek bez pieniędzy.

Do Feltwell dotarłem późnym wieczorem. Zostałem nieoczekiwanego współlokatora. Na drugim łóżku ktoś spał i z cicha pochrapywał. Nie budząc przybysza, wsunęłem się pod koc, ale po wrażeniach z pobytu w Londynie, nie mogłem zasnąć. Pomyślałem, że łyk whisky dobrze mi zrobi. Miałem w nocej szafce butelkę i posłużyłem się nią. Niewiele to

pomogło. Andrea przeplatała mi się w myślach tym co mówił Bolek, paryskie buduary ze słomą nad Wisłą, Żydzi w chałatach z Żydami w mundurach NKWD. W końcu zasnąłem, okno było otwarte, za oknem maj i wiosna, która budzi nadzieje. Rano poznałem się z współlokatorem, pilotem dywizjonów myśliwskich, który przed wojną ukończył pilotaż w Szkole dla Małoletnich w Bydgoszczy i z którym teraz zrównałem się jako kandydat do służby w brytyjskim lotnictwie. Nie miał potwierdzonego angażu, ale przeniesienie do Feltwell oznaczało, że Anglicy umieścili go na liście wybranych, Na imię miał Stefan, jego angielska narzeczona, - Polly. Do Feltwell został skierowany z Dunholm Lodge, lotniska, które przejęło funkcję zlikwidowanej bazy zapasowej w Blackpoolu i było centrum administracyjnym, pozostałości po "polskim RAF-ie" czyli po Polskich Siłach Powietrznych w Anglii.

Po śniadaniu Stefan poszedł z kartą obiegową pozbierać podpisy, a mnie zaniósł na strzelnicę. Postrzelałem do rzutków, a kiedy to mnie znudziło, przeniosłem się do sali bilardowej kasyna. Były tu również korty tenisowe, dobrze zaopatrzony bar, w bliskim sąsiedztwie pole golfowe, jeonym słowem - z wyjątkim basenu - wszystko co umila aktorom czas na amerykańskich filmach z życia wyższych sfer. Dzień był pogodny, popołudnie spędziłem wylegując się i przysypiając na słońcu, a wieczorem dołączyłem do Stefana w barze. Zamówiłem dwie szkockie i powiedziałem, że wracam do kraju. Stefan przyjął to jak żart, ale kiedy upewniłem go, że nie żartuję, spojrzał na mnie jakoś obco

i podejrzliwie. W obiegu było przekonanie, że prawdziwi patrioci zostają, a meły wracają do kraju. Wtedy, kto miał wrócić, już wrócił, a mój powrót zakrawał na awanturnictwo.

- Nie będzie ci żal?

- Czego?

- Angielek i whisky?

- Będzie!

- To zostań!

- Po co?

- Pytasz się? Wybrali ciebie na zawodowego z tłumu chętnych, ja na to czekam. Żle ci tutaj?

- Dobrze.

- Białych niedźwiedzi ci się zachciało?

- Nie, tatrzańskich!

Rozmowa nie kleiła się nam. Stefan nie był wyjątkiem, eszyscy odradzali mi powrót, a ja po wódce śmiałem się z przestrogi.

Kilka dni później wezwał mnie adiutant dowódcy Feltwell, zapytał czy nie chcę być przywrócony do łask, czyli "reinstated", byłem bliski odpowiedzi, że chcę, ale powiedziałem, że nie i pojechałem do Dundolm Lodge, na szlak powrotu do kraju. W baraku, do którego zostałem skierowany, było paru sierżantów i jeden chorąży z gapą pilota i beretkami VM i KW.

Rzuciłem swoje worki na wolne łóżko i zapaliłem papierosa. Podszedł do mnie jakiś sierżant, z wyglądu potwierdzający słuszność teorii Darwina.

- Cześć kolego! Skąd jesteś? - zagadnął.

- Z Feltwell - odpowiedziałem wymijająco.

- A gdzie to?

- Niedaleko Norwich.

- A gdzie ten Norwich?

- W hrabstwie Norfolk.

Chciał się zapytać, gdzie to hrabstwo Norfolk, ale w odpowiedzi ubiegł mnie chorazy.

- Nie wiesz ciemniaku, stąd dwa dni wołami!

Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- Ten typ do mnie też się przyczepił.

- Coś ma we łbie skoro go zrobili sierżantem - powiedziałem pojednawczo - pan tu od dawna?

- Od paru dni, czekam na przydział, podpisałem cyrograf na zawodowego.

- A reszta co tu robi?

- Czeka na zwolnienie do cywila.

- Ja wracam do kraju.

- Nie boi się pan? Sierżant przysłuchiwał się nam uważnie.

- Trochę.

- Nie mogli się pan urządzić w Anglii?

- Mogłem tak jak pan, chcieli mnie na zawodowego.

- A pan nie chciał?

- I tak i nie...

- Pana sprawa, ale ja to rozumiem. Mnie też ciągnie do Polski. Był pan nad Warszawą w czasie powstania?

- Nie, nie byłem.

- Ja byłem dwa razy. Lataliśmy wtedy jak w transie,

Przed tym odwalilem kolejkę nad Francję i Niemcy. Ale to było co innego, tam poprostu latało się na wojnę.

Do baraku wszedł jakiś kapral i zwracając się do mnie zapytał donośnym głosem.

- Czy to pan chorąży wraca do Polski?

- Tak - odpowiedziałem, - a o co chodzi?

- Jutro o dziewiątej ma pan się zameldować u adiutanta, majora, tu wymienił nazwisko, którego nie zapamiętałem, adjutanci ostatnio mi spowszednieli.

- Dobrze będę.

Sierżant, który nie wiedział, gdzie jest Norfolk, poczuł się w siodle.

O, co ja słyszę, pan chorąży jedzie w Polszczu.

Mogłem zbyć zaczepkę i nie odezwać się, ale mi to nie wyszło.

- A ty baranie wiesz przynajmniej, gdzie jest Polska?

- Odpowiedział z wrednym uśmieszkiem: - Polski nie ma! Tego było mi za dużo.

- Mylisz się, jest tam gdzie twoja kurna chałupa i widły do przewracania gnoju, które zostawiłeś. Nie pamiętasz?

Patrzcie - wziął na świadków obecnych w baraku - hrabia się znalazł. To fajnie, że jedziesz w Polszczu, tam komuniści wiedzą, co z takimi robić.

Kpił sobie ze mnie, a ponieważ bardzo tego nie lubię, powiedziałem.

- Hrabiów tam nie kochają, ale dlaczego ty nie wracasz? Nie przyszło ci do łba, że ze swoją gębą

zrobiłbyś tam furorę?

Opowiedział z wyniosłą godnością.

- Ja nie jestem zdrajca.

Awantura wisiała na włosku. Wrócił się chorąży i zażegnał mordobicie.

- Zostaw tego wypierdka.

Usiedliśmy na łóżku chorążego, a zadziorny dureń nie zrezygnował i czuwał w pobliżu.

- Wracasz do kraju, może masz coś do sprzedania? - zagadnął chorąży.

Do sprzedania miałem swój mundur.

- Chcesz? Prawie nowy.

- Przyda się.

Byliśmy jednakowego wzrostu i postury.

- Dziesięć funciaków, kosztował więcej.

- Dobrze, biorę.

- A może jeszcze płaszcz?

- Nie tylko mundur.

Sierzant, na którego nie zwracaliśmy uwagi, ale który nas podsłuchał, zauważył.

- Niech pan, panie hrabio, zostawi sobie płaszcz, bo w Polsce będzie pan musiał uszyć sobie z worka.

Ten typ zawział się na mnie, musiałem się bronić.

- Tak? Jeżeli tam taka moda, to uszyję, a dla ciebie mam dobrą radę.

- A jaką? - zapytał ciekawie.

- Ty zarzuć sobie worek na łeb!

- A po co? - zapytał ogłupiony tym co usłyszał.

- Nie gardź dobrą radą, bo pewno nie wiesz, że Anglicy nie doliczyli się małp, które uciekły w czasie bombardowania z londyńskiego Zoo.

- No to co? zaniepokoił się.

- Co? - powiedziałem. - Jak nic wezmą ciebie kretynie za zbiegłego szympansa i odprowadzą do klatki.

Odgryzł się natychmiast.

- A pana hrabiego w Polsce wezmą za kratki

- I ty będziesz się cieszył?

- A będę.

- I bardzo dobrze, Małpy jak się cieszą są cholernie zabawne, rozśmieszają ludzi i dostają za to banany. Po co ci w Polsce kartofle? Tu będziesz zarł banany!.. Odpieprz się gnojówkarzu!

- Jeszcz się kiedyś zobaczymy - powiedział natręt, któremu nie było obce łagry dalekiej północy i powiedział to mnie więźniowi z Uralu, mało tego, pogroził mi palcem.
- Uważaj tam, bo jak się spotkamy w powietrzu, ty z czerwoną gwiazdą, a ja wiesz z czym...

- To uważaj, żebyś nie zleciał pierwszy - przerwałem mu.

Nie czułem najmniejszej sympatii do tego wroga nie wroga, ale ta kłótnia nie miała sensu.

- Dobrze, może kiedyś spotkamy się i nie będzie tak źle, ale narazie odpieprz się!

Choazy mnie poparł.

- Nie słyszałeś? Chcemy być sami!

Sierżant z miną kogoś, kto ustępuje mając rację,

odszedł na przeciwległy koniec baraku gdzie miał swoje wyrko. Reszta obecnych liczyła na awanturę i poczuła się zawiedziona.

- Przewietrzymy się? - zapytał chorąży - mam samochód.

- Chętnie - zgodziłem się.

- Wsiadliśmy do starego Austina.

- Gdzie pojedziemy?

- Jest tu w okolicy znośny pub "Pod Czerwonym Bykiem".

Może tam?

- Znam tą knajpę to stąd po drodze do Faldingworth.

Może pojedziemy najpierw do Faldingworth?

- A tam po co?

- Chciałem się pożegnać ze swoim lotniskiem.

- Nie byłoby z czym!

- Dlaczego?

- Dawno zaorane.

- A "Czerwony Byk" przetrwał?

- Jest gdzie był.

- To jedźmy do "Byka".

Po drodze zapytałem chorążego.

- A ty nigdy nie myślisz o powrocie?

- Myślałem do czasu, kiedy dostałem list od ojca.

- Udradził?

- Napisał, że nasz pies Reks, przeżył okupację, ale ostatnio jest bardzo chory. Nie ma apetytu i traci sierść. Nie muszę tobie tłumaczyć, że nie o psa ojcu chodziło.

- Nie musisz. Niedawno dostałem list od kolegi z załogi, który wrócił rok temu i opisał mi pogodę w kraju.

Jemu też nie o pogodę chodziło...

Przy piwie historia z Reksem i pogodą wydały się nam bardzo zabawne. Chorąży śmiał się na całego, ja też, ale nie aż tak beztrosko.

Parę dni po tym zostałem zdemobilizowany. Za wojenną służbę dali mi prawie dwieście funtów, cywilne ubranie z angielskiej wełny i dokument, z którego wynikało, że byłem dobrym żołnierzem. Dali mi też bilet kolejowy do miejscowości, gdzie był obóz przesiedleńczy. Tak więc jechałem pociągiem do stacji, której nazwy nie przypominam sobie. Pozostawiłem za sobą szmat drogi i czasu. Do wojska wyrwałem się na Uralu, obdarty i zawszony, na oblodzonych deskach "ciepluszki", a wracałem nie tak załóżnie. Dobre samopoczucie zakłócało mi jednak podobieństwo początku mojej żołnierskiej drogi i jej końca. Z Uralu jechałem do polskiego wojska niepewny, czy tam gdzie chcę dojadę, teraz miałem pewność, że tam gdzie chcę dojadę. Ale...

Kto skakał na nartach zna uczucie podniecenia, potrosze strachu, przed rozpoczęciem rozbiegu, które przemijają w chwili ruszenia ze startu. Byłem już na rozbiegu, ale pozostawało lądowanie, które mogło się okazać twarde i z upadkiem. Jechałem za "żelazną Kurtynę"...

Za oknem przedziału deszcz ciągle padał, na kolejnych przystankach nikt się nie dosiadał. Jakaś starsza pani w milczeniu szydełkowała, a ruda młoda dziewczyna, która z nią była, odłożyła czasopisma, wyjęła z kosmetyczki pilnik i zajęła się paznokciami. Nastroj był senny, nijaki.

Inaczej było w czasie wojny. Podróżowało się wtedy weselej. Pociągami zatłoczonymi wojskiem męskim i żeńskim, i umundurowane dziewczyny były same, bez asysty szydełkujących mam i ciotek. Dojeżdżałem do celu podróży. Do jakiejś małej stacji. Zabrałem bagaż, ukloniłem się obu paniom, odkloniły mi się z przyjaznym uśmiechem, wyskoczyłem na peron i zacząłem się rozglądać. Wsiadło ze mną paru podróżnych. Pociąg odjechał i peron opustoszał. Wziąłem walizki i poszedłem do wyjścia. W Dunholm Lodge powiedzieli mi, że ze stacji do obozu jest blisko, i że można tam się dostać autobusem albo nawet pieszo. Ta informacja mogła okazać się prawdziwa albo nie, bo ten, który mi jej udzielił, nigdy tutaj nie był. Kufer-szafę, który kupiłem w Londynie, na swoje ubrania i co cenniejsze mienie, nadałem na stacji w Lincoln frachtem kolejowym. Przy sobie miałem dwie walizki, za ciężkie na kilometrowe spacerki. Stojąc przed budynkiem stacji namyślałem się co dalej robić, kiedy podszedł do mnie kapral z naszywkami "Poland".

- Czy pan porucznik Zarebski? - zapytał.

- Nie.

- A to przepraszam - powiedział i chciał odejść.

- Zaras! - zatrzymałem go, dlaczego pan się pyta o porucznika?

- Przyjechałem po niego.

- A gdzie chciał pan odwieść tego porucznika?

- No gdzie do obozu.

- Dla repatriantów?

- Tak.

- Ja też tam chcę. Pali pan?

- Palię.

Wziął papierosa, zaciągnął się, przypatrując mi się uważnie.

No to wsiadajmy do samochodu i jedźmy. Jak zawiezie pan chorążego nie porucznika nic się nie stanie.

- Chorążego? - pokręcił głową - pan jest za młody na chorążego.

- Może, ale nie na chorążego lotnictwa.

- Pan latał?

- Tak, a teraz chętnie się z panem przejadę, za dziesięć bobów, za darmo nie chcę.

Za dziesięć szylingów mógł wypić dziesięć dużych kufli piwa w miejscowym pubie, to też nie wybrzydzał, i powiedział zyczliwie.

- Dobrze ale poczekam parę minut, może porucznik przyjdzie.

- Nie przyjdzie, miał kaca i spóźnił się na pociąg...

Kaprał podwiózł mnie pod barak, gdzie mieściła się administracja obozu. Zgłosiłem swój przyjazd i dostałem przydział na kwaterę, do zdezelowanej przez poprzednich użytkowników "beczki śmiechu" upchanej repatriantami do wysokości drugiego poziomu obskurnych ptycz zasłanych lepiącymi się kocami, bez prześcieradeł. Po kolacji bardziej więziennej niż wojskowej poszedłem spać i po raz pierwszy od lat przyśniły mi się wszy. Następnego dnia przebrałem się w mundur i odebrałem ze stacji swój kufer.

- Ma pan elegancki bagaż - zauważył sierżant z sąsiedniej pryczy. Okradą pana, niech pan wszystko obszyje kocami i skręci mocno sznurem. Musi pan swój bagaż zamaskować, żeby nie przyciągał oczu złodzieja. Rozumie pan? Najlepsze są toboły...

- A co kradną tutaj? - zapytałem. A sierżant na to ze śmiechem.

- A kradną panie, kradną! Już kradną a droga przed nami jeszcze daleka. Niech pan zrobi to co radzę. .

Obóz był rozległy, ogrodzony porwaną drucianą siatką pełną dziur za którą koczowała chmara hałaśliwych handlarzy przeważnie Hindusów i Cyganów. Właściwie to był tutaj nie jeden obóz ale dwa. Nasz niby jeszcze wojskowy z kolejkami do podłej garkuchni i zapaskudzonych latryn i drugi, upszczony przenośnymi kramikami, w których egzotyczni sprzedawcy często po polsku, zachwalali swoje towary:

Pan, mam skóra, w Polska nie ma skóra... Kupon materiał... Buty... pończoch... mam...

Dokupiłem skórę na zelówki, resztę nabyłem wcześniej w klubie "Orła Białego" od Zbyszka. Szkoda, bo tutaj za ten towar zapłaciłbym o połowę mniej.

W klubie "Orła" Zbyszek miał interes bez szyldu, ale mieściły się tam także prawdziwe firmy z szyldami, które przyjmowały zlecenia na wysyłkę do kraju paczek z odzieżą i lekarstwami.

Wpłacając pieniądze w jednej z nich na parę kupnów irlandzkiej wełny popełniłem kardynalny błąd.

- Pana godność i adres w Anglii?

- Wracam do kraju, proszę o pokwitowanie wpłaty na mój adres w Polsce...

Siwa pani w binoklach przyjmując pieniądze wymieniła zdawkowy uśmiech ze swoim młodszym od siebie szefem, właścicielem przedsiębiorstwa. Co oznaczał ten uśmiech domyśliłem się za późno, dopiero wtedy z kraju nadaremnie reklamowałem brak przesyłki. Nie wątpię, że ta dobrana para uśmieła się serdecznie z mojego naiwnego dopominania się o wełnę. I nic w tym dziwnego. Było im wesoło, jak każdemu złodziejowi, któremu się udało. Byli przecież bezpieczni z tamtej strony "kurtyny" i nie groziło im moje nagłe wtargnięcie do ich biura połączone z awanturą. Ale na tym nie koniec. Miałem ponieść jeszcze jedną stratę na wyspie. Po obozie kręcił się żołnierz, trochę podobny do goryla, i przyjmował do prania beliznę. Zahaczył o mój barak.

- Ma pan chorąży coś do prania? - zapytał szczerząc żółte zębiska, w lisio-małpim uśmiešku. Swoim wyglądem nie budził zaufania.

- Piórę pierwszą klasą, rękami...

Mimowoli spojrzałem na te ręce, mocne i zylaste, ale jak na pracza podejrzanie brudne.

- No to jak panie chorąży? Będzie coś do prania?

Zamiast posłać typa do wszystkich diabłów zdurniałem i, sam nie wiem dlaczego dałem mu do prania trzy drogie koszule uszyte na zamówienie w renomowanej londyńskiej firmie. "Chiński pracz" z moimi najlepszymi koszulami

ulotnił się jak kamfora. Mogłem się jedynie tym pocieszyć, że nabrał na swój serwis nie tylko mnie. Szukali go też inni naiwni. Bez rezultatu. Nie było go w obrębie. Wynikało z tego, że pojawił się z zewnątrz, z pustymi workami a wyjechał z pełnymi.

Dostałem pocztę. List od Jurka Bylicy, którego przed rokiem pozegnałem w Anglii. Pisał z Sopotu, że przezimował u swojej mamy, która w okolicach Bytowa jest dyrektorem dużego gospodarstwa czegoś w rodzaju "sowchozu", i że teraz na lato przeniósł się nad morze do ciotki, która pracuje w Gdańskiej Dyrekcji Odbudowy. Zadziwił mnie. Zajęcie ciotki, - która przed wojną była urzędniczką GISZu - nie budziła niepokoju, ale jego mamy w roli kierownka jakiegoś tam "sowchozu" zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić.

- Co się w tej Polsce dzieje? - myślałem - Mama Jurka, osoba wykształcona ale bez konkretnego zawodu, naraz w takiej roli!

2
1
Kończył się maj 1942 roku i lada dzień miał nastąpić nasz wyjazd pociągiem do Southhampton, i dalej statkiem do kraju. Czas mi się dłużył paskudnie. W obozie śmierdziało wysypiskiem śmieci. Z wyspy oficjalnie nikt nas nie wyrzucał, a do kraju nikt nam nie bronił wstępu, ale też nikt nas szczerze nie zapraszał.

Historia wystawiła nas na licytację, na której zabrakło kupców.

Z rozmów w baraku obozowym wynikało, że lwia część obecnych wracała do kraju tylko dlatego, że tęskni do

pozostawionych rodzin i bliskich oraz dalszych krewnych.

- Ja bym nie wrócił za cholere, ale zostawiłem w kraju żonę z dziećmi, muszę...

- Mam tam starą matkę...

- A ja ojca...

- A ja siostrę...

- I ja bym nie wrócił, ale mam tam schorowaną babcię - staruszkę...

- Dziadka...

- Wuję...

- Stryja w nędzy który mnie wychował.

Niekiedy, bardzo rzadko, słyszało się, że ktoś zwyczajnie wraca do Polski, bo tam się urodził.

Tych - nie rozmiłowanych w życiu rodzinnym - posądzali o komunizm.

Powiedziałem któregoś dnia krnąbrnie, że wracam nie przymuszony żadnymi względami rodzinnymi i dostałem się na obozową "czerwoną listę". Już drugi raz. Pierwszy raz zostałem komunistą w transporcie na Uralu, za odmówienie wykonania rozkazu porucznika - inżyniera, komendanta "ciepluszki", który chciał, żebym zaopatrywał jego dziwnych rekrutów w wodę i węgiel, bez rękawiczek na trzskającym mrozie.

Ostatnią niedzielę pobytu w obozie zakończyliśmy mszą polową odśpiewaniem "Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie" i wkrótce po tym byliśmy na przedostatnim etapie wojennej wędrówki.

Do Southhampton przyjechaliśmy wcześnie nad ranem.

Pociąg wtoczył się do dużego hangaru portowego, w którym miała się odbyć odprawa celna. Przy moło stał nasz statek, "Empress of..." czegoś tam, dokładnie nie przypomniał mi się. Był wielkości "Laconii", którą dobrze zapamiętałem. Wsiadłem z wagonu i, przecierając oczy, udałem się na poszukiwanie bagażu. Znalazłem swój obszyty w koce kufer i dwie walizy, załadowałem wszystko na wózek i popychając go przed sobą skierowałem się w stronę długiej lady, za którą stali celnicy. Bez wybierania ten lepszy, ten gorszy, ustawiłem się w najbliższej kolejce. Punktualnie o siódmej rozpoczęła się odprawa. Miałem przed sobą paru repatriantów z imponującą liczbą tobołów i worków. Co zawierał ten bagaż Bóg jeden wiedział, ale celnicy też chcieli wiedzieć. Pytali na próżno. Moi poprzednicy z kolejki bezradnie rozkładali ręce.

- Mi not szpik englisz...

Na śledztwie często dobrze jest nie znać języka swojego rozmówcy, albo udawać, że się nie zna. Na cło to się nie opłaca... Nie chcesz czy nie możesz powiedzieć co wiesz, nie szkodzi, zobaczymy... Rozwiązywali więc wskazane przez celników worki i toboły, kładli je na ladę a oni wyciągali z nich zrolowane płaty skóry, z których na oczach powstawała hałda.

Niespodziewanie Anglicy zatrzymywali skórę, którą pozwalali Hindusom handlować z nami, tuż za drutami obozu, bez ostrzeżenia, że będzie konfiskowana na granicy. Odprawa zapowiadała się fatalnie. Kolejka, w której stałem, przesuwała się szybciej od innych, z mniejszym

pokłosem skonfiskowanej skóry. Doszła do mnie. Stanałem oko w oko z sympatycznym z wyglądu celnikiem, niewiele starszym od siebie. Przyjrzał mi się przyjaźnie.

- I take it - powiedział - that you speak English - byłem w battldressie chorążego RAFu.

- Yes sir - pospieszyłem z odpowiedzią.

- Very good - uśmiechnął się jakby z ulgą - Could you help me out? - zapytał.

- Certainly, but how can I be of help to you?

- Could you translate for me?

Mogłem, i tak jak kiedyś w Czok-Paku, w jednej chwili awansowałem z rekruta na urzednika Komisji Poborowej, przeobraziłem się z zastraszonego repatrianta w asystenta celnika Jej Królewskiej Mości. Tylko idiota odmówiłby pomocy celnikowi przed lustracją swojego bagażu.

Odstawiłem swój wózek na bok, i spojrzałem wyczekująco na zesłanego mi z nieba szefa. A on pouczył mnie:

- Prawie nikt nie przyznaje się, że wiezie skórę, a wszyscy mają. Pytaj się każdego wprost, co wiezie oprócz skóry.

Inni celnicy patroszyli każdy worek, ściągali na swoje głowy przekleństwa, stosy skór koło nich rosły, a u nas był względny spokój.

- Co pan wiezie oprócz skóry? - pytałem i kiedy zapytany obrażał się na samo posadzenie, że ma skórę, mógł szef kontrolować wybrany przez siebie worek i trafiał bez pudła. Pokorniejszych i mniej zadziornych, którzy uwagę o skórze pomijali milczeniem i uczciwie zgłaszali inny

dobytek, przepuszczał. Mówił przy tym.

- Niech mu pan powie, żeby rozwiązał worek, w którym nie ma skóry.

Byli tacy, co mieli z tym trudności.

Po godzinie takiej odprawy oderwałem się od rzeczywistości i zachowywałem się prawie tak jakbym był celnikiem. Ten prawdziwy stał obok mnie, mówił mało i uśmiechał się. Zbliżało się południe. Hangar pustoszał. Do odprawy pozostało niewielu rodaków, większość była już na statku. Niektórzy celnicy zwinęli interes i zwolnili stanowiska, do nas kolejka nie malała. Skonfiskowaną skórę dokerzy wywozili i ładowali na podstawione ciężarówki. Mój szef skinął na mnie, poszliśmy razem wzdłuż oczekujących na odprawę, zatrzymał się i powiedział.

Od tego miejsca nie przyjmujemy...

Przetłumaczyłem i zbyłem protesty wskazaniem stanowisk gdzie nie było nikogo. Wrocilem z szefem na posterunek. Nic się nie działo i myślałem, że nic się nie wydarzy, kiedy podeszła do nas para. On w mundurze kapitana, ona w drogim futrze, co z uwagi na zaawansowaną wiosnę mogło być podejrzane, ale ze względu na okoliczności, w których odbywała podróż, nie musiało.

- Co państwo mają do oczenia? - przetłumaczyłem polecenie szefa.

Dama w futrze spojrzała na mnie z wrogą wyniosłością, jak dziedziczka na lokaja, którego nigdy nie miała w łóżku. Pogradliwie zagryzła wargi na znak, że moje pytanie mało ją obchodzi. Szef ożywił się.

- Anything to declare madame? - Zapytał.

Uśmiechnęła się przymilnie i odpowiedziała w poprawnej angielszczyźnie z tupetem.

We have nothing except personal effects! - Czy mamy otworzyć walizki.

- Nie dziękuję - powiedział mój szef, dla mnie niezrozumiale, bo nie będąc fachowcem dałbym sobie głowę uciąć, że coś ukrywa. Kapitan chyba jej mąż, nie wtrącał się. Ona pospiesznie podniosła walizkę i rozzuchwalona powodzeniem warknęła na niego, żeby wziął dwie pozostałe.

- Dziękuję panu - powiedziała z najlepszym ze swych uśmiechów, i jej szczęście było by pełne, gdyby nie usłyszała na odchodnym.

- Sorry madam, ale ja nie skończyłem odprawy, proszę do kontroli pani podrózną torbę!

Z beztroskiej, szczebiotki, przeobraziła się w zmiję. Znieruchomiała, zbladła i na chwilę zaniemówiła.

- Nie rozumiem - syknęła.

- Proszę do kontoli torbę! - powtórzył mój szef.

Wściekła podała mu torbę, a on z satysfakcją myśliwego, który upolował grubego zwierza, wysypał z niej na ladę suwereny wśród rodaków zwane "kasztanami".

- Tego ze sobą pani zabrać nie może - powiedział - Bardzo mi przykro, ale takie są przepisy. Petentka w futrze przestała być damą. Parsknęła że bez suwerenów do Polski nie pojedzie, bo jak ma tam być zebraczką to może być i tutaj. Jej mąż milczał z ironicznym grymasem na twarzy i nie wiem o czym wtedy myślał, czy o straconych

suwerenach czy o tym, że znał tyle miłych dziewczyn, i że tak niefortunnie się ożenił. Na statek zostali doprowadzeni pod eskortą.

- Kończymy urzędowanie - powiedział szef. Mój bagaż cały czas czekał na odprawę nie zdjęty z wózka. Podjechałem nim pod ladę.

- How about me?.. nie mam suwerenów, ale mam skórę. Do you want my leather sir? - zapytałem.

Koześmiał się.

- Don't "sir" me, just take your stuff whatever it is, and happy landings warrant...

To był miły facet. Zabrałem swoją skórę, tę na grzbiecie, którą wyniosłem z wojny i tę w walizkach. Żegnaj Anglio! Wchodząc na pokład statku zostawiłem za sobą młodość. Wyspiarze, to dowcipny naród. Sprowadzili na molo orkiestrę Armii Zbawienia i ta orkiestra, kiedy statek odbijał w rejs, dmuchnęła w trąby "Góralu czy ci nie żal?"

U zmierzchu byliśmy już na pełnym morzu. Płynęliśmy na północnywschód kołysani boczną falą. Migotały gwiazdy. Te same, które towarzyszyły w wyprawach za kanał naszemu Lancasterowi "S jak Sugar". Wtedy świeciły jaśniej, przyciągały nas ku sobie, mrugały porozumiewawczo i szeptały "per aspera ad astra" - przez trudy, ku nam chłopcy... Nic z tego nie zostało, Stałem długo, oparty o fałszburte i wśluchiwałem się w szum morza. Morze szumiało, gwiazdy jedna po drugiej gasły. Po północy zaczął siąpić deszcz. Uciągałem się z zejściem pod pokład

do mesy przepełnionej po sufit wonią niedomytych nóg i chrapaniem współtowarzyszy podróży. Wody Morza Północnego i Bałtyku były już rozminowane, ale ciągle jeszcze niepewne. Tu i tam jeżyły się kolcami zapalników samotne miny, rozniesione przez sztormy. Kanał Kiloński nie przyjmował dużych statków i nasz rejs do Gdyni-Gdańska przez cieśniny duńskie miał potrwać około pięciu dni.

- pięć dni - myślałem - i trzy lata od zakończenia wojny, to razem trzy lata i pięć dni. Cholernie długo...

Czternastego kwietnia w czterdziestym piątym, w pięć godzin przedaraliśmy się naszym "Sugarem" przez szpalery reflektorów i zapory zenitówek nad Berlin.

Wtedy! Właśnie? jak wtedy było?

No więc było zwyczajnie, przewisieliśmy całą noc w powietrzu i po powrocie każdy wpisał do książki lotów udział w wyprawie. Przepracowaliśmy uczciwie jeszcze jedną noc, którąś tam z rzędu.

Ktoś może się na mnie oburzyć, że zabijanie ludzi nazywam pracą. I mnie jest głupio, kiedy to teraz piszę, ale wtedy zabijanie było pracą bardziej zaszczytą od pieczenia chleba, bo nie piekarzom za ich trud, ale nam za celność bombardowań przyczepiali ordery i medale. Ta książka miała być o wojnie, i w rzeczy samej jest, ale odnoszę wrażenie, że spotykam się z zarzutem, że za dużo jest w niej; wódki prostytutek i polityki, a za mało strzelania. Dobrze więc, wrócimy do 14-go kwietnia 1945 roku. Niemcy bronili się na kolanach, ale ciągle pozostawali groźni. Pogoda tego ranka była parszywa a

dzień zaczynał się mało obiecująco. Nasz "Sugar" zakaputurzony brezentowymi pokrowcami, drzemał na dispersalu lotniska, oblepiony zasłoną mgły. Dywizjon od paru dni uziemiała pogoda, która podobno nad kontynentem była lepsza. Obudziłem się i spojrzałem na zegarek. Dochodziła ósma. Mieszkańcy baraku dosypiali noc>

- Co jest u diabła? - pomyślałem. - Dlaczego oni wszyscy śpią? Za godzinę poranna odprawa! Wojna może się skończyła a ja o tym nic nie wiem, czy inne лихо?

Wstałem z łóżka, przetałem oczy i wyjrzałem przez okno. Zasnuty mgłą świat był wypluty z kolorów, rozmazany i nieciekawym jak leciwa kochanka po nieprzespanej nocy. W powietrzu nasiąkniętym zimną wilgocią czaiła się grypa. Kichaniem obudziłem śpiącego obok mnie Władka.

- Ładna pogoda co? - odezwał się zachrypniętym głosem. Był tak samo szary jak pogoda za oknem. Nie wyspałem się. Poprzedniego dnia wieczorem przesiedzieliśmy całą załogą parę godzin w okolicznej gospodzie "Pod Czerwonym Bykiem". Stawiał Staszek Abramski, który w tym dniu obchodził swoją rocznicę ślubu, czy coś takiego.

- Ładna - ziewnąłem, - powiedz to komu innemu.

Władek metnie podtrzymywał rozmowę.

- Może się mgła rozejdzie? Jak myślisz?

Po whisky zmieszanej z ginem tracę chęć do życia.

- Tak rozejdzie się, po całej Anglii.

- Ale może jednak?

Przerwałem mu.

- Człowieku spojrzij przez okno. Ptaki chodzą na

piechotę, a ty chcesz latać?

Za oknem wrony krakały, machały skrzydłami i bez sensu jak na wrony spacerowały, nie odrywając się od ziemi.

A Władek ubierał się i nudził.

- Sam wiesz, że z angielską pogodą to tak samo jak z kobietą, nigdy nie wiadomo co za pięć minut zrobi. Mam nosa, że dziś na noc polecimy. roześmiałem się. Władek i nos. On, który grał zawzięcie w karty zawsze z nosem, że wygra i po uszy siedział w długach. Gmiechu wart był ten nos. Ale mieliśmy kogoś w dywizjonie, kto ze swoim nosem mógłby przepowiedzieć pogodę tyle, że ten ktoś nie mógł, bo nie mówił, bo to był pies. Kiwi, o którym już wspominałem wsiadł się intuicją przed paroma miesiącami, kiedy dywizjon startował na bombardowanie Essen. Będąc tego dnia w nastroju do latania, co zdarzyło mu się średnio raz w miesiącu, być może skuszony trochę nazwą celu "Essen", a miał niezły apetyt, wsłoczył do jednego z Lancasterów. Przed samym jednak wykołowaniem na start, rozmyślił się, uciekł na siłę i przesiadł się do innego samolotu. Załoga, od której uciekł, nie powróciła do bazy. Po tym o Kiwim różnie mówili: jedni, że to może nie pies, inni że właśnie pies. Ale kim by nie był miał na pewno lepszego nosa od Władka.

Po śniadaniu wsiadłem na swoją starą półwyścigową "Panterę" i pojechałem na odprawę. Kiwi był, jak zwykle pierwszy, witał wchodzących machaniem ogona i od czasu do czasu ziewał. Tak jak my, też gdzieś zarwał noc.

Odprawa zakończyła się zanim się zaczęła.

Panowie - powiedział major Jarkowski - nakazuje "stand by". Niech nikt nie opuszcza lotniska. To wszystko!

A więc pogoda miała się zmienić.

Major nie ogłosił pogotowia operacyjnego dlatego, że kogoś zaczęło łamać w kościach. Wiedział więcej niż my.

Wladek uśmiechnął się zaczepnie.

- A nie mówiłem?

- Mówiłeś - zgodziłem się niechętnie - widzę, że dzisiaj masz nosa, to może zagrasz w karty?

Powiedziałem to w złą godzinę i przegrałem kilka funtów.

Po południu wywiesili w kasynie listę załóg wyznaczonych na nocną wojnę. Byliśmy na tej liście, ale które niemieckie miasto nie miało spać tej nocy, nie wiedzieliśmy. O tym mówiono nam dopiero na odprawie operacyjnej, z której nasza droga przez dodatkową odprawę w sekcjach, prowadziła wprost do maszyn. Chodziło o względy bezpieczeństwa, o to, żeby o celu wyprawy wiedzieli tylko zainteresowani. Do tych, którzy nie powinni wiedzieć, ale wiedzieli, należeli nasi mechanicy, bo gdzie lecimy sami mówiliśmy im przed startem. Pytali się nas, z głupia frant:

Komu dzisiaj podwiesiliśmy bomby?

I żadnemu z nas nie przyszło do głowy, żeby powiedzieć, że nie wie jeszcze, i że namyśli się po drodze, gdzie rzucić ich bomby.

Dochodziła godzina czwarta. Sala odpraw była wypełniona do ostatniego miejsca. Ma polecieć osiemnaście

załóg. Wszystkie, które dywizjon może wystawić. Siedzę na parapecie okna, wolnych krzeseł nie ma. Wchodzi major Jarkowski.

- Proszę o zamknięcie drzwi i zasłonięcie okien. Kto chce, może palić.

- Przez chwilę słychać krzątanie, krzesanie ognia, pod jasno palące się żarówki ulatują kłęby niebieskiego dymu. Przed nami wisi wielka zasłonięta mapa Europy. Major z podniesieniem "kurtyny" jakoś się nie spieszy. Zapala papierosa, wdaje się w pogawędkę z Anglikami, z "operation" zwleka jakby umyślnie. Trwa to trochę, trącam Staszka, koło którego siedzę.

- Co major tak marudzi?

Staszek też nie wie i uważa, że możnaby prędzej.

- Zaśniemy! - Wyrywa się ktoś z tyłu.

- Proszę o spokój. - Major uśmiecha się jakby chciał powiedzieć - Zaraz wam coś pokażę, co was obudzi.

Zasłona idzie w górę. Szukam wzrokiem celu. Jest. Czarna taśma, która wyznacza trasę lotu, przecina mapę łamaną linią prawie przez całą szerokość. Kończy się obwódką na Berlinie.

- Ooo!!! Okrzyk zdumienia zamienia się w głośny szmer rozmów. Major musi poczekać, aż się uciszy.

- Proszę o spokój... Spokój do cholery! - śmieje się zadowolony z poruszeniem na widowni - odprawa z podnoszeniem "kurtyny" zasłaniającej mapę, miała coś z teatru, w którym on grał główną rolę.

- Bombardujemy dzisiaj Poczdam - mówił główny cel,

Reichstag, miasto jako cel pomocniczy. Kierunek nalotu 090. Po zejściu z celu będziecie brali powrotny kurs z nad Berlina. Do końca wojny już blisko, ale Berlin jest broniony jak dawniej. W wyprawie weźmie udział 860 maszyn w trzech grupach. Wy polecicie w pierwszej. Tutejsza pogoda niech was nie peszy. Sekcja "meto" zapowiada poprawę widoczności. Tyle ogólnych uwag. Proszę liderów sekcji.

Przewijają się liderzy sekcji uważać na to, wystrzegać się tego, pamiętać o tym. To sobie zanotować. Reszta jak zawsze, czy są pytania?

Przed mapą staje Anglik z "operation".

- Silna koncentracja artylerii w rejonach Magdeburga i samego Berlina. Poza strefami ostrzału artyleryjskiego możecie się spotkać z nocnymi myśliwcami nieprzyjaciela. Niech strzelcy mają oczy szeroko otwarte, szczególnie zaraz po zejściu z celu. Przekroczenie linii frontu w drodze powrotnej nie gwarantuje bezpieczeństwa ze strony myśliwców. Trzymajcie się nakazanych wysokości i czasu przelotów nad wyznaczonymi punktami trasy. Tego wam nie muszę tłumaczyć, że samotnie lecące maszyny, które oderwą się od reszty najczęściej padają łupem wroga. Nie lekceważyc przeciwnika. Ten ciągle jest w powietrzu. Wczoraj nad Holandią przekonało się o tym paru maruderów z fatalnym skutkiem. Bombardujcie tym razem Reichstag. W tamtej okolicy podobno kręci się Hitler. Oczywiście będzie po za zasięgiem waszych bomb, ale jakaś szansa jedna na milion zawsze jest! Good Luck Gentlemen.

Odprawę kończy szef sekcji "meteo".

- Panowie - zaczyna nieśmiało. Wie, że to co powie będzie potraktowane z humorem - Pogoda ogólnie mówiąc dobra, nad samym celem bardzo dobra! Nie zwraca uwagi na gwizdy i śmiechy słuchaczy, bierze do ręki kredę i na tablicy rysuje przekrój prognozy pogody z bazy do celu.

- Nad Anglią widoczność słaba do umiarkowanej. Podstawa chmur pięćset stóp, wierzchołki sześć do ośmiu tysięcy, stratus, strątocumulus. Zachmurzenie dziesięć dziesiątych. Nad kontynentem małe zanikające, widzialność dobra do bardzo dobrej, ciśnienie barometryczne, bazy, celu przewidywane wiatry na trasie, siła..

Na sali ciemno do dymu. Panowie zabiera głos major Jarkowski.

- Przypominam, start według wyznaczonej kolejności. Pierwsza startuje załoga kapitana Abramskiego punktualnie o szóstej zero zero.

Rozchodzimy się do swoich sekcji. Nawigatorzy w swojej, przygotowują plan lotu. My bombardierzy nie mamy nic do roboty, wszystko wiemy i gramy w karty. Po godzinie zbieramy się załogami w baraku odlotów, podwożą nam kawę i kanapki, bierzemy spodochrony, po dwie tabliczki czekolady i co Anglicy nazywają "escape kits", czyli zestaw tego co przydaje się po zestrzeleniu nad terenem nieprzyjaciela przy próbie przedostania się do swoich. Duzo mocnej kawy. Ta noc będzie długa. Pociągam z kubka i patrzę na Staszka.

- Startujemy z zero dziewięć - mówi rozgniatając niedopałek papierosa - krótki runway psia mać -

wszystkiego tysiąc dwieście metrów. Z pełnym obciążeniem i bez wiatru to będzie grobowy start.

- Po co się martwisz na zapas, może wiatr się namyśli i podmucha? Staszek machnął ręką, że niby lubi mnie, ale pieprze.

- No to jak? - pytam - chcesz nas rozłożyć na końcu runway'u i wstrzymać start całego dywizjonu?

Staszek zapala nowego papierosa, pije kawę i nic nie mówi. Ale wiem co myśli. Myśli, że nasz "Sugar" jest najstarszą maszyną w dywizjonie, ma na koncie czterdzieście siedem lotów bojowych. Postrzelany i łatany wiele razy, nie ciągnie, nie wchodzi na wysokość jak inne maszyny i, że jak na starcie nie wyciągnie to nikt nie zdąży się nawet przeżegnać.

Podjeżdża autobus, który nas podwiezie na dispersal. Na lotnisku mglista szaruga. Jest mokro, zimno, nieprzyjemnie. Jedziemy. Po prawej mijamy runway, z którego za pół godziny wystartujemy. Nad karawanem - (kto wymyślił taką głupią nazwę?) - pali się czerwone ostrzegawcze światło. Kierowca zawraca i zgrzyta hamulcami. Jesteśmy na miejscu.

Zabieram swoje manele i przeciskam się między jadącymi dalej do wyjścia. "Sugar" stoi tam gdzie go trzy dni temu postawiliśmy. Gotowy do startu. Ze zbiornikami pełnymi paliwa, podłączonymi do kaemów taśmami amunicji i ładunkiem bomb. Przyświecając sobie latarką sprawdzam swoje bomby. Mam ich dzisiaj cały komplet. Od małych zapalających, poukładanych w zasobnikach jak zapałki, do

wielkiej pękatej jak beczka dwutonówki. Ta ma to do siebie, że wybuchając zmiata pół ulicy. Mietek zapala światło nad stolikiem i rozpakuje swój nawigatorski dobytek. Siadam koło niego. Zaczę od kręcenia gałkami nadawczo-odbiorczego aparatu radarowego H2S, nanoszenia na mapę w pięciominutowych odstępach pozycji "Sugar", później bliżej celu przejdę na swoje stanowisko.

Na wózkach podjeżdżają akumulatory. Na niektórych dispersalach grają już silniki.

- Prawy zewnętrzny - mówi Staszek.
- Prawy zewnętrzny - odpowiadają z dołu mechanicy.
- Kontakt!
- kontakt!

Silnik kicha parokrotnie. Po chwili pracuje równym rytmem na niskich obrotach.

- Prawy wewnętrzny!

Zakładam haubę ze słuchawkami intercomu. Pracują już wszystkie cztery silniki, porozumiewanie się bezpośrednio jest już trudne.

- Uwaga nawigator - odzywa się Staszek - sprawdzaj "Gee" próbuje lewy zewnętrzny.

Huk pracującego na maksymalnych obrotach silnika i w słuchawkach Mietek.

- "Gee" O.k. Jest to drugie urządzenie radarowe jakie mamy na pokładzie. Kolejno wszyscy meldują swoją gotowość do startu. Staszek włącza VHF. Rozmawia z kontrolą ruchu.

- Sugar, taxi clearance please over...

kontrola podaje ciśnienie barometryczne na lotnisku i

nad morzem Staszek ustawia wysokościomierz.

- Możecie kołować "Sugar" runway zero dziewięć, caution no wind!

- Może zmienić ją na jeden siedem? - Staszek wie co mówi. Jeden siedem jest dłuższy, ma tysiąc sześćset metrów rozbiegu a kierunek startu przy bezwietrznej pogodzie, nie ma znaczenia.

- Nie... Nie... Chrypie kontrola - karawan stoi przy zero dziewięć, kołujcie na zero dziewięć.

- Dobrze kołuję na zero dziewięć! - Trzaski w słuchawce ustają, Staszek wyłączył VHF. Mruczy pod nosem do intarcomu pokładowego.

- Karawan psia mać, żeby was pierwszym karawanem wywieźli! Mnie się nie spieszy.

Mechanicy wyciągają spod kół podstawki. Z przodu ktoś z obsługi wskazuje latarką drogę na perymetr. - Wykołowujemy o piątej pięćdziesiąt pięć czasu Greenwich. Powinno być jeszcze widno, jest szaro. Ale pogoda od rana cmentarna, jak w dzień Zaduszek, poprawia się. Mżawka przestaje siąpić, mgła ustępuje i powiewa lekki ledwo wyczuwalny wiaterek. Perymetr i runway wytyczają zapalone przed chwilą fioletowe i żółte światła. Okrążamy karawan i zatrzymujemy się w pozycji startowej. W słuchawkach Staszek.

- Sugar, take off clearance please, over!

- Clear to take off Sugar, good luck...

Karawan błyska zielonym światłem.

Startujemy.

Stoję za Staszkiem i kurczowo trzymam się za oparcie jego fotela. Czuję się niewyraźnie. Staszek to stary doświadczony pilot, który bez powodu nie traci rezonu. Znowu jego głos w słuchawkach.

- Pełny boost, pełny mały skok śmigła!

Siwik, nasz mechanik pokładowy, pcha osiem manetek do oporu. Staszek zwalnia hamulce. Z wyciem silników ruszamy do przodu. "Sugar" zaczyna nabierać prędkości. Prowadzony pewną ręką idzie jak po sznurku. Ale co z tego? Wolno! za wolno! Patrząc przez plecy Staszka na szybkościomierz. Strzałka porusza się w żółtym tempie. Czerwone ostrzegawcze światła, za którymi kończy się runway, rosną w oczach, a Staszek mocuje się dopiero z podniesieniem ogona. Jeszcze parę uderzeń ogonem w asfalt. W końcu ogon idzie w górę. "Sugar" zmienia teraz pozycję, niemal ryje nosem po runway'u. Strzałka szybkościomierza porusza się szybciej. Ale, do licha, to chyba już za późno!

- Emergency!!! - krzyczy Staszek do mikrofonu.

Siwik chwytá manetki boosta. Pcha je do przodu. Zrywa plomby bezpieczeństwa. Strzałki na obrotomierzach idą gwałtownie do przodu, zatrzymują się na liczbie 3500. "Sugar" łapie jakby drugi oddech. Rwie naprzód, wyje silnikami jak stado diabłów. Czerwone graniczne światła są tuż, tuż... Dalej - śmierć. Staszek dusi jeszcze, zaciska zęby. - Zaraz wylecimy w powietrze!..

Staszek ściąga ster. "Sugar" idzie parę metrów w górę, i przepada na czerwone światła! odbija się kołami podwozia...

- Kraksa!!! - dzwoni mi w uszach.

- Nie wyrwał! W ułamku sekundy - wyrwał. "Sugar" chwieje się, ale nie przepada. Jest w powietrzu. Czerwone światła uciekają do tyłu. Szorujemy jeszcze brzuchem kadłuba po żywopłocie ale i ten zostaje za nami. W słuchawkach - Staszek.

- Podwozie do góry. - Siwek przerzuca dźwignię na "up".

Prędkość wzrasta 110... 120... 130 mil.

- Klapy dziesięć - "Sugar" trochę przepada, wybrany sterem wraca do poprzedniego położenia. Idziemy w górę.

- Klapy do końca, obroty 2200. - Staszek wyciera pot z czoła. Taki start, jak się uda, kosztuje pięć lat życia. Jak nie, to całe...

- W słuchawkach trzaski i głos Staszka na VHF.

- Halo kontrola, mówi "Sugar". Niech was wszystkich weźmie cholera. Zmieńcie runway na jeden siedem! Pozabijacie ludzi... Chwila ciszy nikt się nie zgłasza.

- "Sugar", mówi "Sugar", odbiór do cholery!

- O key, "Sugar", o key słysze was, zmieniamy runway na jeden siedem. Good luck "Sugar".

W maszynie odprężenie.

- Musieli zmienić runway - odzywa się z tylnej wieżyczki ładek.

Pogasiliśmy im ogonem czerwone świece na zero dziewięć. Ale byśmy się rozłożyli...

Krazymy nad lotniskiem i dźwigamy się w górę. W intarcomie Mietek - Pilot - Za trzy minuty bierzemy kurs,

jeden osiem dwa, prędkość 175...

- Kurs jeden osiem dwa, biorę kurs jeden osiem dwa...

- Jeszcze nie teraz - protestuje Mietek - za trzy minuty.

- Polecę wolniej, mam przegrzane silniki - mówi Staszek i kładzie "Sugara" w skręt.

Mietek wzdycha.

- Dobrze niech ostygną. Ja też się przegrzałem i jestem cały mokry ze strachu.

W słuchawkach intercomu śmiech. Śmieje się cała załoga. Lecimy na wysokości 600 stóp kursem na Oxford, gdzie jest punkt zborny wyprawy. Tam dołączymy do innych maszyn, które wystartowały z kilkudziesięciu lotnisk położonych w różnych częściach Anglii i razem polecimy dalej nad cel. Wyglądam na zewnątrz. Nic nie widać, mgła. Sprawdzam tlen. W porządku. Dopływa po obu łącznikach Mietka i moim. Nie podusimy się jak za Kanałem zwiększymy wysokość do kilkunastu tysięcy stóp.

Nad Anglią przelatujemy bardzo nisko po to, żeby opóźnić wykrycie wyprawy przez niemieckie stacje radiolokacyjne. Zbliżamy się do Oxfordu. Mietek fixuje pozycję na "Gee". Jesteśmy pięć mil w lewo od miasta. Mój H2S to potwierdza. A więc wiatr, który "łapichmurka" podał nam na odprawie, jest do kitu. Nie pierwszy raz. Mało kiedy wiatr wieje na trasie tak jak sobie tego życzą nasi koledzy z sekcji "meteo".

Mietek ostro bierze się do obliczania siły i kierunku wiatru i po chwili włącza się do intercomu.

- Staszek, zmień kurs na jeden dwa dziewięć i trzymaj 190 na szybkościomierzu.

- Przyjmuje jeden dwa dziewięć. Siwek podrzuć węgla!

Po kilkunastu minutach na ekranie mojego H2S wchodzi Londyn - wielka zielona plama. Przelatujemy nad południowo-zachodnimi dzielnicami miasta, w pierwszej grupie 360 ciężkich bombowców. Takiej masy żelastwa i ludzi w powietrzu londynczy nie oglądali ani w czasie "Blitzu" ani później. Do tej pory wyprawy bombowe RAFu zawsze omijały obszar stolicy Imperium i nie wiedzieliśmy dlaczego tym razem brytyjskie dowództwo zrobiło wyjątek i zarządziło "defiladę" nad miastem. Trochę to niebezpieczne, bo gdyby tak dwa Lancastery zderzyły się i spadły, to Londyn miałby o jedną ulicę mniej. ale nic takiego się nie stało, i londynczy popijając w pubach piwo mieli powód do uciechy, że niemieccy piwosze w jakimś tam mieście takiej frajdy nie będą mieli.

Jeszcze trochę na ekranie H2S zarysuje się linia brzegu, który przekroczymy nad punktem wylotowym Beachy Head. Mgła rozproszyła się, widoczność jest lepsza. Dolatujemy do Kanału. W słuchawkach Staszek.

- Idziemy w górę, niech wszyscy włączą się do tlenu. Sprawdzam stanowiska.

- Tadek, słyszysz mnie?

- Słyszę...

- Lolek?

- Słyszę...

- Władek?

- Tak, słyszę...

Na razie łączność na pokładzie działa dobrze. Jak będzie później zobaczymy. Nasz "Sugar" po wejściu na wysokość dostaje chrypki. Nasze głosy w pokładowym intercomie zmieniają się w żabi skrzek. Może tym razem będzie lepiej. Przed startem elektryk zapewniał nas o tym.

Pod nami, zakrzywioną białą linią rozbitych przez skały falami, majaczy angielski brzeg. Potem oddala się i ginie. Mietek podaje nowy kurs. Strzelcy krótkimi seriami przestrzeliwiają kaemy. Nie mam nic lepszego do roboty i gapię się na swój H2S. Niebawem na ekranie błyska drugi brzeg kanału. Wchodzimy na kontynent w wyznaczonym miejscu dziesięć mil w prawo od Calais. W dole uśpiona Francja. Wojna odeszła dalej na wschód. Urwały się rozmowy. W uszach ściśniętych słuchawkami cisza. Czasem tylko padnie urwane słowo, uwaga, meldunek. Nad nami migocące gwiazdy i zimny sierp księżyca. Mija nas jakieś Lancaster. Zaświecił bladymi smugami z rur wydechowych i zniknął tak nagle jak się pojawił. Jesteśmy w powietrzu prawie dwie godziny - blisko połowa drogi do Poczdamu, łatwiejsza połowa jest za nami. Tadek z ogona narzeka na ogrzewanie. Włączył wtyczkę kombinezonu do gniazdka i nic... Ogrzewanie elektryczne nie działa. Mowi, że zamarzi na kość i że przy mikrofonie wisi mu broda z lodu półmetrowej długości. Lolek twierdzi, że, Tadek łże. Też ma brodę z lodu ale nie aż taką długą. Jesteśmy nad chmurami na wysokości siedemnastu tysięcy stóp. Silniki szumią jednostajnie. Zielenią się migotliwym odbłaskiem ekrany radarów. Niedługo przekroczymy linię

frontu. Wtedy tam na dole wstrząsną ziemią działa przeciwlotnicze, noc przetną oślepiające smugi reflektorów. Na mnie czarna. Zostawiam Mietka z jego zabawkami i przechodzę do swoich. Mam w swoim pomieszczeniu na nosie "Sugera" dwa kaemy. Komputerowy celownik bombardierski i różne przełączniki i przyciski do pozbycia się bomb. Znam je wszystkie na pamięć. Na wycucie dotyku. Patrzę przez plexi swojej kabiny-gondoli. W dole między przerwami w chmurach wije się nieregularny wąż błysków. To chyba front. Mietek potwierdza i daje poprawkę kursu na Magdeburg. Gdzieś pod nami pulsują ekrany niemieckich radarów, lufy zenitówek weszła niebo, wyją syreny alarmowe. Włączam się do intercomu.

- Artyleria na kierunku zero dziewiędziesiąt!

Przed nami zaczynają się pojawiać i ginać początkowo oderwane potem coraz liczniej czerwone rozkłiski. Dolatujemy do Magdeburga. Ogień artyleryjski rośnie i zaczyna się przybliżać. Reflektory chwieją się już nie pojedynczo ale całymi snopami. Wybuchy skupiają się i zacieśniają, dookoła "Sugara".

- Staszek, uwaga! Macają nas po ogonie - drze się ładek.

Bliskie eksplozje pocisków ciężkiej artylerii miotają nami na wszystkie strony. Staszek rzuca "Sugara" w uniki i schodzi z kursu o kilkadziesiąt stopni.

Staszek, trzymaj kurs, gdzie ty lecisz? - jest mi to bardzo na rękę, do celu jest blisko.

- Trzymam. Lepiej nie mogę. Sam widzisz co się dzieje.

Młyn! Ziemia iskrzy się. W powietrzu czerwono od wybuchów pocisków. Przechodzimy przez zapórę ogniową. W samolocie dym gęstnieje w oczy. W prawo od nas jakiś Lancaster w reflektorach. Błysk, chmura dymu i spadające w dół czerwone strzepy. Chyba dostał w komorę bombową. Jeszcze parę uników i w powietrzu robi się trochę więcej miejsca. Wchodzimy w spokojniejszą strefę. W intercomie Staszek.

- Mietek! - Podaj kurs, nawigator kurs!...

Mietek nie wie dokładnie gdzie jesteśmy.

- Zaraz - woła do mikrofonu.

Pracuje teraz z olbrzymim napięciem. "Gee" prawie nie działa. Jesteśmy setki kilometrów od stacji nadawczych, do tego Niemcy zakłócają odbiór. Ekran kołysze się, pływa, pulsy fal radiowych pokazują się i giną... Z pomocą przychodzi mu Jaciów. Daje mu namiary ze swego Marconiego. "Gee" w normalnych warunkach jest pewniejszy od namiarów Władka, ale kto naprawdę głodny wybrzydza przy stole? Mietek wykreśla namiar Władka na Mercatorze, liczy na suwaku, a potem trochę na wyczucie podaje poprawkę kursu.

- Pilot, kurs zero osiem cztery.

Staszek pochyla "Sugara" na lewy płąt i powtarza.

- Przyjmuje zero osiem cztery.

- Dobrze, ale leć najszybciej jak możesz, bo wygląda na to, że wleczemy się na końcu grupy.

- Nnie też tak się zdaje. - mówi Staszek - Siwek pełne obroty. Siniki zaczynają grać o ton wyżej. Przed nami czysto. Bezchmurnie. Prognoza "meteo" była tym razem dobra. Patrzą na zegarek. Za pięć minut "pathfinderzy"

powinni otworzyć atak celu markerami. Lecą na czole wyprawy. Pięć załóg, specjalnie wyposażonych w jakieś ultranowoczesne przyrządy nawigacyjne, o których wiemy tyle, że są tajemnicą.

W załodze bombowca bombowym nie ma funkcji ważnych i mniej ważnych, lepszych i gorszych. Od startu do lądowania dowodzi pilot, nad celem bombardier, po drodze nikt i wszyscy... Jak się trafi wyśliwiec, to strzelcy, jak zawiedzie radar urasta, funkcja radiotelegrafisty, jak silniki - mechanik pokładowy, a dobry nawigator jest w załodze na wagę złota.

Zgłosiłem się intercomie.

- Staszek, włącz VHF na kanał "pathfinderów". Zaraz powinni podać wiatr do bombardowania.

Odbezpieczam bomby i ustawiam dystrybutor - chytry mechanizm, który rozrzuci moje bomby tak, żeby się nie zmarnowały i wyrzuciły na ziemi jak najwięcej szkody. Teraz kolej na komputer, kręcę gałką i nastawiam współrzędne do bombardowania. Komputer je przetworzy i przekaże na żyroskopową głowicę celownika. Technika zabijania z powietrza zaszła już bardzo daleko, a ja tym razem mam konkretne zobowiązanie. Tadek Najberg, rodem z Warszawy, który wykrzywia się z obrzydzeniem na słowo Berlin, jak mnich-pustelnik na słowo burdel ostrzegł mnie, że mi łeb ukreśli jak się pomylę o sto metrów. On ma swoje porachunki ze szkopami, ja w swoim, rozrachunku mam ich mniej, ale nie pomylę się. W słuchawce trzaski, oderwane słowa, brzęczenie sygnałów Morse'a. Przez zgiełek przebija

się głos:

- Wind velocity three... three... six... forty five knots... I repeat... three... three...

Przed nami las reflektorów. Błyski artylerii. Strzelają wszystkie rodzaje dział. Sznury czerwonych paciorków z małokalibrowek mieszają się z wybuchami pocisków średniego kalibru. Strzela najcięższa artyleria. Przecinając noc do stratosferycznych wysokości potężne fioletowe reflektory. Wszystko co zostało jeszcze w Tzeciejskiej Rzeszy, broni Berlina, Nie ma gdzie robić uników. Lecimy prosto przed siebie.

Leżę nad celownikiem i wypatruję oczy.

W intercomie Mietek!

- Za dwie minuty "pathfinderzy" powinni otworzyć atak! Wiesiek uważaj z lewej. Zdaje się, że cel będziesz miał trochę z lewej.

- Wloką się te dwie minuty sekunda po sekundzie. Patrzę w dół aż przed nami posypią się z powietrza czerwone i zielone markery. Oślepiłem na wszystko inne, nie widzę artylerii i reflektorów. Czekam na markery. Wskazówka sekundnika idzie do przodu. Upłynęły już dwie minuty...

W intercomie Staszek:

- Nawigator. Do diabła. Gdzie jesteśmy?

Wiem wybuch. Gdzieś pod samym kadłubem. Potrząsa nami nieprzytomnie. Ale są, sypią się markery... Najpierw czerwone... Potem zielone... Nie po lewej stronie, jak przewidywał Mietek, lepiej prawie na wprost przed nami.

- Wiesiek widzisz?

- Wioze - odpowiadam. - Staszek popraw kurs pięć w lewo!

- Staszek!!! - przekrzykuje mnie z ogona Tadek - Uwaga! Nad nami Lancaster otwiera drzwi bombowe... Unik w prawo! Staszek kładzie "Sugera" na skrzydło.

- Staszek, gdzie ty lecisz do cholery!? - Wydzieram się do mikrofonu. Trzydzieści w lewo! Wroc na kurs! Trzydzieści w lewo! Pod nami setki dział... świateł... wybuchów. Atak otwarty. Widać już pożary. Noc sztucznie iluminowana. Czerwieni się, zółci, zieleni, błyska. - widok jak kto chce bajkowy.

- Bombs door open!

- Bombs door open - powtarza po mnie Staszek i poprawia kurs.

- Steady... steady... - przechodzę na zdławiony szept - trochę w lewo... dobrze... trzymaj... trzymaj!

Reichstag przesuwą się w moim celowniku wzdłuż czerwonej linii, dochodzi do krzyżyka. To jest to!

Zbliża się decydujący moment. Na ten moment pracowali wszyscy: ci, którzy zostali w bazie i teraz niepokoją się o nas, my, którzy zamknięci w pudle maszyny wisimy w ogniu artylerii i reflektorów nad celem, wywiad, który nie spał wtedy, kiedy myśmy spali i długi łańcuch ludzi kończących się na marynarzach tankowców, którzy dowieźli na wyspę paliwo.

W krzyżyku celownika Reichstag. Teraz!!! Naciskam przycisk wyrzutni. Z karriersów odrywają się bomby, jedna

po drugiej, "Sugar" pozbywa się ciężaru, drży i idzie w górę. Spoglądam na tablicę kontrolną. Tablica jest ciemna, nie pali się na niej żadne światło. To oznacza, że można zamknąć klapy komory bombowej. Odmawiam za Staszkiem dalej swoką litanie.

- Bombs door closed...

- Bombs door closed...

Schodzimy z celu, otoczeni przez ciemne obłoczki eksplodujących pocisków, teraz w poświacie pożarów wyraźnie widoczne. Wybuchają niepokojąco bliskie, potrzęsają nami, pryskają gradem odłamków. Włącza się Mietek.

- Pilot kurs 247... dwa... cztery... siedem...

Staszek milczy. Miota "Sugarem" po niebie w lewo i prawo - po chwili mówi, - Teraz nie mogę. Uważajcie na inne Lancastery! Wychodzimy z zasięgu reflektorów, oślepieni ogniem błysków i pożarów. przed nami noc. Ciemność, przez którą przebijają się jednocześnie setki bombowców. O zderzenie nie trudno. Wystarczy chwila nieuwagi. Nikt niepotrzebnie nie włącza się do intercomu. Lecimy w skupionej ciszy. Później rój Lancasterów schodzących z celu rozrzedzi się, będzie bezpieczniej. Za nami Berlin. W nim pożary i śmierć. Fajerwerki stolicy, tysiącletniej rzeszy przyświecają nam długo w drodze powrotnej. Niełatwo jest ugasić palący się asfalt. Fuhrer z wrzaskiem zapewniał Niemców, że na Berlin nie spadnie żadna bomba. Spadły ich tysiące. W tym kilkanaście moich większych, a razem z małymi zapalającymi - ze setka. Dużo

czy mało? Ile bym ich nie rzucił, zawsze byłby za mało. Godzinę temu zeszedliśmy z nad Berlina. Lecimy kursem na Strasburg. W intencjach Lolek mówi, że nad Berlinem się przegrzał, a teraz zeszytniał z zimna. Że na rozgrzewkę chętnie rąbnąłby parę serii ze swoich kaemów, ale nie ma do czego.

Słyszając to Tadek ożywił się.

- Staszek, zjedź w dół do kosiaka, może nam się coś trafi?

- A co nam się trafi?

- No co? Krowa, lokomotywa, wszystko jedno co!

- Powarjowaliście?

Po drodze przelatujemy nad światłami okalającymi obozy koncentracyjne. Poza zasięgiem naszych bomb, siepacze zbrodniarza z wąsikiem, ciągle jeszcze mordowali w nich swoje ofiary.

Staszek nie wiedział, że ma tam swoich najbliższych, zamienionych w ludzkie szkielety. Gdyby wiedział, pewno nie przywieźlibyśmy niewystrzelonej amunicji do bazy.

Lecimy, nic się nie dzieje, szum silników kołysze nas do snu. Staszek przerywa sielankę:

- Nie śpijcie, to coś wam powiem...

Nikt nie spał i wszyscy byli ciekawi.

- Wiecie co? Tak sobie myślę, że zwiedzanie Berlina po wojnie będzie zabawne.

Lolek chce wiedzieć, dlaczego niby zabawne?

- Będzie łatwe - mówi Staszek - Pojedziesz na Alexander Platz, podłożysz sobie gazetę, staniesz na

gazecie...

- No i co, że stanę?

- No i zobaczysz cały Berlin...

W intercomie śmiech.

Przekroczyliśmy Ren. Jaciów pokręcił swoim Marconim i złapał Londyn. Słuchamy pierwszego wydania porannego dziennika BBC. Spiker mówi słuchaczom "dzień dobry", po tym czyta tekst:

"Ubiegłej nocy RAF atakował Berlin. Osiemset sześćdziesiąt Lancasterów zrzuciło na wyznaczone cele przeszło pięć tysięcy ton bomb burzących i zapalających. Powstały liczne, nie ugaszone do tej pory pożary. Straty nieprzyjaciela są duże. Straty własne nie są jeszcze znane..."

przechodzimy do innych wiadomości dnia. Według niepotwierdzonych oficjalnie informacji, w Polsce został aresztowany generał Okunicki, ostatni dowódca rozwiązanej w styczniu polskiej armii podziemnej. Wraz z nim zostali aresztowani przywódcy tego kraju z różnych ugrupowań politycznych. Okoliczności, w jakich nastąpiło aresztowanie i miejsce pobytu aresztowanych, nie są znane.

- Cholera. Zaklął Lolek.

- Skurwysyny! poprawił Tadek.

To nie była dobra wiadomość. Nasze sprawy, po Jałcie skomplikowane, komplikowały się dalej. Zamilkliśmy. Pierwszy odezwał się Staszek.

- Mietek, mów gdzie jesteście.

- Nie słyszałeś? W gównie!

- To ja wiem bez ciebie, ale bez polityki?

- Za pół godziny przekraczamy francuski brzeg Kanału.

Za nami niebo zaczyna jaśnieć. Schodzimy z wysokości. Przez nabrzmiałą znużeniem ciszę sączy się monotony szum silników. W świetle wschodzącego dnia gaśnie fosfor zegarów pokładowych. Z pierzchających ciemności wyłaniają się, z boku i z przodu, Lancasterzy. Nie widząc się, byliśmy cały czas razem. Wracamy razem. Nie wszyscy. Straty, jak powiedział spiker BBC, nie są jeszcze znane. W dole nad kanałem opalizuje przeźroczysta mgiełka. Bieli się nieśmiało w pierwszym słońcu Dover. Mietek podaje kurs do bazy. Mgła ustąpiła, nad Anglią przebiła się wiosna i pogoda, na którą czekaliśmy.

To wszystko było kiedyś, w niedawnej i zarazem odległej przeszłości. Stałem teraz na pokładzie "Empress of... zegoś tam" i wpatrywałem się w mrok nocy w oczekiwaniu na światło latarni morskiej w Rozewiu. Bornholm chyba zostawiliśmy za sobą. "Empress" wlokła się jak zaraza. Stałem na pokładzie długo, ale nie doczekałem się. Niewidoczny brzeg nie rozbliyskał światłem latarni. W końcu zrezygnowany, już dobrze po północy, zszedłem pod pokład. Obudziłem się na redzie w Gdyni. Przetarłem oczy i wybiegłem na górę. "Empress" kołysała się lekko i w asyście dwóch holowników płynęła w stronę wejścia do portu. W oddali Gdynia bielila się tynkami zabudowań, port zaśmiecony tu i ówdzie sterczącymi z wody wrakami, kłaniał się żurawiami dźwigów, rozpoczął dzień gwizdami holowników i krzykiem mew. Od lądu powiewał ciepły wiatr, wstał słoneczny czerwcowy dzień. Moj pierwszy w kraju od trzydziestego czerwca czterdziestego pierwszego roku, kiedy o zmierzchu smętnie odprowadzałem wzrokiem opuszczoną strażnicę KÖPu w drodze na wschód i bardzo niepewne jutro. Koło się zamknęło. Wróciłem z wojny cały, zdrowy i o lata starszy.

- Panie, te mewy tutaj jakies mniejsze od angielskich, pewno nie mają co zrec cholery!

- Co pan mówi? - spojrzałem na "ornitologa". Obok mnie stał nieogolony od paru dni repatriant w mundurze szeregowca, palił papierosa i odpluwał żółtą ślinę przez szczerbę w przednich zębach.

- Mówię - powiedział drapiąc się za uchem - że

mniejsze one, bo zreć nie mają co...

- Są mniejsze, ale dlatego, że to taka rasa, gatunek. Rozumie pan? - powiedziałem zdawało mi się, że rezolutnie.

- Gatunek pan mówi - uśmiechał się chytrze - a ja tam wiem swoje, nie mają co zreć to i nie rosną. Ot co!

Mój rozmowca był wysoki i krzepki. Miał z metr osiemdziesiąt wzrostu, ręce, w których mógł dusić po parę wróbli naraz i nie wyróżniał się przesadnie rozgarniętym wyglądem. Ktoś mądry machnąłby ręką na tego znawcę mew i by sobie poszedł. Nie byłem tym kimś i wdałem się w dalszą rozmowę o mewach.

- A osioł na przykład? Nawet jak zre sam owies to i tak konia nie przerośnie. No i co?

- Panie - uparł się - a ja mówię, nie żrą, to nie rosną!

Mój wywód, w którym posłużyłem się osłem, nie poskutkował. Mogłem na tym skończyć rozmowę, ale nie skończyłem.

- A pan przed wojną bardzo się obierał?

- A co panu do tego? - obruszył się. Nie głodował ja, ale się nie przelewało.

- Jak tym mewom?

- Nu tak. - zgodził się niechętnie.

Co dlaczego pan duży wyrósł, duży i głupi? - zapytałem.

- Panie rozsierdził się - sam pan durny! Ja takich mądrych jak pan już widział...

To szkoda, że się pan od nich niczego nie nauczył.

- Mnie takie nie potrzebne - powiedział i splunął pogardliwie.

- Tak pan myśli i dlatego gada pan głupstwa. Mewy wszędzie mają co jeść. Jakby tutaj nie miały, to poleciałyby gdzie indziej.

- A gdzie? - zainteresował się.

- A do Rosji albo do Szwecji.

Wyszczerzył zółte zęby.

- Do Rosji pan mówi?

- Dlaczego by nie. Do Rosji.

- A skąd pan taki mądry?

- Z Rosji z komsomołu - zażartowałem - słyszał pan o komsomole?

- Nuz ja głupi - rąbnął się pięścią w czoło - że ja też odrazu się nie domyślił!...

- Czego? - zapytałem. Nie wiedziałem czego się nie domyślił.

- Czego, czego? już ja wim czego!

- Nic pan o mnie nie wie.

- Co mam nie wiedzieć - przerwał mi - w Rosji ja był, takich agitatorów widział. Wszystkie one mądre aż strach. A zreć nie mają co.

- Jak te mewy?

Pogroził mi ręką. - Już ja bym z panem inaczej pogadał. Ale nie czas teraz. - Splunął i odszedł.

I w ten sposób padłem ofiarą w obronie polskich mew. Poszło o ptaki, mogło pójść o wszystko inne. Spory między

rodakami miały wtedy to do siebie, że rozpoczęte o byle co, zazwyczaj kończyły się na polityce.

Około południa lokomotywa przyciągnęła pod "Empire" długi sznur pustych wagonów towarowych. Przy wagonach stali młodzi chłopcy w polskich mundurach, roześmiani i przyjaźni, z rozkazu jakiegoś durnia z nasadzonymi na karabiny bagnetami. Nikt nie spodziewał się kwiatów w lufach karabinów, ale po co zaraz bagnety? Po co i na kogo? Na nas repatriantów? Orkiestry nie było. Dzień, który rozpocząłem w dobrym nastroju, psuł się.

Zaczął się wykrętowywanie. Na mostku kapitańskim stanął oficer łącznikowy, Polak, który sam do powrotu się nie kwapił i trudnił się odprowadzaniem repatriantów do kraju. Odchrząknął i odezwał się przez megafon:

- Uwaga. To co powiem jest bardzo ważne. Jesteście jeszcze na terytorium Wielkiej Brytanii. Kto chce może ze statku zejść na ląd, kto nie chce, może nie schodzić. Ale uwaga. Ten kto postawi jedną nogę na molo i cofnie się, może jeszcze wrócić na pokład, ten kto na lądzie stanie dwoma stopami, zostaje w Polsce. Macie jeszcze pięć minut czasu do namysłu!

- Cyrk robią. - powiedział stojący obok mnie cywil.

- Cyrk - zgodziłem się i ciekaw jestem czy znajdzie się jakiś błazen, który postawi jedną nogę na lądzie i polezie z powrotem na statek.

- O to bym się nie założył.

- A pan schodzi?

- Tak, schodzę - roześmiał się - i żeby w ostatniej

chwili nie stchórzyć, skoczę na molo na obie nogi.

Rozmowę przerwał nam głos w megafonach. Ten sam co poprzednio.

- Pierwsi schodzą ślepi i gruźlicy...

- A to cham! - oburzył się cywil, - ślepi i gruźlicy! Nie mogło to być powiedzieć, niewidomi i chorzy?...

Inwalidzi, którzy sporą gromadką stali przy pomoście, zaczęli głośno odgrazac się temu na mostku.

- A ty skurwysynu, łobuzie, gówniarzu!...

Okaleczeni przez wojnę, przez sowieckie łagry z za kręgu polarnego, przez piekło, które tam przeżyli, którego sam diabeł lepiej by nie wymyślił, przeklinali bękarta przy mikrofonie.

Uciszyło się, kiedy ostatni inwalida został sprowadzony na molo. Potem zaczęli schodzić ci, których wojna potraktowała łaskawiej i wrzawa ucichła. Zeszli prawie wszyscy. Prawie, bo byli i tacy, którzy na ostatnim schodku odtańczyli kroczi foxtrota, - do przodu i do tyłu. Na "Empress" zostało stadko podróżnych, które płynęło do Gdyni i dopłynęło, ale kiedy dopłynęło, rozmyśliło się, że wysiądzie tam, gdzie wsiadło.

W wagonie poczęstowałem "Playersem" żołnierza, który nas konwojował. Przyjął papierosa z uśmiechem i powiedział, że zapali później. Na później dałem mu paczkę. Wziął i zaznaczył, że nie wolno mu niczego od nas przyjmować, ale że on ma to w dupie, bo nie widzi w tym nic złego. Kiedy to powiedział, bagnet na jego karabinie przestał mnie niepokoić.

Wysadzili nas za druty do obozu, na Kamiennej Górze. Nie pierwszy raz znalazłem się za drutami i nie wpadłem w panikę. Było mi jednak głupio, że tym razem te cholerne kolczaste druty były polskie, czyli moje. Byliśmy odgradzeni i po naszej stronie szpalerem stali młodzi żołnierze, tak jak w porcie, najeżeni bagnietami.

Na zewnątrz druty oblepiał tłum cywili: żony, narzeczone, dzieci z Polski, jak długa i szeroka, przybyli na nasze powitanie. Żołnierze wyglądali groźnie. Ale co z tego?

- Zenek, leć do ojca i zanieś mu kiełbasę.

I matka ze śmiechem podnosiła druty, popychając pacana, a ten szczęśliwy nurkował pod łożami zagradzających mu drogę wartowników, leciał do ojca z kiełbasą... Jeden, drugi, trzeci...

I co takim zrobisz? A nic! Żołnierze, kiedy spostrzegli, że tej bitwy nie wygrają zarzucili broń na ramie i zaczęli się śmiać.

Panie chorąży, niech się pan poczęstuje kiełbasą, proszę, suszona, prosto z Krakowa...

- Panowie, moja smarkula przytaskała flachę. Napijemy się za powrót. Na zdrowie!...

Byłem w Polsce i nie chciałem być nigdzie indziej. Częstowany piłem prosto z butelki, przegryzałem suchą krakowską i gdybym miał broń strzelałbym na wiwat. Ten dzień był dla mnie namiastką tego, czym dla innych był kiedyś dzień zwycięstwa. Było mi dobrze.

Następnego dnia znaleźli się jednak tacy, którzy

zatroszczyli się o to, żeby z nadmiaru szczęścia nie przewróciło mi się w głowie. Kończyłem właśnie śniadanie, wyborny razowy chleb ze smalcem popijany zbożową kawą – razowego chleba od dawna mi brakowało. W Rosji było go za mało i był gliniasty. W Anglii nie było go wcale. Przez megafony obozowe rozlegały się głos nakazujący wszystkim repatriantom zgłoszenia się do hangaru numer dwa. Udałem się tam bez zbytniego pośpiechu. W przestronnym budynku, w parometrowych odstępach były ustawione stoliki. Za każdym z nich siedział młodszy ranga oficer. Do stolików, których było kilkanaście, ustawiły się kolejki repatriantów. Stałem w pierwszej z brzegu za jakimś kapralem.

– Co tu się dzieje? – zapytałem dość głośno.

– Panie, ciszej do cholery – szepnął kaprał, – bezpieczeństwa.

– Co to takiego? – zdziwiłem się i ton wyżej.

Głowy stojących w ogonku, jak pociągnięte sznurkiem, odwróciły się w moją stronę. Porucznik siedzący za stolikiem poruszył się, zabrzączał medalami, których miał sporo, i spojrzał na mnie tak, jak by chciał zapamiętać naiwnego durnia, który śmiał wypowiedzieć głośno "bezpieka". Przeprosić go nie mogłem, bo mógłby uznać to za kpiny. Lepiej było zmienić kolejkę, ale na to jakoś się nie zdobyłem. Zostałem w tej, w której stałem. Porucznik rozpoczął rozmowę ze wszystkimi od pytania, które zadawał per "wy".

– Dlaczego tak późno wróciliście? – Unosił przy tym na ofiary oczy groźnie z autorytetem władzy.

Ci z kolejki, jedni jakając się lekliwie, inni nie, opowiadali same kłamstwa.

- Czekałem na rozwód, panie poruczniku.

- Byłem chory, leczyłem się w szpitalu.

- Uczyłem się, nie chciałem przerwać szkoły.

A on łaskawie ich rozgrzeszał.

- No i co, dostaliście rozwód? to dobrze. Użenicie się w Polsce. Nam potrzebny jest, no ten, sami rozumiecie, narybek.

- Wyleczyliście się? to bardzo dobrze. W Polsce potrzebujemy dużo zdrowych obywateli. Roboty u nas nie brakuje.

- Skończyliście szkołę? Od przybytku głowa nie boli, dobrze zrobiliście, przydadcie się nam.

Kolejka posuwała się do przodu, byłem coraz bliżej stolika niezdecydowany, co powiem temu z medalami. Spojrzał na mnie bez cienia sympatii, prawie z obrzydzeniem.

- Dlaczego tak późno wróciliście?

żeby się nie wyróżniać - odpowiedziałem:

- Czekałem na rozwód.

- A kim była zona? - przyglądał się podejrzliwie.

- A czy muszę się z tego tłumaczyć? - zapytałem.

- Ja się pytam! - powiedział z pogróżką w głosie.

- Żydówka, ojciec rabin - palnąłem, żeby coś powiedzieć.

Zamrugał oczami jak Murzyn, któremu ktoś wytyka kolor skóry.

- Wy sobie pozwalacie na żarty, których my tutaj nie lubimy.

- Pytam - kim była żona!

Ten porucznik był Żydem. W dywizjonie miałem kolegów Żydów, nie gorszych Polaków od siebie, którzy latając nad Niemcami ryzykowali podwójnie. To byli moi przyjaciele i wspaniali chłopcy. Ten był inny.

- Już powiedziałem. Jak pan nie wierzy, to niech pan sprawdzi.

W tym co powiedziałem była część prawdy. Po wojnie poznałem w Manchesterze Sally, Żydówkę. Ładną i mądrą dziewczynę w moim wieku, z którą byłem bardzo zaprzyjaźniony. Jej ojciec, po prawdzie kupiec nie rabin, po żydowsku tolerancyjny, przymykał oczy na nasz romans.

- Sprawdzimy! - powiedział. Namyslał się nad czymś, i po chwili wrócił do pytań. - No dobrze, a jak wyście się dostali do Anglii?

- Przez Rosję.

- Przez Związek Radziecki - poprawił mnie. I co wyście tam robili?

- Siedziałem w kryminale.

Ta odpowiedź najbardziej mu się spodobała. Uśmiechnął się nawet.

- A za co byliście aresztowani?

- Za przynależność do tajnej organizacji, posiadanie broni i zamachy terrorystyczne.

Rozchmurzył się zupełnie. Spojrzał na mnie bez mała życzliwie, jak kupiec na dobrego klienta.

- Ciekawe, bardzo interesujące, a co było dalej? Jaki dostaliście wyrok?

- Abyło się bez sądu i wyroku, zostałem zwolniony na podstawie amnestii. - To była prawda. W szczególności swojego zwolnienia z więzienia na Uralu wolałem się nie wdawać.

Pokiwał głową, jakby się domyślał co powiem dalej.

- Ach tak - powiedział z pogrdliwym uśmiechem - zwolnili was i uciekliście razem z Anderssem do Iranu.

- Nie! generał Anders wyjechał po mnie!

Zmarszczył brwi niezadowolony z odpowiedzi.

- A w Anglii byliście w RAFu - zydłaczy?

- Nie, w PSP.

- Gdzie? - Nachylił się do mnie z nad stolika poruszony tym, co usłyszał. Ten skrót go zainteresował. Nie wiedział, co oznacza i pewnie myślał, że ma coś wspólnego z jakąś służbą w rodzaju tej, jakiej sam się poświęcił z tą różnicą, że wrogiej z przeciwnego obozu.

- Nie rozumiem. Wyście nie byli w RAFu?

- Nie, nie byłem w RAFie - poprawiłem go.

- A co to było ten PSP?

- Polskie Siły Powietrzne na Zachodzie.

Rozczarował się. Liczył na coś więcej. Zły jak posokowiec, który zgubił ślad rannego jelenia, wynotował na kartce papieru moje dane osobiste i powiedział.

- Dobrze, możecie iść, tylko - uśmiechnął się zjadliwie - nie próbujcie tu rozrabiać, bo to się źle dla was skończy.

Jakim prawem ten facet mnie straszy - pomyślałem.

- Wypraszam sobie takie uwagi, panie poruczniku! Nie przyjechałem tu rozrabiać, przyjechałem do swego kraju pracować i jak trzeba będzie, to o suchm chlebie.

Monoplista na polski patriotyzm nic nie powiedział. Wziął do ręki moją kartę i coś zanotował.

- Możecie iść.

Poszedłem, najpierw upewnić się, czy w innych kolejkach też kazali tłumaczyć się pasażerom "Empress" z tego, że późno wrócili. Dowiedziałem się, że nie kazali. Pytania o powód późnego powrotu zdarzały się, ale były wtrącane do rozmów mimochodem w sposób nie budzący sprzeciwu tych, którzy na nie odpowiadali.

Pytani ośmielali się nawet na szczere odpowiedzi.

- Nie wróciłem wcześniej, bo się bałem.

Z tego wynikało, że porucznik z mojej kolejki, z nadmiaru poczucia władzy i chęci wybicia się w służbie, zostawił swoich kolegów z za innych stolików daleko w tyle. Nie załował bata na repatriantów i rwał przed siebie, nie oglądając się na nic. Rwał po nowe medale na własną chwałę, no i ojczyzny. Władza upaja, jednych więcej, innych mniej, głupich bardziej niż mądrych. To stara prawda. Ale "post nubila Phoebus" - po chmurach słońce. Z zimnego prysznic, który mi urządził nadgorliwiec z medalami, otrząsałem się zaraz po obiedzie. Bez przeszkód otrzymałem kartę repatriacyjną, stwierdziłem z zadowoleniem, że z przywiezionego mienia nic mi w transporcie nie zginęło, przeszedłem przez odprawę celną. Niedługo po tym w obozie odszukał mnie

Jurek.

Odziany w mocno podniszczony battledress, nie wiedziałem czy z nędzy czy z mody, palił jednego "Triumfa" po drugim i trajkotał, jak karabin maszynowy. Zadawał mi pytania, na które sam odpowiadał. Czekałem, żeby się trochę zmęczył. Doczekałem się. Jurek umilkł na chwilę, łapał jakby drugi oddech i byłem bliski dojścia do słowa, ale uprzedził mnie:

- A teraz słuchaj mnie - powiedział idiotycznie, bo do tej chwili nie robiłem nic poza tym, że słuchałem tego, co mówił. Zostaniesz na Wybrzeżu dwa dni i potym pojedziesz do domu. Twoja mama wie, kiedy na ciebie oczekiwać. Bagaz zostawimy w przechowalni na dworcu w Gdyni, odbierzesz manele przed odjazdem.

Chciałem się wtrącić, ale nie dopuścił mnie do głosu.

- Nie przerywaj mi. Nic nie wiesz, więc słuchaj. Pociąg do Krakowa podstawiają w Gdyni. W Sopocie już do niego nie wsiądziesz.

- Niby dlaczego nie wsiądę?

- Człowieku - uśmiechnął się z politowaniem - nawet przez okno nie wsiądziesz!

- Przez okno? - zdziwiłem się.

- Tak, przez okno - potwierdził - właśnie przez okno! Nie wsiadałeś nigdy do pociągu przez okno?

- Nie wsiadałem.

- To nic nauczysz się. Nie takie to trudne. U nas siwe staruszki to potrafią.

- Duzo jest takich? - zapytałem z nadzieją, że się

przesłyszałem.

- Sporo. Ale uważaj z nimi. Najczęściej jak zaczniesz takie podsadzać, to sam nie wsiądziesz.

- A jak jest w kraju? no tak w ogóle?

- Jest fajnie. Ruszaj się. Idziemy!

Wzieliśmy mój kufer i walizki i wyszliśmy za bramę obozu. Ulica była prawie pusta i ogarnęły mnie niejakie wątpliwości, czy naprawdę jest fajnie:

- Jak dostaniemy się na dworzec? Jest w pobliżu jakiś postój taksówek?

Jurek spojrzał na mnie z niesmakiem.

- Postoje są, ale łatwiej na nich złapać trypra, niż taksówkę - pokręcił głową. - Widzę, że będziesz musiał tutaj dużo się nuczyć.

Na dworzec poszliśmy za ogumionym wozem zaprzężonym w odpasionego konia brązowej maści, którego właściciel zgodził się zabrać mój dobytek za paczkę angielskich papierosów. idąc za furmanką rozglądałem się ciekawie. Gdynia była powabna. Z reddy portu bieliła się jak Casablanka, przez zbliżenie nic nie traciła. W mieście śladów wojny nie było dużo. Szliśmy za wozem, gawędząc.

- Jurek , a co ty robisz?

- Jak to co robię?

- No, uczysz się czegoś? Pracujesz?

- Na razie nic.

- To z czego żyjesz?

- Z ciotki. - powiedział na odczepnego.

Ciotka Jurka, pani Władysława w czasie okupacji

ukrywała żydowskie dziecko. Po wojnie z potrzeby czynienia bliźnim dobrze, przygarneła na jakiś czas Jurka. Była osobą samotną, przy tym pogodną i odważną. Chroniąc przed śmiercią nie aryjską sierotę igrała z losem, przygarniając Jurka, kosztownego sistrzeńca, ze swoją skromną pensją urzędniczką Gdańskiej Dyrekcji Odbudowy, ryzykowała wprawdzie mniej, ale nie aż tak mało.

Jurek lubił towarzystwo, a że nie było go stać na kawiarnie i knajpy, przyprawdzał więc swoje znajome i kolegów do ciotki, którą przy takich okazjach nazywał ciotunią. Pani Władysława broniła się przed gośćmi Jurka, wiecznie głodą zgrają studentów, byłych konspiratorów i partyzantów, na tyle jednak nieskutecznie, że ich grono zamiast maleć, powiększało się. Wypiekała ciastka, podawała zbożową kawę w starej saskiej porcelanie, i rozlewała przynoszone przez młodzież napoje wyskokowe do kryształów, pomietających lepsze trunki od owocowego wina i coctailu pod nazwą "Tata z Mamą". Do Sopotu dojechalismy pociągami. Nie za wygodnie. Zgnieceni w tłumie deptających po nogach pasażerów. Pani Władysława nie widziała mnie od lat trzydziestych, kiedy to odwiedziła w Krzenieńcu swoją siostrę, mamę Jurka, Janusza i Zbyszka, trzech wyrostków, którzy przedstawili mnie jako swojego przyjaciela za poważnego na znajomość z nią, nudną starszą panią, która w gościńcu przywiozła im ciastka od "Gajewskiego" z Warszawy i nie wiedziała, czy Kolczyński to bokser czy piłkarz. Przyjrzała mi się i powiedziała:

- Świetnie wyglądasz!

Zamiast się ucieszyć, że świetnie wyglądam, poczułem się zawstydzony tym, że nie jestem podobny do wizerunku bohatera powracającego z wojny, który jako wzór utkwiał mi w pamięci z lat dzieciństwa. A niestety nie byłem podobny do napoleońskiego żołnierza, zjawy z odwrotu z nad Berezyny, w strzepach munduru i zakwawionych szarpiach, sianającego się z kosturem w rękę po zaśnieżonych polach i leśnych wertepach. Gwoli prawdy parę lat wcześniej na Uralu byłem bliski osiągnięcia tego wzoru, później jednak zmieniłem wygląd i wróciłem w formie, jak na bohatera bardzo podejrzanej. Podejrzanej, bo chociaż są wyjątki, to jednak robotnik bez odcisków na rękach i żołnierz frontowy bez blizn mało kiedy są wiarygodni. Tak też pewno myślała ciotka bo kręciła mną, oglądała mnie z tyłu i przodu, podejrzliwie jak kupiec towar. Powtarzała:

- Świetnie Wiesiek wyglądasz, naprawdę świetnie.

Przez chwilę żałowałem, że nie udało mi się wrócić z wojny z widoczną blizną na pysku, urwanym uchem czy czymś takim. Przeciągające się oględziny wprawiły mnie w coraz większe zakłopotanie. Jurek, nie wiem czy dlatego, że był głody czy z samej chęci przyścia mi z pomocą, odezwał się:

- Ciotek. Nie ma oglądania Wieśka za darmo, wyciągnij na stół, co tam masz.

Pani Władysława spojrzała na Jurka z wyrozumiałością dobrej ciotki, ale bez matczynej czułości, i poszła do kuchni, czyli za kotarę, która pokój był przedzielony. W dzień do kuchni nikt nie miał prawa wstępu, w nocy wstęp

miał Jurek, który w niej spał. Siedliśmy do stołu, na którym wiodła prym karafka nalewki wiśniowej. W jej cieniu stała puszka rybek w sosie pomidorowym, popularnych wtedy "byczków" i nie wiele więcej. Wypiliśmy i rozmowa, - jak należało, - zesłała na Anglię i Rosję, i na to co lepsze co gorsze. Wytrwale utrzymywałem pogląd, że nie ma o co się kłócić i w czym wybierać, bo jedno gorsze od drugiego, kiedy przyszli nie zapowiedziani goście, znajomi Jurka, Dzidek z Bożeną. Dzidek był studentem politechniki i nosił się tak, jakby jeszcze nie wyszedł z lasu. Od góry był ubrany w wysłużoną marynarkę, od dołu w bryczesy i oficerki. Jego towarzyszką, amatorską blondynką, miała na sobie unrowski sweterek i spódnice w szkocką kratę, pewno też po jakiejś nie tak ładnej pierwszej właścicielce z za wielkiej wody. Mieli swój styl. Bożena przyglądała się mnie z kobiecą ciekawością, Dzidek z rezerwą. W swoim angielskim batedressie z naszytymi na rękawach lwami chorążego poczułem się przy nich trochę nieswojo, nawet obco. Zaskoczeni moją obecnością milczeli. Ciotka uzupełniła karafkę i Dzidkowi rozwiązał się język. Wyrwał się z nieoczekiwanym pytaniem:

- Po co pan wrócił?

Mogłem mu odpowiedzieć, że wróciłem dlatego, że w kraju dziewczyny są ładniejsze i wódka tańsza, ale taka odpowiedź w Anglii, dowcipna czy nie, tutaj byłaby zupełnie nie na miejscu.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć.

- Głupie pytanie. Wróciłem, bo na księżyc komunikacji

jeszcze nie ma.

Dzidek spojrział na mnie jak na wariata z nadzieją, że takim właśnie się okaże i wszystko się wyjaśni.

- Jak to na księżyc?

Zapytał.

- Widzi pan, w Anglii nas nie chcieli, tutaj na mnie pan wybrzydza, no to niech pan powie, co mi zostaje?

Poprzedniego dnia facet z bezpieki chciał się dowiedzieć, dlaczego tak późno wróciłem, teraz Dzidek z AK życzył sobie, żebym mu powiedział, po co w ogóle wróciłem. Napewno ci dwaj nie byli w zмовie, ale obaj chcieli, żebym się im tłumaczył z powrotu. Mieli o to do mnie pretensje, każdy inne. Dzidek widział we mnie dezentera, którego obowiązkiem było doczekania w Anglii trzeciej wojny światowej i powrót z bronią, dla oficera bezpieki byłem podejrzany typem, niepotrzebnym, bo miał takich dosyć i bezrobocie w zawodzie mu nie groziło. Dla obu mój powrót łączył się z pytaniem:

Czy wróciłem pod wezwaniem oria z koroną, czy bez. A ja po prostu wróciłem do domu, do siebie i nikomu nie miałem zamiaru z tego się tłumaczyć.

- Domyślam się, że pan nie lubi Anglików. - powiedział Dzidek.

Może chciał mnie zawstydzić, że nie mam pojęcia o tym, co dla kraju dobre, może chciał chciał zniechęcić do mnie Rozenę, która przypatrywał mi się z rosnącym zainteresowaniem.

- Myli się pan, panie Dzidku. Lubię ich i, co pana

pewno zdziwi, oni też mnie lubią.

Nie uwierzył. Spróbowałem go przekonać, że można kogoś lubić na odległość bardziej, niż przy wzajemnym codziennym potykaniu się o siebie i, że Anglicy to mili ludzie, ale mają tę wadę, że wbrew temu co on Dzidek o nich sądzi, nie uważają Polski za pepek świata, i że ważniejsze jest dla nich piwo w pubach, niż polska racja stanu. Na koniec prawie go obraziłem stwierdzeniem, że gdziekolwiek był, w lesie czy powstaniu, powinien tyle wiedzieć.

Był nieugięty i po tym, co powiedziałem, zaczął tak wychwalać Anglików, że spaliliby się ze wstydu, gdyby to słyszeli. Spór się przeciągał. Dzidek zdumiał mnie wiarą w to, że przedwojenna Polska wróci, i że wolność nadejdzie z Zachodu, że tak będzie, bo inaczej być nie może. Wierzył w to, w co ja dawno przestałem wierzyć, w gadanie polityków rodzimych i zagranicznych. Klóciliśmy się i trzecia karafka gospodyni zamiast nas przywieść do "brudzia", poróżniła nas jeszcze bardziej. Więcej nalewki nie było, więc pożegnaliśmy się. Odprowadzony przez Jurka udałem się na nocleg. Do pani Waškowskiej, właścicielki pensjonatu "Halina" przy ulicy o dobrej nazwie "Powstańców Warszawy".

Szliśmy, po prawej stronie szumiało morze. Pięknie szumiało i po przebytych dniu jego muzyka była mi potrzebna. Za furtką oszczeakała nas żółka. Suczka, pełnej krwi pekinczyk. Po niej na nasze powitanie wyszła właścicielka żółki i pensjonatu. Dama nie pierwszej już młodości, ale jeszcze mogąca się podobać gimnazjalistom i

emerytom. Pani Wóskowska tuż przed wojną kupiła ten pensjonat. Bywała w sopockim kasynie, grała w ruletkę ze zmiennym szczęściem, ale któregoś dnia rozbila bank, stół nakryli krepową szarfą i parę dni później za trzysta tysięcy złotych nieźle presperujący niemiecki pensjonat zmienił właściciela i flagę zwisającą z balkonu.

Hakenkreutz zastąpiła nasza biało-czerwona. Niemcy z sąsiedztwa radzili jej zyczliwie, żeby zdjęła tę flagę, która doprowadzi "Halinę" do plaży. Panią Wóskowską to rozbawiło. Piliśmy herbatę, żółka warowała przy stole, a ona wspominając tamte zdarzenia, jeszcze teraz się śmiała z tych przestrog.

- Poprzedni właściciel uparł się i musiałam wziąć "Halinę" z tym co tu było. Z katofalkowymi czarnymi meblami, landszaftami, które wisiały na ścianach i innym paskudztwem. Wyrzuciłam wszystko i wystroiłam "Halinę" po swojemu - w len i jesion. Sprowadziłam polskiego kucharza i całą służbę. I wie pan co? Drogo u mnie było, nawet bardzo drogo, na balkonie wisiała nasza flaga, a ci oszczędni i zakochani we wszystkim, co ich własne, co niemieckie, czuli się u mnie lepiej, niż u swoich ziomeków, którzy wywieszali hakenkreutze. Nie brakowało mi też polskiej klienteli. Interes szedł mi znakomicie i myślałam o wykupieniu innych niemieckich pensjonatów. Zastanowiła się chwilę.

Ale pana to przecież nie obchodzi - przed wojną był smarkaczem i później, z tego co wiem od Jurka, lotnikiem.

- Byłem...

- No więc niech pan dalej posłucha. Swoją małą wojnę tutaj wygrałam, ale pierwszego września musiałam wszystko rzucić.

- Frau Waskowska nich pani natychmiast stąd ucieka - doradzili mi sąsiedzi, tej flagi pani nie darują!

Po wojnie do Sopotu wróciłam jak można było najprędzej. Widok był żalony. Po lokatorach z Wehrmachtu i Armii Czerwonej zastałam w mojej kiedyś wypieszczonej "Halinie", polski WOP. Moja benjaminka była okaleczona, obszarpana i obrana ze wszystkiego z wyjątkiem murów, drzwi i ram okiennych. Major dowódca polskiej placówki WOP'u, kiedy dowiedział się kim jestem i w jakiej sprawie przychodzę, uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Bardzo mi przykro, że w takim stanie zastała pani swoją posiadłość, ale sama pani rozumie, wojsko! Wojna! A co się tyczy przywrócenia prawa własności, to zupełnie nie wiem jak się ma pani do tego zabrać.

Major nie wiedział, ale pani Waśkowska wiedziała. Napisała list do prezydenta Bolesława Bieruta, który bunczucznie zakończyła "niech sobie WOP zajmuje powilhelmowskie pałace, a nie moja polska bieda". Z panią Waśkowską nie można było wygrać. Widocznie do takiego wniosku, doszedł znany z innych skłonności, prezydent i nakazał wojsku eksmisję. Żółka ziewnęła, przeciągnęła się i poszła na swoje wyrko, pani Waśkowska wstała od stołu.

- Pożno już, a pan pewnie jest zmęczony. Proszę za mną, zaprowadzę pana do numeru.

Tak kiedyś nazywały się pokoje, które wynajmowała.

Przespałem się w pomieszczeniu z oknem na zazieleniony chwastami teren, który kiedyś był zadbanym ogrodem, na połamanym, połowym łóżku, które niebezpiecznie trzeszczało i groziło zapadnięciem się. Obudziłem się w dziwnej pozycji. Przełamanej, z głową i nogami zwisającymi w dół. Grodek łóżka zniósł mój ciężar, przód i tył się zawalił. Dochodziła siódma, na niebie nie było jednej chmurki. Zapowiadał się słoneczny, ciepły dzień. Z samopoczuciem nieszczęśnika połamanego średniowiecznym kołem, przebiegłem w kąpielówkach ulicę na pustą plażę i co bardzo lubiłem, popłynąłem daleko w morze. Potem podziękowałem pani Waśkowskiej za gościnę i na jej pytanie, jak mi się spało, odpowiedziałem, że świetnie. Roześmiała się.

- Dlaczego pani się śmieje? - zapytałem.

- Bo jest pan moim pierwszym powojennym gościem, z którym zegniam się bez awantury. Oczywiście nie wierzę w to "świetnie", ale za mile kłamstwo przy pierwszej okazji przyjazdu do Sopotu zapraszam pana do "Haliny" na trzy noclegi gratis.

- Dziękuję, na pewno skorzystam.

Zamykając za sobą furtkę pomyślałem, że zaproszenie pani Waśkowskiej przyjąłbym chętniej parę lat wcześniej, przed wojną.

Kroczyłem rażno ocienioną drzewami ulicą Powstanców Warszawy i wszystko na około mnie cieszyło. Nieliczni przechodnie nie zwracali na mnie uwagi. Zajęci swoimi codziennymi sprawami z kręgu - żona, dzieci, mleko, praca,

mijali mnie obojętnie. Byłem od nich bogatszy o szum Bałtyku i było mi dobrze.

Jurek poczęstował mnie śniadaniem, które przygotowała ciotunia.

- Ile masz forsy? - zapytał.

- Ile czego?

- Przecież mówię wyraźnie. Forsy, flotki. Nie błądź.

- Mam przy sobie parę funtów i trochę rzeczy do sprzedania w bagażu, na dworcu w Gdyni.

- Co masz w tym bagażu?

- A różne tam takie, majtki, pończochy, kosmetyki. Mam też sporo piłek tenisowych. Kiedy kupowałem rakietę, powiedzieli mi, że piłek w Polsce nie ma i wziąłem na zapas.

- Masz piłki?

- Mam.

- Klawo. Piłki weźmie Janek.

- Janek? Znam go?

- Znasz.

Janek był naszym kolegą w Krzemieńcu, dużo starszym, kiedy my zaczynaliśmy gimnazjum, on przygotowywał się do matury. Na kortach podawaliśmy mu piłki, czasami jak nie miał lepszych partnerów grał z nami.

- Chodź, pójdziemy do Janka.

Poszliśmy.

Janek nie zmienił się. Był i pozostał w typie, o którym Anglicy mówią "lady killer", czyli, że był przedstawicielem płci brzydkiej, na którego widok

przedstawicielki płci pięknej z zachwytem sikały w majtki. W tym czasie był kierownikiem sklepu spozywczego i w białym kitlu handlował masłem, marmoladą i mąką. Ze swoją prezencją, obejściem i wykształceniem marnował się, jak mało kto. Pamiętał mnie dobrze i szczerze ucieszył się ze spotkania.

Zrzucił z siebie roboczy strój i zaprosił nas na przekąskę do "Piekiełka", małej prywatnej knajpki, która wyróżniała się zasłużonym wzięciem dla świetnego jadła, napitków i reszty przynależnej takim miejscom. Na początek zamówił Sledzie i kwaterkę. Podniósł kieliszek i powiedział:

- Napijemy się za spotkanie.

Wypiliśmy, przekaszając wybornym śledziem w śmietanie. Potem spojrział na mnie wyczekująco i zapytał:

- To dobrze, że wróciłeś. Co zamierzasz robić?

- Nie wiem - powiedziałem - nic nie umiem.

- Nic to przesada, każdy coś umie.

- Tak uważasz? Więc dobrze, mnie nauczyli zabijać z powietrza. Masz dla takich jakąś robotę?

- Nie wygłupiaj się, to paskudny fach i nie na czasie.

- Mam inny. Na kursie "cichociemnych" uczyli mnie, jak to robić na ziemi. I co ty na to?

- Do diabła z tym. Nie myślisz o studiach?

- Myślę o weterynarii, lubię zwierzęta.

Pierwsza kwaterka pokazała dno i Janek zamówił następną.

- Jak u ciebie z angielskim?

- Nieźle.

- To daruj sobie weterynarię, idź na prawo.

- Po co?

- Bo tak będzie lepiej.

- Jeżeli to prawda co mówisz, to dlaczego z ukończonym prawem biegasz w białym kitlu po sklepie i handlujesz marmoladą? Uważasz to za karierę, że personel, dwie tłuste baby, zwracają się do ciebie per, panie kierowniku?

- Jestem w sklepie z przypadku i na krótko.

- Czy wiesz że przestraszyłem się, kiedy Jurek zaprowadził mnie do twojego sklepu.

- Czego?

- Ciebie w białym kitlu.

- Mnie? Dlaczego?

- Pomyślałem, że skoro ty ze swoim wykształceniem stoisz za ladą, to co pozostaje takim jak ja?

- I to i owo. Niedługo odejdę ze sklepu, może chcesz ten interes wziąć po mnie? Mogę to załatwić.

- Nie znam się na marmoladzie!

- Teraz wszyscy na wszystkim się znają, taka panuje moda.

- Jurek tu mieszka. Może on?

- Jurek czuje się świetnie w roli rezydenta u swojej ciotki i - jak wiem - spodziewa się większej gotówki. A propos, czy przywoziłeś Jaguara?

- Czy co przywoziłem?

- Jaguara!

- Jaguara? A jak go miałem przywieźć? Na smyczy? W

worku? Przecież by mnie podrapał.

Jurek paląc nerwowo papierosa wtracił się.

- Strugasz wariata, a wiesz że chodzi o samochód, nie zwierzę.

- Jaki samochód?

- Jaki?... jaki?... Ten, który zostawiłem w Anglii, i który miałeś zabrać ze sobą.

Zamrugał nerwowo oczami i zaczął wiercić się na krześle.

Nie wiedziałem nic o tym, że Jurek zostawił w Anglii Jaguara i nie wiedziałem nic o tym, że miałem ten samochód, nie zwierzę, ze sobą przywieść. Teraz to zwierzę - samochód jakby zawisło nad naszym stolikiem z obnażonymi pazurami. I groźnie i śmiesznie. Obaj popatrzyli na mnie i czekali co powiem. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

- Tak, teraz sobie przypominam, ale mam dla ciebie złą wiadomość. Nie udało się, twój Jaguar nie zmieścił się na statek...

Jurek od dziecka, oprócz cnót, z zadatkami na mitomana - nochsztaplera, oburzył się.

- Pokpiłeś sprawę, na której bardzo mi zależało!

- Przepraszam - powiedziałem - ale szkoda, że nie wspomniałeś o tym Jaguarze przed naszym spotkaniem z Jankiem. Nie wziąłbym samochodu za zwierzę.

Janek rozesmiał się.

- Nieważne, napijmy się, i tak w tego Jaguara nie wierzyłem.

Przyszedł kelner ze schabowymi i zapytał:

- Czy zmienić karafkę?

- Koniecznie - odpowiedział Janek. Udał mi się dzisiaj wspaniały interes, kupiłem gruszki na wierzbie.

Kelner nie wiedząc że sprawa dotyczy jednego z obecnych przy stoliku biesiadników, nachylił się w stronę Janka i powiedział konfidencjonalnie:

- W dzisiejszych czasach, panie mecenasie, trzeba uważać. Oszust, oszustem pogania, a sam czort się nie rozezna, kto wróg a kto przyjaciel...

Obiad skończyliśmy w dobrym nastroju. Powiedziałem Jankowi, że mam dla niego w prezencie tuzin piłek tenisowych, i że Jurek te piłki napewno mu dostarczy. Płacąc rachunek, na poczet tych piłek, pogodzony ze stratą Jaguara, Janek zostawił duży napiwek.

X

Pod wieczór pojechałem z Jurkiem do Gdyni, żeby wsiąść do pociągu do Krakowa. Na peronie był tłum podróżnych. Usiadłem na swoim kufrze i dwóch walizkach i zachowałem się tak, jak wspomniana w tej książce baba, na dworcu w Złotouście, która widząc we mnie złodzieja, nakryła swój dobytek spódnicą. Wtedy byłem bez bagażu i nie bałem się złodziei. Teraz, z tamtą babą zamieniłem się na role. Byłem przy tym w gorszym położeniu, ponieważ swojego mienia nie miałem czym nakryć.

Jurek zostawił mnie siedzącego na kufrze i powiedział, że będą trudności, których by nie było, gdybym podróżował

z chlebakiem bez bagażu, ale że on coś wymyśli.

Krakowski pociąg wtoczył się na peron, Jeszcze w biegu zaczął się szturm podróżnych do drzwi i okien. Zanim maszynista stanął, zabrakło miejsc, nawet w ubikacjach. Moje szanse malały i zmalały do zera. Ale wrócił Jurek i powiedział:

- Po kłopotcie, bierzemy manele i idziemy.

- Gdzie?

- To moja głowa.

Zatrzymaliśmy się przy wagonie pocztowym.

- Tu zaczekamy, przejazdka pocztowym będzie ciebie kosztowała trochę fajek. Nic więcej. Kierownik pociągu to fajny facet z AK. Powiedziałem mu kim jesteś.

Przychodzi kierownik pociągu i gestem głowy wskazuje na mnie.

- To o tego pana chodzi?

- Tak - potwierdza Jurek.

- Nie wolno mi tego robić, ale dobrze, niech się pan ładuje - odsuwa drzwi wagonu. Uprzedzam, że będę musiał pana zamknąć od zewnątrz.

- Głupstwo, to dla mnie nie pierwszyzna. Siedziałem w Rosji.

Roześmiał się.

- U mnie nie będzie panu tak źle, proszę, niech pan wsiada.

- Kiedy będziesz na Wybrzeżu? - pytał Jurek.

- Jeszcze nie wiem, napiszę.

- Do zobaczenia!

- Cześć!

W wagonie półmrok, siadam na kufrze, zgrzyt zamka, po chwili pociąg rusza. Kładę się na podłodze i zasypiam z chlebakiem pod głową. Budzę się. Pociąg stoi. Hałas otwieranych drzwi. Na zewnątrz widno. Do wagonu wsiada kierownik.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry. - Patrzę ze zdziwieniem na zegarek - Tyle spałem? .

- Ma pan twardy sen, jesteśmy w Tarnowskich Górach, czas na śniadanie.

Wyciąga ze służbowej torby dwie szkalanki, butelkę wódki, kiełbasę i chleb. - Proszę, niech się pan częstuje.

- Bardzo dziękuję, ale.

- Co za ale, proszę bez krepacji.

Nalewa sobie i mnie po pół szklanki.

- No to siup.

- Za co pijemy? - pytam.

- Za pana powrót, pod kiełbasę.

Wyciąga do mnie peto.

- Niech pan łamie po staropolsku.

Przegryzamy.

- Smakuje panu?

- Bardzo!

- W Anglii takiej nie ma?

- Nie ma. Ich przy naszej to trociny.

Myśli chwilę.

- Żrą trociny, ale wygrali wojnę.

- My podoba też.

- Powiedz to pan mojej babce, a wyzwie pana od antychrystów.

- Ile ma lat?

- Dobija do osiemdziesiątki.

- No to nie ma się czemu dziwić, skleroza.

- Ma świetną pamięć, powie panu co ksiądz przed miesiącem mówił na kazaniu.

Fociąg rusza.

- Daleko jeszcze do Krakowa?

- Mamy czas, będziemy z opóźnieniem.

- Dużym?

- Nie, spóźnimy się dwie, najwyżej trzy godziny.

- Przewiduje pan katastrofę po drodze?

- Jaka tam katastrofę? Takie spóźnienie zwykła rzecz.

- Czy pan pracował na kolei przed wojną?

- Od trzydziestego szóstego.

- Było inaczej?

- Było - rozlewa wódkę. - Przed wojną pan by jechał w przedziale pasazerskim, pana rzeczy w bagażowym i nie siedziałby pan z kierownikiem pociągu w wagonie pocztowym.

- I nie piłbym z nim gorzały?

- Właśnie tak. No to siup, za spotkanie.

Pijemy, kierownik wyjmuję papierosy i częstuje mnie.

Palimy.

- Gdzie pan był w czasie wojny? - pytam.

- Przez cały czas w kraju, nie zdjąłem tego - pokazuje kolejarski mundur.

- Wiem, że niełatwo było.

- Niełatwo. Żyło się jak na wulkanie. Byliśmy potrzebni Niemcom i tym co do nich strzelali. Ja byłem w AK i co drugi kolejarz też gdzieś był. Sam pan rozumie, gdzie się drzewa rąbie wióry lecą...

Rozlewa wódkę.

- Za moich kolegów z AK, którzy z nami się nie napiją. Wyjmuję swoje papierosy. Palimy w milczeniu. Odzywam się pierwszy.

- Ja byłem na łatwiejszej wojnie.

- Niby jakiej?

- Biłem się z przerwami. Kilka godzin lotu w reflektorach pod ostrzałem artylerii, a potem śniadanie, czysta pościel i spokój. Po paru dniach powtórka.

- Duzo was zginęło?

- Trochę. Co trzeci kończył kolejkę operacyjną, czyli trzydzieści lotów. Wy żyliście na wulkanie, my w lotnictwie na huśtawce. Co by pan wybrał?

- Nic! To zaraza i to zaraza.

- Chyba tak. Dobrze, że ta cholerna wojna się skończyła.

Kierownik rozlewa.

- Za pana kolegów.

- Za wszystkich pana kolegów i moich.

Pociąg zwalnia.

- Muszę się tutaj pokazać zawiadowcy stacji. Przyjde w Krakowie. Zabiorę pustą butelkę, wysiada i zamyka wagon. Zapadam w drzemkę, budzi mnie ponownie hałas odsuwanych

drzwi. Wsiada kierownik.

- Jest pan na miejscu. Bagażowy z wózkiem czeka.

- Dziękuję za wszystko, ale mam prośbę.

- Czego się nie robi dla naszych orłów - śmieje się.

- Niech pan przyjmie na pożegnanie ten chlebak.

- Dlaczego?

- Za przejazd. Nie miałem biletu nawet trzeciej klasy, a jechałem sypialnym z wyszynkiem.

- Tak nie wypada.

- W chlebaku są papierosy i czekolada, to teraz jak granaty w czasie okupacji. Niech pan weźmie. Wypada!..

Kiedy uścisnąłem mu rękę na pożegnanie, było mi głupio, że odszedłem w Szkocji z "cichociemnych" i że nie brałem udziału w bezpośredniej walce w kraju, jak on. Ale w kompleks winy nie wpadłem. Później spotkałem dużo ówczesnych nastolatków, którzy szczerze zazdrościli mi moich dokonań wojennych, raczej miernych i mieli za złe swoim rodzicom, że przyszli na świat za późno, żeby sprostać takim bohaterom, jak ja.

Na wojnę doszłusowałem do kolegów starszych od siebie, w dywizjonie z latających byłem najmłodszy, ale mnie się udało i rozumiałem rozgoryczenie młodszych od siebie.

- Jesteśmy na miejscu.

W Krakowie byłem przed wojną na szkolonej wycieczce i miasta nie znałem. Zapamiętałem tylko jakieś zakonnice, u których nocowaliśmy, Wawel i kopiec Marszałka, który pomagałem usypać, pchając taczki własnoręcznie napełnione ziemią.

Numerowy wziął na plecy kufer, mnie zostały walizki i tak obarczeni przeszliśmy przez masywną bramę starej krakowskiej kamienicy, skąd po trzeszczących schodach weszliśmy na drugie piętro. Zadzwoiłem do drzwi. Drzwi otworzyła mama. Niewiele się zmieniła, wyglądała młodo, wyszczuplała, była ta sama, z wyjątkiem okularów w rogowej oprawie, które nosiła przed wojną. Te które miała na nosie były szpetne, szewskie jakieś, obramowane drutem. Tęskniłem do tej chwili, ale powitanie wypadło inaczej, niż to sobie wyobrażałem. Nie zdobyłem się na to, żeby wypadło po polsku, wypadło po angielsku. Przesiąkłem Wyspa i zamiast rozczulić się od progu, powiedziałem żartobliwie:

- How do you do mama?

Spojrzała na mnie przestraszona.

- Wróciłem, nie poznajesz syna? - Dopominałem się.

Powiedziała, że poznaje i dodała z nagana.

- A ty synu zapomniałeś własnego języka? Jakimś sobaczym witasz się z matką? Wchodź, bo zaraz wezmę rozgę i przypomnisz sobie kim byłeś!

Byłem pętakim, kiedy mama straciła mnie z oczu, ale to było lata temu i przypominanie mi rozgi po nahaju z którym zetknęłem się w NKWD, uznałem za miłe i sentymentalne.

- Srogo witasz żołnierza, który wrócił z wojny - powiedziałem wesoło. Mama rozplakała się.

- Boże! Tyle lat niepewności czy żyjesz? Kiedy zabrali ciebie, myślałam, że rozstajemy się na zawsze.

Wtedy nic takiego nie przyszło mi do głowy i

wyprowadzany z domu pod bagnetami byłem dumny i to co mnie czeka mało mnie obchodziło.

Powitanie przerwał nam numerowy, zapytał gdzie postawić kufer. Powiedziałem mu, że dam sobie radę. Nie miałem grosza, mama poszła po torebkę, numerowy wziął zapłatę i wyszedł.

- Idź, umyj ręce i siądź do stołu. Na pewno jesteś głodny?

I tak oto wyrwałem się z wojska, z deszczu pod rynnę - u mojej mamy obowiązywała dyscyplina, na baczność, nie na spocznij, do jakiej przyzwyczailem się w lotnictwie. Nie byłem głodny i wtrąciłem nieśmiało, że chętnie napiję się herbaty. W odpowiedzi usłyszałem, że żołnierz, który wraca z wojny, musi być głodny, czy mu się to podoba czy nie. Umyłem ręce, mama w kuchni smażyła schabowe. W oczekiwaniu na kotlety przeglądałem regał z książkami. Były tam niektóre dzieła Sienkiewicza i Prusa, ale na dolnej półce, na pierwszym planie, znalazłem "Skrócony Kurs WKPB" i rozmaite broszury o materializmie dialektycznym, historii polskiego ruchu robotniczego, kapitalizmie i imperializmie. Ten wcale pokaźny zbiorek sąsiadował z książką kucharską Cwierciakiewiczowej i wydawnictwami lekarskimi. Kartkowałem którąś z agitek, kiedy mama przywołała mnie do stołu. Na talerzu pysznił się urodziwy kotlet z młodymi ziemniakami i sałatą. Mama przyniosła dla siebie herbatę. Nie byłem głodny, ale zabrałem się do jedzenia. Ten kotlet był silniejszy ode mnie. Mama przyglądając mi się zauważyła.

- Wygłodzili ciebie w tej Anglii?
- Nie, przyzwyczałem się do ich kuchni.
- Bardzo paskudzą jedzenie?
- Trochę z wyjątkiem śniadań.
- Wypijesz kieliszek? Mam dobrą nalewkę.

Powiedziałem że chętnie. Postawiła na stół karafkę dereniówki. Nalałem sobie i wypilem.

- W wojsku dużo piłeś? - zapytała/
- Tyle co inni.
- To znaczy, że dużo. Palisz papierosy?
- Tak parę sztuk dziennie.

Rozmowa zeszła na temat dla mnie raczej śliski, i żeby odwrócić mamy uwagę od wódki i papierosów, wskazałem na regał.

- Czyja to literatura?
- Która?
- Te broszury na dolnej półce.
- Te w rogu?
- Tak.
- Twoja siostra je przyniosła.
- A co ona z nimi robi?
- Czyta, uczy się.

- Jak to? Przecież napisała w liście, że studiuje w Łodzi biologię! Co ma z tym wspólnego historia WKPB i cała reszta?

- Nic, ale musi z tego zdać egzamin, to jest bardzo ważny przedmiot...

- Na biologii?

- Na wszystkich wydziałach.

Przełknąłem tę wiadomość z ostatnim kęsem kotleta.

Mama zabrała pusty talerz i przyniosła mi herbatę.

- Cóż to - zdziwiła się - Nie smakuje tobie moja nalewka?

Podawała mi karafkę, którą skwapliwie posłużyłem się.

Była nieprzejednanym wrogiem alkoholu i jej gest wydał się jakby podejrzany. Nalewka była zacna, odstawała jak w domach, w których sięga się po trunki bardzo rzadko. Przed chwilą przyglądała mi się badawczo, poczem przeniosła wzrok na mój kufer i surowym głosem zapytała.

- Co ty przywiozłeś w tym kufrze? Radiostację?

- Co takiego? - zdębiałem.

- Radiostację! - powtórzyła.

- Chyba zartujesz. Skąd tobie przyszło to do głowy?

- Stąd, że jestem twoją matką. Broni nie przywiozłeś?

- O czym ty mówisz? W kufrze z metalowych przedmiotów mam tylko żelazko do prasowania.

Role odwróciły się. Niepokój mamy mnie się udzielił. Nie miałem pewności, że nie opowiadała znajomym o swoim udanym synku, który już w kołysce bawił się ołowianymi żołnierzami, i zanim nauczył się mówić, popiskiwał alfabetem Morse'a...

- Mamo, mam nadzieję, że nikomu nie zdradziłaś się ze swoimi obawami o to co przywiozę z Anglii.

- Nie, oczywiście że nie - zaprzeczyła.

Bo widzisz - powiedziałem uzupełniając swój kieliszek

- mówią, że wódka nie jest groźna, że groźniejsza jest

sława pijacka. Tak jak niktóre plotki.

- Przestań - przerwała mi - i napij się. Przecież nie przywiozłeś tej tam.

- Krótkofalówki? - podpowiedziałem.

- No właśnie.

- Nie przywiozłem, ale tym się nie chwal... Ty powiesz swojej znajomej, że nie przywiozłem, ona powtórzy dalej, że bałaś się, że przywiozę ale nie przywiozłem, a następnej pani coś się pomyli i powie, że przywiozłem i ty teraz się boisz. A wtedy krótka będzie moja radość z powrotu do kraju...

Mama spojrzała na mnie gniewnie.

- Mądrzysz się a lepiej zrobisz jak sam będziesz ostrożny w tym co i do kogo mówisz. Na ostrożności nigdy ci nie zbywało. Wątpię czy w kraju przeżyłbyś wojnę.

Potrosze oboje mieliśmy rację. Ale cieszyć się nie było z czego. Rozmawialiśmy tak jakby wojna jeszcze się nie skończyła.

Nie miałem pieniędzy, musiałem je zarobić. I w batteldressie stałem na krakowskiej "tandecie" przy otwartej walizie, z oponami i dętkami rowerowymi, skóra, amerykańskimi i angielskimi ciuchami z demobilu. Targowisko było pełne interesantów i towarów.

Jakiś starszy elegancki pan, przechadzał się w pobliżu, powtarzając jakby sam do siebie.

- Kupuję dolary... kupuję dolary...

- Funty pan weźmie? - zapytałem.

- Ma pan kasztany?

- Nie, banknoty.

- Po co było przywozić papierowe? Kasztany dobrze idą...

- Nie wiedziałem.

- W handlu nie wiedzieć, to tak jak stracić, panie lotniku. Pokpił pan sprawę.

- Nie mam tego dużo.

- Ile?

- Dwadzieścia.

- Zapłacę po kursie dolara minus dziesięć procent.

- Dobrze.

Przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

- A ile za te amerykańskie spodnie?

- Cztery tysiące.

- Wezmę za trzy. Niech pan włoży funty do spodni i poczeka. Zaraz wrócę.

Włożyłem pieniądze do kieszeni spodni i czekałem. Wiedziałem, że posiadanie walut i, gorzej handel nimi jest

poważnym przestępstwem, i że maskarada, która posłużył się mój klient nie jest od rzeczy. Rozglądając się czekałem. Starszy pan wrócił.

- Wszystko w porządku?

- Tak...

Podał mi spodnie, on mi pieniądze.

- Jestem tu codziennie rano, potem znajdzie mnie pan u "Hawełki".

- Poszukam pana jak będę coś miał.

- To do zobaczenia, dużo szczęścia życzę.

- Wzajemnie.

Odszedł, żeby dalej powtarzać swoje hasło.

- Kupuję dolary... kupuję dolary...

Przy moim kramie zatrzymała się kobieta, z wyglądu bywalczyni bazaru.

- Co pan oficer dobrego przywiózł?

- To co pani widzi.

- A drogie?

- Nie, tanie.

- Mogę zobaczyć?

- Proszę.

- Ta skóra na podeszwy, za ile?

- Piętnaście.

Próbuje w palcach.

- Drogo, miękka jakaś...

- Najtwardsza, jaka była w Anglii.

- Dam dziesięć.

- Mało.

- Dwanaście.

- Mało.

Oglądała mój towar zdecydowana na kupno i wyprzydzała.
Do targu włączył się ktoś trzeci.

Do diabła, co tu robisz? - Stał i śmiał się Zbyszek,
mój kolega z gimnazjum.

- Wróciłem z Angli...

- Kiedy?

- Przed kilku dniami.

- A to heca!

- Jak heca? Wróciłem z wyprzedaje repatriackie mienie.

- Takie spotkanie! Nie do wiary!

- A co ty robisz?

- Szukam frajerów, żeby coś tanio kupić i trafiłem na
ciebie...

Handlarka zniecierpliwiła się.

- Panie, biorę za trzynaście.

- Za jakie trzynaście? Ja daję czternaście - Zbyszek
wyciągnął rękę po skórę.

- Panie, ja byłem pierwsza - wrzasnęła.

- Za piętnaście będzie pani pierwsza.

Zapłaciła, zabrała skórę i odszła.

- Trafiłeś, tyle chciałem.

- To fajnie, ale zbieraj majdan, mam dobrego kupca,
weźmie wszystko jak leci.

Zbyszek wynajmował pokój umeblowany na wysoki połysk. Przwitał mnie dobrą nowiną.

- Mam dla ciebie pieniądze i jest tego więcej niż chciałeś.

- To musimy opisać interes - powiedziałem, bo każdy by tak powiedział.

- Zgoda, ale przed tym muszę coś załatwić. Będzie prędzej jak mi pomożesz.

- Rozkazuj.

- Dobrze, usiądź przy biurku i pisz.

Usiadłem, przed mną leżał nie wypełniony blankiet świadectwa maturalnego, obok kartka z danymi promowanego. Zbaraniałem.

- Co mam pisać?

- Z Księżyca spadłeś? Spisz z kartki co jest i postaw facetowi stopnie od dostatecznego do dobrego jak ciebie ręka poprowadzi, byle kaligraficznie, za komisję wymyśl jakieś nieczytelne podpisy.

- A co ty będziesz robił?

- To samo, zaraz przyjdą trzej maturzyści, sam nie zdążę.

- Tak ale...

- Pospiesz się, frajerzy nie wiedzą, że to takie proste. Przyjdą, zobaczą, że proste i zaczną się targować. Bierz się żywo do roboty. Musimy skończyć przed ich przyjściem. Skończyliśmy, przyszli, odebrali świadectwa z pokorą, zapłacili po dziesięć tysięcy, ukłonili się i wyszli. Niedługo po tym siedziałem ze Zbyszkim przy

stoliku w studenckiej "Rotundzie". Nigdy nie widziałem tyle urodziwych dziewcząt! Przed tym i później. Słuchałem go z rozprężoną uwagą.

- W konspiracji podrabiałem nie takie dokumenty, znam się na tym. Ale za rok skończę architekturę i wycofam się z interesu. Koniec kropka.

- Dużo narobiłeś tych maturzystów?

- W skali kraju, to kropla w morzu, ale mam niezłe stadko wychowanków, już na wysokich stanowiskach. Może ty potrzebujesz jakiegoś dyplomu?

Kończyliśmy butelkę i przyszło mi do głowy prawo, które Janek Anzelm doradzał mi w Sopocie.

- Myślę o prawie. - Zbyszek ucieszył się.

- A to gratuluje panie mecenasie, dyplom mogę tobie załatwić choćby jutro. Z kandydatami na lekarzy mam trudności. Będzie pierwsza klasa z czytelnymi podpisami komisji, że mucha nie siada. Cud, miód, ultramaryna.

Powiedziałem że się namyślę, i że obawiam się, czy w moim przypadku sprawa nie będzie za bardzo na wyrost.

Zbyszek roześmiał się.

- Maturzyści, którzy wychodzą ode mnie, to prawie analfabeci, prawnicy - półanalfabeci, a ty w szkole zbierałeś dobre stopnie za dyktanda. Jaka sprawa? O czym ty mówisz?

Zmieniłem temat i zapytałem Zbyszka o rodzinę.

Miał liczne rodzeństwo, jego sistry były pamiętne z urody.

- Co u rodziny?

Pytanie było ryzykowne; różne były wojenne losy polskich rodzin, ale to co miał do powiedzenia Zbyszek było potworne. Uprzedzony, nigdy bym go o to nie zapytał.

- Zostałem sam. Mam tylko wuja lekarza, który mieszka w Krakowie.

- Niemcy? Rosjanie? - zapytałem.

- Nie, Ukraińcy z błogosławieństwem Niemców. Ja żyję, bo nie było mnie wtedy w domu. Podpalili nasz folwark i nikt nie uratował się z ognia. Mówmy o czymś innym...

Zmartwiałem. To co powiedział, przeszło moje wyobrażenie o wojnie, w której przecież brałem udział.

Podszedł do nas kelner, z wcześniej zamówioną, drugą butelką. Wprawnie wybił korek. Wypiliśmy.

- Co robisz jutro wieczorem? - zapytał Zbyszek.

- Nic. - powiedziałem z pustką w głowie.

- To dobrze. Jutro mój wuj wydaje przyjęcie, będą na nim różne wpływowe typy.

- Dla kogo ważne?

- Dla ciebie, jeśli masz zamiar coś uczciwie studiować. Nie widzę w tobie klienta dla siebie. Jestem zaproszony i zapraszam ciebie.

- Możesz tak?

- Mogę. Będą zachwyceni twoim towarzystwem.

- Skąd ta pewność?

- Byłeś w Angli w lotnictwie, wystarczy.

Wuj Zbyszka miał się dostatknie. Kiedy przyszliśmy, na tarasie jego willi stali i siedzieli goście w średnim i starszym wieku, obsługiwani przez kelnera w smokingu.

Krzętał się, godnie zachęcając towarzystwo do poczęstunków, roznoszonych na tacy, srebrnej.

- Ładnie tutaj - spostrzegłem - dlaczego nie mieszkaś u wuja?

- Nie mogę, wiesz z czego żyję, moi chlebodawcy wypłoszyliby mu jego klientelę.

- Szkoda, bo bardzo tutaj wytwornie.

- Dziwisz się? Towarzystwo wuja, to inna inteligencja, nie ta z mojej nominacji.

- Czy wuj wie, że mnie zaprosił?

- Wie dzwoniłem do niego.

Zbyszek przywitał się z siwejącym, jowialnym panem.

- To właśnie jest mój kolega szkolny - przedstawił mnie.

- Domyślam się, proszę... Proszę... bardzo mi miło, wszyscy czekamy na pana.

- Przepraszam, jeżeli sprawiłem kłopot.

- Skądże? Taki gość, i kłopot? Witamy!

Podszedł kelner. Wybrałem wino w pięknym kielichu z kryształowego szkła. Wuj Zbyszka pochwalił mój wybór.

- Domowe, z dzikiej róży. Odstałe, jeszcze przedwojenne. Spróbowałem było znakomite. Wuj krygował się.

- Wiem, że panowie w Angli pili whisky, u nas tu skromnie, ale jeżeli ma pan ochotę na whisky, kelner zaraz poda.

- Nie dziękuję, to wino jest znakomite - powiedziałem. Wuj przeprosił nas i poszedł do nowoprzybyłych gości.

Przywitał się z jakąś damą, już niemłodą i gentelmenem w jej wieku, dystyngowaną parą, naznaczoną arystokratycznym pochodzeniem. Coś im powiedział, i dama przyjrzała mi się dyskretnie. Zbyszek rozglądał się po obecnych.

- Znasz tu kogoś? - zapytałem.

- Znam parę osób.

- Kto to jest ta blondynka z tym grubasem?

- Masz oko, podolski sokole, to jest poni Zosia, rozrywkowa wdówka w towarzystwie mecenasa, który wdzięczny się do jej majątku.

- Do majątku? Nie do niej? - zdziwiłem się.

- Do niej też. A ty co? Chcesz mi ją odbić?

- Tobie?

- Mnie, pomagam mecenasowi w powinnościach narzeczonego. Jest tłusty, sapie, przy tym jest chytry. Czycha na pieniądze Zosi, a sam ma więcej. Chodź przedstawię cię.

- Zosiu, podaj do ucałowania rączkę mojemu koledze z gimnazjum. Właśnie wrócił z Angli, lotnik...

Fani Zosia z uśmiechem wyciągnęła do mnie wybrylantowaną łapkę.

- Witam, bardzo mi miło. Znudzili się panu Angielki?

- Nie, ale patrząc na panią żałuję, że nie wróciłem wcześniej. Bardzo rozbawiłem ją tym komplementem, jej narzeczonego nie za bardzo. Utkwił we mnie zgryźliwy wzrok zazdrośnika.

- A co słyhać w Angli? - zagadnął.

- Nic szczególnego, ceny na wszystko idą w górę,

ostatnio piwo i papierosy bardzo podrożały.

- No tak, ale mnie interesuje to, co dzieje się w polityce, w naszym rządzie - zaznaczył z wyższością.

- Kłóca się jak zawsze.

Przerwała mu pani Zosia.

- Kochanie, nie nudź pana polityką. Niech mi pan powie, co się teraz nosi w Londynie?

- Pani suknia jest bardzo modna i elegancka.

- Dziękuję ale co noszą Angielki?

- Ubierają się różnie, lepiej i gorzej...

- A te które lepiej?

- Nie lepiej od pani.

Pani Zosia przypatrywała mi się z przychylnym zainteresowaniem, mecenas ponuro, a Zbyszek wysiłał się, żeby nie parsknąć śmiechem. Z niezręcznej sytuacji wybawił nas wuj Zbyszka, który poprosił towarzystwo do stołu. Zająłem wskazane mi miejsce. Towarzystwo usadowiło się; obok mnie dwa krzesła pozostały nie zajęte. Po chwili wuj Zbyszka, z galanterią, zaprosił w moje sąsiedztwo nobliwą parę, na którą zwróciłem uwagę.

- Hrabiostwo pozwolą. - powiedział, i wrócił na swoje miejsce gospodarza domu.

Na stole piętrzyło się wspaniałe jadło. Wuj uciszył obecnych podniesieniem ręki i powiedział.

- Proszę państwa, jest wśród nas polski lotnik z Angli dopiero od paru dni, i o tym, co nas wszystkich obchodzi, będziecie mogli z nim porozmawiać. Ze tak powiem - spadł nam prosto z nieba.

Przerwał, a mnie wypadało wstać i przedstawić się. Tak też zrobiłem

- Z nieba nie spadłem - powiedziałem - Niebo widzę przed sobą na stole.

Były oklaski.

- Na polityce znam się mało. Nie wiem czy z obu rządów londyńskiego i warszawskiego mógłbym wymienić po dwa nazwiska ministrów.

Ukloniłem się i usiadłem. Nachylił się do mnie hrabia:

- Wymienił pan dwa rządy, czy nie uważa pan, że mamy jeden w Londynie?

- Mieliśmy hrabio.

- Jak to, mieliśmy? Mamy!

- Anglicy są innego zdania.

- Jakiego? Że mamy dwa rządy?

- Gorzej, że mamy jeden rząd, ale niestety ten w Warszawie.

- O tym wiem, ale przecież to tylko wybieg dyplomatyczny. Anglicy uznali rząd warszawski, ale tylko de facto. Myślałem, że dowiem się od pana czegoś więcej, ale widzę, że na polityce pan naprawdę się nie zna.

Do rozmowy włączyła się hrabina:

- Ciekawe, że my wszyscy wybieramy się na Zachód, a pan przed trzecim dzwonkiem pojawił się w kraju.

- Przepraszam, przed trzecim dzwonkiem, na co?

- Na co? - zdziwiła się - przecież wojna wisi na włosku!

- Gdyby tak było, nie wróciłbym.

- Czy w Anglii nie mówi się o wojnie?

- Między rodakami tak, ale Anglicy wołają krykieta.

Lotniska zaorali, samoloty, czołgi i okręty przeznaczają na złom.

- Skąd te informacje?

- Prosto ze źródła. Dwa lata temu odprowadziłem swój samolot na cmentarzysko, a teraz przyjechałem do kraju z dwoma walizkami i kufrem podróżnym z aluminiowej lotniczej blachy, może z mojego Lancastera. Jest tego pełno w angielskich sklepach.

- Słyszałeś - zwróciła się do męża - Z samolotów robią w Angli walizki. Coś takiego!

- Z przestarzałych samolotów. Produkcja nowoczesnych idzie pełną parą - powiedział z pewnością siebie.

- Czy hrabia nie ma racji? - zapytała.

- Nie wiem, może lepiej by było, gdyby pani hrabina zwróciła się z tym pytaniem do brytyjskiego Ministerstwa Obrony.

- Na grzeczności panu nie zbywa.

- Przepraszam za ten żart, w wojsku człowiek chamieje.

- Właśnie to widzę. Ale mniejsza z tym, dlaczego pan wrócił? Mam w Anglii siostrzeńca, który ma się tam bardzo dobrze.

- Mnie też tam było dobrze.

- A więc dlaczego? Przekonania polityczne?

- Nie narodowa ambicja. Honor, jak pani woli.

- Jak mam to rozumieć?

- Zwyczajnie. Pewno to panią zdziwi, ale Anglicy już

nas wcale u siebie nie chcą.

Z wrażenia oboje zamilkli. Pierwsza odezwała się hrabina.

- Mon Dieu, to niesłychane, n'est-ce pas, mon cheri?

Milcząco hrabia sięgnął po szczupaka. Hrabina nachyliła się do mnie i powiedziała coś po francusku. Nie zrozumiałem. Znałem tylko niewiele słów francuskich, które przyswoiłem sobie z złych towarzystwach, w których hrabina nigdy się nie znalazła.

- Nie zna pan francuskiego? - zapytała z uszczypliwym uśmiechem.

- Żałuję, ale nie znam.

- Nie pomyślałam o tym, i bardzo pan przepraszam. Poprosiłam o podanie mi salaterki.

- Już to robię...

- Hrabina nabrała na talerz sałatki i poprosiła o przysunięcie półmiska z wędlinami. Hrabia mruknął, że mam pod ręką chrzan do jego szczupaka, z podaniem którego pośpieszyłem się z wdzięczności za to, że nie wystawił na próbę mojej francuszczyzny. Pojawił się kelner z butelkami na tacy. Hrabiosstwo zażyczyło sobie wino, mój śledź dopominał się wódkę. Poprosiłem kelnera o zamianę małego kieliszka, który stał przede mną, na literatkę. Hrabiosstwo zaczęło porozumiewać się po francusku, lekceważąc mnie niczym niechcianego rezydenta na swoim dworze. Łyknąłem wódkę i przyszło mi do głowy, że hrabina prosząc o salaterkę chciała sprawdzić czy znam francuski. Wyłączony z rozmowy, nie miałem wątpliwości, że toczyła się wokół

mojej osoby, bolszewickiego agenta nasłanego z Moskwy, dla niepoznaki przez Londyn. Pozostali goście bawili się świetnie. Prowadzili ożywione rozmowy, pobrzekiwali szklankami, śmiali się. Połknąłem drugą literatkę i siedziałem jak na stypie. Na drugim końcu stołu pani Zosia i Zbyszek byli sobą bardzo zajęci i skąpo udzielali się mecenasowi, w czym byli podobni do hrabiostwa, które mnie zignorowało. Po przystawkach wniesiono dorodnego prosiaka z jajkiem w pysku. Przyłączyłem się do oklasków, którymi prosię zostało przyjęte. Hrabia chyba już znudzony rozmową z małżonką na mój temat poweselał i też zaczął klaskać. Hrabina powściągliwie poszła za jego przykładem. Oklaskaliśmy świnię i przy tym zgoła nie francuskim przysmaku hrabiostwo przeszło na język rodzimy.

- Pozwoli pan? - zapytała hrabina w zamiarze nałożenia na mój talerz porcji prosiaka.

Obdarzyła mnie przy tym łaskawym uśmiechem jaśnie pani, której nie wypada dsać się na pospólstwo. Ta francuzica z nad Wisły była nieprzyjemna.

- Bardzo proszę - powiedziałem.

Przywrócony do łask odpowiadałem na pytania krótko i niechętnie. Rozmowa nam nie szła. O Angli i Anglikach nie miałem nic dobrego do powiedzenia. Rząd londyński zmieszałem z błotem. Na przekór hrabinie, bo sprawy aż tak źle się nie miały. O sobie powiedziałem, że byłem uczniem dobrej szkoły, i że w imieniu wychowawców, przepraszam ją za to, że chcieli ze mnie zrobić kogoś lepszego i że im się to nie udało.

Mieliśmy siebie nawzajem dość, kiedy podszedł do nas wuj Zbyszka.

- Hrabstwo wybacza ale inni goście czekają na parę słów z naszym lotnikiem.

- Szkoda - powiedziała hrabina - tak ciekawie nam się rozmawiało.

Wśród reszty towarzystwa miałem duże wzięcie. Byłem gwiazdą przyjęcia. Tak jak w czasie wojny w Chicago, teraz w Krakowie. W życiu bywa, że wystarczy znaleźć się we właściwym miejscu i czasie, żeby w niezasłużony sposób zebrać brawa. Rozpytywany o to samo, odpowiadałem inaczej niż hrabinie. Bez zadziorności, w którą mnie wpędziła. Krążyłem wokół stołu wierny swojej literatce, o którą obyty w fachu kelner dbał z usługną troskliwością. I tak po mimo niefortunego początku, przyjęcie udało mi się. Humor poprawiła mi jeszcze pani Zosia ze Zbyszkiem i mecenasem. Szelma kokietowała mnie, mecenas był ponury, a Zbyszek po wyjściu z przyjęcia roześmiał się.

- Wiesiek masz wroga w mecenasie.

- Ty też.

- Tak, ale ja przynajmniej mam coś z tego.

- - -

Przyjęcie u wuja Zbyszka coś tam nauczyło mnie, ale nie tyle, żebym dalej nie szerzył niemodnej wówczas zapowiedzi, że trzeciej światówki długo jeszcze nie będzie. Moi rozmówcy czuli się zawiedzeni tym co miałem im

do powiedzenia i tak jak hrabina nie wiedzieli, co o tym myśleć. Kilkunastoletni syn właścicielki kamienicy, w której mieszkała moja mama wiedział, słysząc, że wracając z Angli zrezygnowałem z możliwości zostania zawodowym oficerem brytyjskiego lotnictwa, parsknął śmiechem.

- Ale draka! Nie powiem o tym kolegom w szkole, bo nie uwierzą...

Fewno jednak powiedział i jego koledzy wzięli mnie za pomyślnca bo od tego czasu smarkacz kłaniał mi się, z ukrytą chęcią kopnięcia mnie w dupę. Mira, moja siostra, pochwaliła mnie za angielskie ciuchy, które jej przywiozłem, i pojechała na studenckie obowzowisko, gdzieś nad morze. Lolek odpowiedział na mój list i nakazał mi wizytę w Warszawie. Dostałem wezwanie do krakowskiego RKU. Oficer, który mnie przyjął, podsunął formularz i powiedział, żebym sam go wypełnił, dodał, że na wojnie, na stopień oficerski zasłużył sobie karabinem, nie piórem, z którym jest jeszcze trochę na bakier. Nie wybrzydzał na mój spóźniony powrót do kraju, nad którym tak bardzo ubolewał jego kolega z Kamiennej Góry w Gdyni.

W pełni lata ubrałem się w swój najlepszy angielski garnitur i pojechałem do Warszawy na umówione spotkanie z Lolkiem. Pociąg, z nazwy pośpieszny włókł się. Wypełniony szczelnie siedzącymi i stojącymi w przedziałach i na korytarzach podróżnymi jechał całą noc, zatrzymując się na przewidzianych stacjach i nie przewidzianych postojach w szczyrym polu, ku uciesze pasażerów, pozbawionych szansy skorzystania z ubikacji w wagonach, i którzy rażno

podążali w krzaki. Krzaki się skończyły i późnym rankiem pociąg wjechał w zgrubsza uporządkowane rumowisko o nazwie Warszawa. Z miasta, które trochę znałem z przed wojny, nie pozostało prawie nic. Wsiadłem, i nie wiedziałem gdzie jestem. To nie był dworzec anonsowany kiedyś przez głośniki "Warszawa Główna".

Przystanąłem na peronie i potracany przez osowiały tłum, gapiłem się bezmyślnie na obskurny budynek dworca, i pewno wyglądałem nieporadnie, bo jakaś zażywna jejmość taszcząca dwa pokaźne toboły, zatrzymała się przy mnie, i zaatakowała mnie.

- Czego tak stoi na drodze? Pomógłby lepiej!

Nie odmówiłem. Na ulicy otrzepałem się z jej tobołów i wsiadłem do taksówki, odprowadzany jej złym wzrokiem, za to chyba, że otrzepałem się z tobołów.

Zatrzasnąłem drzwi starego "Opla", pamiętającego diabli wiedzieli co.

- Do Ministerstwa Spraw Zagranicznych - powiedziałem do kierowcy głośno, odcinając się od znajomości z babą.

- Na Szucha? Proszę bardzo.

Warszawa żyła, na przekór wyrokowi śmierci. Mój kierowca radził sobie świetnie w gęstym ruchu ulicznym. Byliśmy na miejscu.

Zapłaciłem i wysiadłem. Znałem ze słyszenia mroczną przeszłość okupacyjną tego gmachu, który przestał być groźny, ale dla wielu pozostał bardzo kontrowersyjny. Dla mnie mniej niż dla innych bo miałem tu Lolka. Nie wiedząc o zwyczajach, które obowiązywały tutaj interesantów,

śmiało wkroczyłem do gmachu przez główne wejście, nie kontrolowany minąłem uzbrojonego portiera - wartownika i napatoczyłem się na korytarzu na jakiegoś urzędnika, z ważną miną i plikiem papierów.

- Przepraszam - zapytałem - gdzie znajdę pana Teligę?

- Zdziwiony, spojrział na mnie, marszcząc brwi.

- Czy chodzi wam, towarzyszu, o towarzysza Leonida Teligę?

- Tak - powiedziałem - to mój przyjaciel z Angli. O Lolka Teligę.

- Zapytajcie się na pierwszym piętrze - odpowiedział wyniośle.

Na piętrze zapytałem o "towarzysza" Leonida Teligę i zapukałem do wskazanych drzwi. Lolek wstał zza biurka.

- Chodź, niech cię uściskam stary koniu. Dobrze, że wróciłeś...

Ucałowaliśmy się z dubeltówki, Lolek wyglądał świetnie. Opalony i sprężysty, robił wrażenie raczej sportsmana nie dyplomaty. Postarzał się na nim tylko jego garnitur, który pamiętałem z Angli. Wyciągnął z biurka jakąś butelkę.

- Mam gruziński koniak. Co ty na to?

- Lej!

- Wypiliśmy pod papierosa.

- Jak się czujesz po powrocie?

- Trochę jak Prostaczek Woltera, ciągle się czemuś dziwię.

- Normalne, przyzwyczaisz się i przestanieś się

dziwić. Ale jak tu się dostałeś?

- No jak, zwyczajnie, nikt mi w tym nie przeszkodził.

- Wpuścili cię bez przepustki?

- Jak widzisz. A po co mi była przepustka?

- Tu nie można inaczej. Najpierw idziesz do biura przepustek, stamtąd dzwonią do mnie. Ale do diabła z tym. Napijmy się. Niedługo, jak zechcesz, nie będziesz potrzebował przepustki.

Wypiliśmy.

Zaintrygowany, zapytałem.

- A to dlaczego?

- Będą tacy, którzy zaproponują ci pracę u nas w Ministerstwie.

- Jaką?

- Tego nie wiem, dowiesz się jutro na bankiecie. Mam dla ciebie zaproszenie...

- Na bankiecie? Z jakiej okazji?

- Jak to jakiej? Jutro jest 22 Lipca.

- No i co z tego?

- Nic nie słyszałeś o Manifeście Lipcowym?

- Coś mi się obilo o uszy. Czy to jakieś ważne święto?

- Bardzo ważne.

- Jak 11 Listopada?

- Mało, i 3 Maja razem wzięte.

- Cholera! To wóde na tym bankiecie będziemy pewno golili na klęczkach?

- Nie, napijemy się na stojąco i będzie co, ale z takimi dowcipami tam uważaj!

- Dobrze, ale ty mnie nie rozśmieszaj.

- Mówisz a ja znam takich, którzy zupełnie serio widzą w tym Manifestie najważniejsze wydarzenie w całej naszej historii.

- Od Rzepichy i Piasta Kołodzieja?

- No tak...

- A niech to diabli! Ze szkoły pamiętam Manifest Połaniecki, ale Naczelnik Kościuszko tak się nim nie puszył.

- Jesteśmy sami i możemy się pośmiać. Aha, jeszcze jedno. Na bankiecie twoimi rozmówcami w sprawie pracy w ministerstwie będą Żydzi.

- Żydzi?

- Tak, Żydzi.

- I co z tego?

- Inni od tych, z którymi uczyłeś się w gimnazjum i latałeś w dywizjonie.

- Lepszy? Gorszy?

- Niech ci wystarczy, że inni. Nie wyrwij się z czymś niepotrzebnym. Foręczyłem tu za ciebie.

Na biurku zadzwonił telefon. Rozmowa była krótka. Lolek odezwał się trzy razy. Powiedział: tak towarzyszu, nie towarzyszu, zaraz u was będę towarzyszu...

- To mój szef - wyjaśnił - Nie wiem, jak długo mnie zatrzyma. Weź klucze do mieszkania i chodźmy. Wyprowadzę cię z gmachu.

- Po co, trafię do wyjścia sam.

- Trafisz, ale portier mógł się zmienić i nie wypuści

ciebie bez przepustki. Urwę się stąd możliwie najwcześniej, a wieczorem pójdziemy potańczyć.

x x x

"Paradis" był jednym z bardzo nielicznych warszawskich nocnych lokali, otwarty do wyjścia ostatnich gości, zwykle do czwartej rano. Dobrą orkiestrą, kuchnią i obsługą przyciągał klientelę z większymi i mniejszymi pieniędzmi. Bywali tutaj często właściciele prywatnych firm i bywały co grubsze ryby z czarnego rynku. Czasami przychodzili przedstawiciele wolnych zawodów, urzędnicy wyższego szczebla i jednodniowi milionerzy. Niektórzy goście załatwiali swoje różne, często podejrzane, interesy. Trzon towarzystwa uzupełniała nieodzownie grupka prostytutek, złodziei i agentów bezpieczeństwa, którzy przychodzili tu do pracy. Dla mnie to był bardzo udany wieczór. Lolek zaprosił Jadzię, swoją miłość z piaskownicy, z którą kiedyś lepił babki. Jadzia przyprowadziła Hanke, z którą w czasie okupacji zabawiała się przenoszeniem prasy podziemnej. Przyszły ubrane w letnie, kolorowe sukienki, skromne z pozoru ale bardzo eleganckie przy dokładniejszym przyjrzeniu się. Tańczyliśmy, piliśmy czystą z gorzką i śmialiśmy się z byle czego. Zabawę zakończyliśmy spacerem nad Wisłę. To był dla mnie bardzo miły wieczór. Przez cały czas nikt nie zapytał się mnie, dlaczego wróciłem do kraju.

x x x

Lolek zajmował pokój w dużym mieszkaniu przy ulicy Górnośląskiej. Mniejszy od tego w Londynie, ale za to z balkonem. Z kuchni nie korzystał, czym zyskiwał sobie sympatię współlokatorów, którą jednocześnie tracił przez przydługie poranne wizyty w łazience. Zdaniem niektórych - miał jeszcze tę wadę, że w nocy chrapał, a jak nie chrapał to hałasował, wystukując jakiś tekst na maszynie. Albo, co też się zdarzało, zakłócał nocną ciszę z jakąś damą na swoim skrzypiącym tapczanie. To wszystko nie podobało się osobom z którymi i dzielił dach nad głową. Na mnie jako na jego gościa nikt nie mógł narzekać. Maszyna nie stukała, tapczan nie skrzypiał, obudziliśmy się późno i nikomu nie zawadzaliśmy w łazience. Lolek postawił na piecyku wodę na kawę. Do bankietu pozostało nam dużo czasu.

- Nie wybrałbyś się nad Wisłę? mam tam kajak z żaglem - zapytał.

- Ty dowodzisz - powiedziałem.

Miałem na sobie tylko swój najlepszy garnitur i Lolek o tym wiedział.

- Fajnie, jakieś stare portki i koszulę dla ciebie znajdę.

Pogoda była słoneczna i upalna. Lolek od urodzenia chciał samotnie, na żaglach opłynąć świat. Takich ludzi nie ma dużo, ale trafiają się. Poszliśmy na przystań. Nazywał swój kajak z angielska "Old Lady". Ta "Lady" miała większy żagiel od innych i była najszybsza. Lolek cieszył

się z tego jak dziecko. Mnie też to bawiło.

- Ciągłe chcesz na wielką wodę?

- Dlaczego nie? Jak narazie nie idzie mi źle.

x x x

Wieczorem na bankiecie też szło nam nie najgorzej. Staaliśmy tam, skąd wnosili drinki, i nie próżnowaliśmy przy kieliszkach, Lolek dawał mi ostatnie rady:

- Wiesiek, targuj się, będą chcieli ciebie tanio kupić.

- Jak mam się targować? - zapytałem.

- Jak na Kercelaku.

Lolek chciał coś dopowiedzieć, ale przeszkodziło mu w tym pojawienie się w sąsiedztwie dwóch osobników, w których domyśliłem się tych, którzy mieli mnie kupić. W kusych marynarkach i spodniach - żaglach, jak nakazywała radziecka moda, wyglądali na przebranych świątecznie chałaciarzy. Musieli być jednak kimś w ministerstwie, bo Lolek był uprzedzająco grzeczny.

- Witam was towarzysze, prosimy do nas.

Podeszli i wymienił z nimi uściski dłoni. Ten, który wydał mi się ważniejszy, schylił głowę, i patrząc na mnie z ponad okularów zapytał zwracając się do Lolka:

- Czy ten towarzysz to wasz kolega, o którym rozmawialiśmy?

- Tak, - to mój przyjaciel z Angli.

- To bardzo ładnie, przyglądał mi się z

zainteresowaniem. - To bardzo ładnie - powtórzył -
Przyjaciel to więcej niż kolega, towarzyszu. Witam was
towarzyszu.

Podał mi rękę, jego kolega też, a mnie przyszło do
głowy, że ci towarzysze bardzo się różnią od towarzyszy
chorągwi pancernych, których spadkobiercami byliśmy w
dywizjonie.

To bardzo dobrze, że wróciliście towarzyszu - wtrącił
się do rozmowy drugi z kupców - Czy wy znacie języki?

- Tak, angielski i rosyjski...

- Rosyjski i angielski mówicie, to bardzo dobrze, a co
wy teraz robicie?

- Jestem w kraju od miesiąca, rozglądam się.

- Do partii jeszcze nie wstąpiliście?

- Myślę o tym, ale na razie poszukuję pracy.

Kątem oka chciałem się upewnić czy mówię jak trzeba.

Lolek mrugnął, że dobrze.

- A czy wy, towarzyszu, chcielibyście pracować u nas?

- Tak. Lolek powiedział mi, że mogę liczyć na
zatrudnienie w ministerstwie.

- Tak wam powiedział towarzysz Teliga?

- Tak, potwierdziłem - ale nie wiem na co mógłbym się
wam przydać.

- A dlaczego mielibyście się nie przydać?

Mogłem mu odpowiedzieć, że umię czytać i pisać i
niewiele więcej, i że na gońca w ministerstwie jestem za
stary. Ale mógł na to się obrazić.

- Nie wiem.

- Zostawcie to nam.
- A co bym robił?
- Mamy dla was pracę w archiwum.

Zobaczyłem siebie w zarekawkach, łażącego po drabinie, w poszukiwaniu zakurzonych akt.

- W archiwum? - zapytałem z niedowierzaniem i nadzieją, że się przesłyszałem.

- Nie wiecie, co to jest archiwum?

- Z grubsza wiem.

- Co znaczy z grubsza? Wy towarzyszu pewno myślicie, że to taka duża pywnica, a wy w tej pywnicy czuwacie, żeby myszy nie pokasały wam dokumenty?

Żydłaczył brawurowo.

Lolek parsknął śmiechem.

- Świetnie powiedziane, towarzyszu, mój przyjaciel tak właśnie wyobraża sobie pracę w archiwum!

Kupiec przełknął pochlebstwo za szczere i uśmiechnął się. Że Lolek roześmiał się z niego, nie przyszło mu do głowy. Cmoknął zadowolony z siebie i chciał coś powiedzieć, ale przeszkodził mu w tym przechodzący obok nas kelner, który cmoknięcie wziął za przywołanie. Sięgnęliśmy po kieliszki. Aspiranci polskiej dyplomacji pokazali się z dobrej strony. Wypili do dna. Po chwili do rozmowy przyłączył się, dotychczas milczący, drugi z kupców.

- Towarzyszu - zwrócił się do mnie - Pomówmy do rzeczy. Pewno myśleliście o czymś innym, ale archiwum to praca w bardzo ważnym wydziale. Sami się o tym

przekonacie. Zresztą od czegoś musicie zacząć. Towarzysz - spojrzał z ponad okularów na kolegę - też zaczynał w archiwum. Były archiwista skwapliwie wtracił swoje trzy grosze.

- Słyszeliście? Jak popracujecie tak jak ja, to tyż zarobicie sobie na awans.

- Jaki awans? - zapytałem.

- Towarzyszu - obruszył się - was tu nie było kiedy my walczyliśmy... Kraków zbudowali wiecie nie odrazu.

Ponowiłem ukradkowe spojrzenie na Lolka.

Mrugnął, że mam podbijać cenę.

- Nie odrazu - zgodziłem się - ale ja nie przywozłem z wojny majątku i muszę zarabiać na życie.

- Prawidłowo towarzyszu, my was nie skrzywdzimy.

Kupiec w okularach nie odzywał się.

- Na ile, na początek mogę liczyć? - zapytałem.

- Na początek - cmoknął w zamyśleniu - myślimy, że osiem tysięcy będzie akurat.

- To niedużo, czy będą jakieś dodatki? - zapytałem.

- My tu nie mamy dodatków, nie myślimy o dodatkach, my pracujemy dla kraju.

- Nie wątpię, ale osiem tysięcy miesięcznie na życie i zapłacenie mieszkania to za mało. Czy ministerstwo może mi pomóc z mieszkaniem? Z resztą sobie poradzę.

- Towarzyszu, przecież wiecie, że faszyci zniszczyli Warszawę...

- Tak, i nie mam wymagań. Może znajdziecie coś dla mnie na linii otwockiej, albo żyrardowskiej?

- Towarzyszu, jak dobrze poszukacie, to sami znajdziecie.

- Nie za te pieniądze...

- Co znaczy nie za te. A za jakie?

- Powiedzmy, że za dwa razy większe.

- Większe? Takie większe? To nie będzie możliwe.

- A co będzie?

- Nie wiem, pomyszlimy i damy wam znać towarzyszu.

Miałem tej rozmowy z "towarzyszami" po uszy, i rozglądałem się za jakimś kelnerem, kiedy podszedł do nas inny uczestnik bankietu. W wyschwietanym garniturze z leninowską bródką, pozował na bojownika o socjalizm. Lolka skądś znał i wyciągnął do niego rękę.

- Kogo ja widzę? Towarzysz Teliga!

- A witam was, towarzyszu!

Kostyczny, w wyglądu ktoś komu się poca rękę, patrzył za Lolka dociekliwie. Taki trochę Dzierżyński, trochę Trocki.

- Słyszałem, że w czasie wojny byliście w Związku Radzieckim? - zagadnął.

- Tak, byłem.

- I teraz wróciliście ze Związku?

- Nie, rok temu wróciłem z Angli.

- Z Angli mówicie - udał zdziwienie, napewno wiedział, że Lolek był w Anglii. - Nie rozumiem. To wy byliście w Związku Radzieckim, a wróciliście z Angli?

Tak z, Angli.

- To ja ciągle nie rozumiem, czy to znaczy, że

wyjechaliście ze Związku? A dlaczego wy wyjechaliście towarzyszu?

Lolka ponosił. Pannał nieodpowiedzialnie.

- Bo mi tam źle było!

Kupcy spojrzeli po sobie z przestraczem. Przybysz uśmiechnął się zdawkowo.

- Towarzyszu - powiedział - Nie wątpię, że zrobiliście co było trzeba i wiem, że lubicie sobie pożartować. Wiedział, że to nie był żart; i Lolek żeby bardziej się nie narazić spróbował obrony. Powiedział do mnie głośno tak żeby tamci usłyszeli.

- Chodź, czekają na nas towarzysze radzieccy.

Zgrywał się. Poszliśmy w stronę bufetu. Po drodze wycedził przez zęby.

- Myślałem, że nie wytrzymam i dam im w mordę!

W bufecie wypiliśmy po dwa głębsze, zakąsiliśmy. Było czym: Jesiotry i bielugi szły tam o pierwszeństwo z wybornymi wędlinami. W tym wydaniu sojusz polsko-radziecki, którym nas związali zachodni alianci w Jałcie, był godny pochwały. Oni też byli tu obecni. Cieszyli się po angielsku i francusku, na pełnym luzie. Stałem z Lolkiem na uboczu. Lolek, po starciu z towarzyszem z leninowską bródką rozmyślał o swojej, już niepewnej karierze dyplomaty. Wypiliśmy trzecią głębszą. Zakąsiliśmy bielugą.

- Smaczna ryba - powiedziałem.

- Wcinaj, następnej okazji może nie być.

Wiedziałem, że nie zachwyciłem towarzyszy, i że

poszukają do archiwum kogoś stosowniejszego. Ale nie to mnie gnębiło. Wskazałem głową na kupców. Stali, z tym z bródka, tam gdzie ich zostawiliśmy.

- Cholera - wyrwało mi się. - Artur Rubinstein jest moim idolem, Julian Tuwim moim ulubionym poetą, a co to jest?

- Jest bo jest. Chciałbyś, żeby oni wszyscy byli Tuwimami?

- Chciałbym...

- Ja też bym chciał.

Godzina była wczesna i biesiada rozkręcała się. Lolka znało tutaj wielu. Zmieszaliśmy się z ucztującymi, z których jedni witali go jako towarzysza, inni bez rytuału. Jesiotry i bielugi, trochę rozgrzebane, pyszniły się na stołach. Nonszalancko. Było im obojętne, kto je zje. Towarzysze, czy jak kiedyś carscy dygnitarze w epoletach. Wyszliśmy późno i mało kto po nas pozostał. Następnego dnia wróciłem do Krakowa.

x x x

Przez kilka dni odpoczywałem po Warszawie. Rozmyślałem nad tym co dalej. Odciąłem się od świata, w którym żyłem. Pozostawiłem za sobą żelazną kurtynę, pierwszą młodość, dziewczyny i resztę, która się liczy. Bez sensu, ale kiedy się na dwadzieścia parę lat, to można sobie na to pozwolić. Krysia, moja późniejsza żona, którą jeszcze w Anglii poznałem listownie z poręki Jurka, napisała, że

lata na szybowcach i była pełna podziwu dla mnie, bohatera, którym nie byłem. Ona chyba mniej się bała, pierwszego lotu na "Wronie", niż ja pierwszego startu z bombami nad Niemcy. Rozmyślając co dalej, postanowiłem, że muszę się z nią spotkać. W końcu byliśmy jakaś tam lotniczą sitwą. Nie wiedziałem, że jest jedynaczką, córka bardzo zamożnego przedsiębiorcy, i że mieszka w wielopokojowym mieszkaniu z ojcem wdowcem, z gosposią i służącą. Znałem tylko jej adres w Łodzi. Policzyłem pieniądze na ten wyjazd. Nie było tego dużo. Za mało. Wybrałem się na krakowską "tandetę". Trochę mi pozostało z rzeczy przywiezionych z Angli. Rozłożyłem co mi pozostało i wystawiłem na pierwszy plan swój płaszcz chorążego. Był mi teraz niepotrzebny i był z dobrej wełny. Jakiś facet z wyglądu handlujący innym towarem zatrzymał się przy mnie.

- Ile za ten RAF? - uśmiechnął się.

Wymieniłem jaką nie wygórowaną cenę.

- Weźmie pan dwa razy więcej - doradził mi - Tylko niech pan głośno zachwala, że angielski.

Więc stałem i powtarzałem.

- Angielski... angielski...

Posłowie

Należy do wielu, dla których Pan nie odszedł, i to że piszę do Pana, nie jest żadnym dziwactwem.

Zacznę od tego, że to co napisałem, zawdzięczam Panu, Panie Arturze. Domyślałem się, że zaskoczyłem Pana tym wstępem i mniemam, iż przeczyta Pan to, co mam do powiedzenia. Koniec wojny zastał mnie w Anglii i miałem powody, żeby do kraju nie wrócić. Ale tak się złożyło, że już po podpisaniu engagement do zawodowego lotnictwa Jej Królewskiej Mości, któregoś dnia, w 1948 roku, Polska skojarzyła mi się nie z folwarkiem Rosji rządzonym desygnowaną przez Moskwę polityczną menażerią, ale z Panem i Fryderykiem Chopinem. Byłbym zawodowym żołnierzem – lotnikiem w służbie Imperium Brytyjskiego, ale coś, – co nazwijmy polskim romantyzmem, było we mnie silniejsze od zdrowego rozsądku: nie oparłem się pokusie i wróciłem. Na emigracji nie napisałbym tej opowieści – odysei z której wzięliśmy swój początek Pan i ja. Spodufaliłem się. Wpędziłem Pana w swoje towarzystwo jak pchła, która przyczepiła się do słonia i mówi: my. Wypada mi poprosić Pana o pobłażliwość, ale wiem, że zbędzie mnie Pan uwaga, że nic się nie stało, i że nie poczuł się Pan dotknięty. Tak więc z Pana upoważnieniem piszę dalej. W czasie wojny wozilem bomby nad Niemcy i przy każdej nadarzającej się okazji słuchałem Pana muzyki. Była wtedy moda na Czajkowskiego i Chopina, i w radiu BBC był Pan częstym gościem. Słuchałem, i w moim odczuciu, Pan nie

interpretował muzyki pana Fryderyka; Pan ją odtwarzał z wiernością najbliższą kompozytorowi. Wtedy, w czasie wojny, słuchając w BBC muzyki fortepianowej z ręką jej znajomością, umiałem odróżnić utwory Chopina - co jest łatwe - ale więcej - umiałem też odróżnić Pana jako odtwórcę.

Osobiste poznanie Pana było moją obsesją, która pogłębiała się z upływem czasu. W okresie wojny, w Stanach Zjednoczonych, ptałem się o wielki artystyczny świat. Pomógł mi w tym, mnie smarkaczowi, mundur lotnika. Uczyłem się wtedy w Kanadzie sztuki zabijania ludzi z powietrza i na urlop pojechałem do Nowego Jorku. Szczęście, które mnie nie opuszczało od kryminalów NKWD poprzez wojnę na Atlantyku - nie opuściło mnie w Nowym Jorku. Zatańczyłem pół taktu z panią Ritą Hayworth w Stage Door Canteen, byłem gościem pana Jana Kiepury na jego występie w "Wesołej Wdówce", na Broadway'u, rozmawiałem z panem Julianem Tuwimem. Pamiętam, że pan Julian z lekką ironią wysłuchiwał tego, co miałem do powiedzenia o swoim pobycie w Rosji Sowieckiej, grzecznie mi potakiwał, ale kiedy skończyłem stwierdzeniem, że tam nie ma komunizmu, a jedyną "zaletą" tamtego ustroju jest to, iż w więzieniach i łagrach, bez względu na narodowość, wszystkich aresztantów traktują jednakowo, roześmiał się i powiedział, że miło mu było mnie poznać. Pożegnał się ze mną zyczliwie.

W czasie wojny, w Szkocji, miałem zaszczyt poznać żonę Marszałka, panią Aleksandrę Piłsudską, a później, już w

kraju, panią generałową Sosnkowską, ktoś inny na tym by poprzestał, ale mnie ciągle brakowało Pana. Trwałem w wyczekiwaniu na jakąś sposobność. I taka zdarzyła się: na początku lat siedemdziesiątych, w warszawskim "Grand Hotelu", gdzie wtedy rezydowała Pana siostra. Niczego nie przewidując, wdepnąłem do hotelowej restauracji na obiad, i Pan tam był. Sam. Poczułem się jak mysz przed pułapką pełną sera, i zająłem sąsiedni stół. Kelner w lansadach krzątał się przy Panu z napitkami i jadłem. Na mnie długo nie zwracał uwagi, czego nie brałem mu za złe. Kiedy w końcu podszedł do mnie, bez spojrzenia na jadłospis, zamówiłem podwójną wódkę i śledzia. Pomyślałem: wypij na odwagę, podejdź do Pana Artura i powiedz coś mądrego. Wódkę wypilem, ale nic sensownego nie przyszło mi do głowy i ... stchórzyłem. Pan skończył obiad i wyszedł, a ja zamówiłem następny kieliszek, w przekonaniu, że straciłem ostatnią okazję poznania Pana.

Ale opatrność czuwała nade mną. Parę lat później, po drodze do baru, w innym z warszawskich hoteli "Victoria", zobaczyłem Pana w restauracji biesiadującego w otoczeniu luminarzy polskiej kultury i sztuki. I znowu poczułem się jak mysz przed pułapką pełną sera. Tym razem, nie był Pan sam, i okazja wątpliwa. O tym, że jest Pan w restauracji, powiedziałem w barze Guciovi Góreckiemu, z którym byłem umówiony. Gucio, w okresie wojny kurier podziemia na szlaku Warszawa - Londyn, powiedział lwowskim akcentem:

- Ta Ty gadasz batiar, że Artur jest w restauracji?

- Jaki Artur? Powiedziałem przecież, że pan Artur

Rubinstein... Gucio spojrział na mnie jak belfer na ucznia.

- To, co ty ze mnie strugasz wariata? Ja wiem o kogo chodzi. Ja go znam...

Gucio zaskoczył mnie: To co mnie wydawało się tak skomplikowane, dla niego było proste.

- A gdzie ty go poznałeś? - zapytałem.

- W Londynie.

- Klawo - powiedziałem - Ty go znasz, ale czy on Ciebie też?

Gucio zachnął się.

- Frajerze, ta mówie, że znam. Skończ ten bałak i chodź, pójdziemy uścisnąć mu grabule.

- Poszliśmy - Gucio pewny siebie, ja nie bardzo. Podeszliśmy do stołu, przy którym był Pan fetowany. Pana towarzystwo przywitało nas niechętnie, jak knajpianych instruzów. Czekałem na to, że jeden z tych wielkich polskiej kultury skinie na kelnera, żeby nas wyrzucił, kiedy Pan wstał od stołu, podszedł do nas i powiedział:

- Cześć Gucio, cieszę się, że pana widzę. Tak po prostu, ku pełnemu zaskoczeniu Pana szacownych biesiadników. Gucio nie zawiódł się na Pana niezwyklej pamięci, a Pan, jak ktoś, kto spotkał go w czasie wojny - kiedyś tam w Londynie, w okolicznościach, w których obecność Gucia niewiele dla Pana znaczyła, serdecznie uścisnął mu rękę. Stałem jak wryty, po sztubacku zażenowany i nie wiedziałem, co zrobić z rękami i językiem.

Gucio przyszedł mi z pomocą:

- Panie Arturze - powiedział wskazując na mnie - dowiedziałem się od przyjaciela, że Pan tu jest i przyszliśmy złożyć Panu uszanowanie. Nigdy Panu nie zapomnimy tego, że w San Francisco, na pierwszym zgromadzeniu ONZ, odegrał pan Mazurka Dąbrowskiego. W odpowiedzi, Pan powtórnie uścisnął mi rękę, a we mnie narastała zawiść. Musiałem bardzo głupio wyglądać, bo Pana towarzystwo, zaczęło mi się przyglądać. Niby ze Gucio, jako Pana znajomy, jest na miejscu, a ja tylko się przypętałem. Pan, przytrzymując dłoń Gucia, powiedział, że cieszy Pana to, że on - Gucio - przeżył wojnę i miło jest Panu odnowić z nim znajomość, a we mnie gasła nadzieja, że mnie Pan w ogóle zauważy. Liczyłem na to, że on mnie przedstawi - po imieniu i nazwisku, ale Gucio zaczął się z Panem zegnąć. Nic gorszego nie mogło mnie spotkać. Ale wtedy Pan spojrzał na mnie i Gucio, zreflektował się i przypomniał sobie, że stoję obok niego i przedstawił mnie. Pan wtedy serdecznie uścisnął mi rękę.

W barze, dokąd wróciliśmy, Gucio podniósł kieliszek

- Ta hulaj te ćmaga na zdrowie Arturka!

Zaprotestowałem.

- Skończ do cholery z tym Arturkiem. Dla ciebie i dla mnie to jest pan Artur Rubinstein.

- A czy ja bałakam, że nie? Ale chłopie ta ty nie rób pacałychy, Arturko jest z ferajny, batiar wlaź między te pitagorasy w restauracji, ale wolałby być z nami.

Chulnęliśmy ćmiągę za Pana zdrowie - jedną i nie jedną. Piliśmy ostro. I mieliśmy już nieźle w czubie,

kiedy dołączyła do nas znajoma Gucia. Lekarka, młoda i wystrzałowo atrakcyjna, którą ktoś, kto jej nie znał, mógł by łatwo wziąć za kurtyzane dobrej próby. Urzneliśmy się na Pana cześć we trójkę, ale kiedy młoda podchmielona dama zazała, żeby Gucio przedstawił ją Panu, Gucio powiedział, że za dużo wypila, i że on nie ma ochoty na spacer do restauracji, bo go nogi bolą. Usłyszał o sobie, że jest starym dziadem i nieużytkiem. Po wyjściu rozgniewanej damy Gucio zamówił następną kolejkę i powiedział: - Może zrobiłem głupstwo. To jest szal dziewczyna, a Arturko od bab nigdy nie stronił...

W tym czasie miałem napisany tylko wstęp moich wspomnień. Rodzaj uwertury do reszty, która zobowiązywała mnie do opowieści, od której zacząłem. Męczyłem się przez trzy lata. Pisałem z własnej pamięci. Ludzie, miejsca i zdarzenia, nie są z próżni, miałem o czym pisać i zabrakło mi miejsca na zmyślenia. Pozostały dwa pytania: jak pisać i po co? Na pierwsze - odpowiedź była łatwa: tak, żeby nie nudzić czytelników. Na drugie odpowiedź wynikała z przekonania, że nikt za mnie tego tak nie robi, jak zrobię to sam. Że jak dam swoją opowieść pod pióro jakiegoś literackiego murzyna, to wyjdzie z tego bekart, a nie dziecko - z mojej krwi i kości. Tak pomyślałem i przystąpiłem do pisania. Było lato, słońce wstawało wcześniej, ja z nim. Raz z pisaniem szło mi raz lepiej, raz gorzej. Będę z Panem szczery i nie będę ukrywał, że kiedy szło mi źle, sięgałem po whisky, po której łapałem wiatr, jak wyżej na polowaniu, i pisałem dalej. To, co miałem do

powiedzenia, było wtedy tematem tabu. Pisałem więc trochę pół serio, pół żartem, strawnie - tak mi się wydawało - dla cenzorów, i z podtekstem dla czytelnika. Ale cenzorzy czuwali, ... W rezultacie na wydanie tej książki czekałem kilkanaście lat. W międzyczasie dużo się zmieniło i nie kto inny ale właśnie Rosjanie - posługując się językiem wyścigów konnych - zostawili mnie w pół pola, i moja książka, która w momencie jej ukończenia byłaby tygrysem, zamieniła się w kota-mruczusia. Nie wziąłem za pióro, żeby zarobić na życie - pieniądze trzymały się mnie. Byłem wtedy przedstawicielem na Polskę Pakistańskich Linii Lotniczych, po wieloletniej pracy na takim samym stanowisku w brytyjskich liniach BOAC, i po trosze warszawskim playboyem. Miałem jednoosobowe biuro w swoim reprezentacyjnym mieszkaniu w dobrej dzielnicy miasta, zmniejszających się szefów Pakistańskich Linii Lotniczych w Wiedniu i sporo wolnego czasu. Swoim chlebodawcom przynosiłem niezłe zyski przy niskich kosztach, i w raportach utrzymywałem ich w przekonaniu, że na te dobre wyniki pracuję w pocie czoła. Ale tak naprawdę - korespondencja z nimi zajmowała mi więcej czasu niż praca na te dobre wyniki. W branży, byłem starym wygą, dodam, ze lubianym, przed którym nikt drzwi nie zamykał. Moi chlebodawcy liczyli koszty i zyski, jak mądra żona, która wie o kochankach męża, w uznaniu tego, że ten mąż w domu jest tym, kim ma być, udawali, że nic nie wiedzą. Nie muszę przed Panem tacić, Panie Arturze, że większość czasu spędzałem przy pisaniu, i w barach. I tak powstała moja

książka. Kiedy ją skończyłem, byłem bardzo zmęczony, bardziej niż po wielogodzinnym locie z bombami z Anglii nad Berlin. Niech Pan mnie zbeszta za to porównanie. Przepraszam, ale coś we mnie z wojny zostało. Wyrwało mi się. Utozsamiam się z tym, co napisał Jerzy Waldorff w swojej książce "Muzyka łagodzi obyczaje..." Z zastrzeżeniem, że w czasie pokoju na pewno, w czasie wojny - różnie z tym bywa.

Dla mnie muzyka Fryderyka Chopina, w Pana wykonaniu była tym, co kiedyś rosyjski wielkorzadca kraju przywiślańskiego określił jako "armaty w kwiatkach". I pomagała mi w bombardowaniu Irzeciej Rzeszy. Nigdy więcej nie chciałbym tego doświadczyć, co nie oznacza, że kiedykolwiek zrezygnuję ze słuchania muzyki Wielkiego Fryderyka w Pana wykonaniu.

Dziękuję za to, że Pan był i składam Panu kwiaty, które nie zwiędną: "kwiaty Polskie" Juliana Tuwima. Pana muzyka i jego poezja urzekły mnie.